

Timothy Zahn

Synowie Kobry

Tom trzeci cyklu „Kobra”

Rozdział pierwszy

Było późne lato. Przez uchylone okno wpadały podmuchy ciepłego wiatru. Po chwili dal się słyszeć skowyt dysz silników odrzutowych maszyn Troftów, który sprawił, że Jonny Moreau się obudził. Na krótką, rozdzierającą serce chwilę, wydało mu się, że jest na Adirondack w samym środku wojny, ale kiedy ustawił oparcie fotela znów w pozycji pionowej, impulsy bólu, jakie przeszły mu łokcie i kolana, przywołały go do rzeczywistości. Przez jakąś minutę siedział nieruchomo, spoglądając przez okno na panoramę Capitalii i starając się odzyskać jasność myśli. Później sięgnął do biurka i wcisnął guzik stojącego na nim interkomu.

- Tak, panie burmistrzu? - odezwał się Theron Yutu. Jonny opadł z powrotem na fotel, ale przedtem sięgnął po stojącą na biurku fiolkę z tabletkami przeciwbólowymi.

- Czy Corwin wrócił już z zebrania rady? - zapytał. Obraz na ekranie ukazał mu inne biurko i siedzącego za nim dwudziestosiedmioletniego syna.

- Jeszcze tam nie poszedłem, tato - powiedział Corwin. - Zebranie zaczyna się dopiero za godzinę.

- O? - zdziwił się Jonny i popatrzył na zegarek. Mógłby przysiąc, że zebranie miało się zacząć o drugiej... i w istocie, było dopiero kilka minut po pierwszej. - Wydawało mi się, że drzemałem trochę dłużej - mruknął. - No cóż. Czy wszystko gotowe?

- Właściwie tak, chyba że jest coś nowego, co chciałbyś, żebyśmy poruszył na zebraniu. Zaczekaj chwilę, zaraz tam przyjdę, to pogadamy.

Ekran ściemniał. Prostując ostrożnie plecy, Jonny spojrzał na trzymana w dłoni fiolkę. Później - zdecydował stanowczo. Wiedział, że kiedy znów zacznie chodzić, jego wywołane artretyzmem bóle

złagodnieja same, a po zazyciu tabletek nie potrafi myslec tak jasno, jak pragnal.

Drzwi nagle sie otworzyly i do gabinetu wszedl Corwin Jamie Moreau z nieodlaczonym pulpitem komputerowym pod pachy. Chlopiec - a raczej mezczyzna, przypomnial sobie w myslach Jonny - rzucil sie w wir polityki z zapalem, którego starszy Moreau nigdy jakos nie potrafil u siebie wykrzesac. Widok Corwina coraz bardziej przywodzil Jonny'emu na mysl jego brata, Jame'a, wspinajacego sie teraz po szczeblach wladzy Dominium Ludzi. Przed czternastoma laty byl doradca przewodniczacego Najwyzszego Komitetu. Jonny czesto sie zastanawial, kim byl teraz: wciaz doradca, mianowanym nastepca, a moze nawet samym przewodniczacy?

Tego juz nigdy sie nie dowie. Przerwanie lacznosci z reszta Dominium w wyniku zamknienia korytarza Troftów bylo jednym ze skutków, z którymi Jonny'emu nadal trudno bylo sie pogodzic.

Ustawivszy komputerowy pulpit na skraju biurka ojca, Corwin przysunal sobie krzeslo i usiadl.

- No dobrze, popatrzmy sobie na to - powiedzial. - Najwazniejsze argumenty przemawiajace za klauzula wylacznosci nowego traktatu handlowego z Hoibe'ryi'sarai - wymówienie tej nazwy domeny Troftów nie sprawilo mu najmniejszego trudu - które mam przedstawic na zebraniu rady, to: potrzeba oddelegowania dodatkowych Kobr do walki z kolczastymi lampartami w odleglych prowincjach oraz kwestia, czy w ogóle powinniśmy zawracac sobie glowe Caeliana.

Jonny kiwnal glowa, majac poczucie winy, ze po raz kolejny zaniedbuje obowiazki emerytowanego gubernatora, jakie powinien wypelniac, albo chociaz starac sie wypelniac wobec rady.

- Polóz na te dwa powody szczególny nacisk - powiedzial. - Nie wiem, w jaki sposób kolczaste lamparty dowiaduja sie o tym, ze ich liczba maleje, ale tempo ich rozmnozania wskazuje, ze jakos sie dowiaduja. Upewnij sie, zeby nawet najmniej rozgarniety syndyk zrozumial, iz nie mozemy walczyć ze wzrastajaca liczba kolczastych lampartów i równocześnie posuwac sie naprzód z kolonizacja Caeliany bez obnizenia poziomu szkolenia Kobr w naszej akademii.

Przez twarz Corwina przemknal jakis skurcz.

- Jezeli chodzi o te akademie... - zaczal i przerwal, wyraznie czymś speszony.

Jonny na krótka chwile zaniknal oczy.

- Justin. Czy mam racje? - zapytal.

- No... tak. Mama chciala, bym cie przekonala, zebys zmienil zdanie i podczas zebrania rady zglosil swój sprzeciw wobec jego kandydatury.

- I co by to dalo? - Jonny westchnal. - Justin jest przeciez byстрыm, wyjątkowo zrównowazonym i energicznym chlopcem. Wlasnie w taki sposób chce sluzyc swiatu, na którym mieszka. Mam nadzieje, ze wybaczysz mi ojcowiska dume.

- Wiem o tym, tato, ale...

- Ale do rzeczy - przerwal mu Jonny. - Ma dwadziescia dwa lata, a chce zostac Kobra, odkad skonczyl szesnascie. Zdajesz sobie sprawe, ze w ciagu tych wszystkich lat z pewnoscia mial czas na to, zeby sie zastanowic, w jaki sposób wpływa na organizm ludzki kilkadziesiat lat zycia z wyposazeniem Kobry. - Uniósł lekko rece, jak gdyby zgadzal sie na zbadanie własnego ciala. - Jezeli to nie wplynelo na jego

decyzje, a wyniki badan wskazuja, ze tak sie nie stalo, nie zamierzam sprzeciwic sie jego woli. Wlasnie takich ludzi potrzeba nam do tej sluzby. Corwin machnal reka na znak, ze sie poddaje.

- Niemal chcialbym móc sie z toba nie zgodzic, chociazby przez wzglad na mame - powiedzial. - Obawiam sie jednak, ze masz racje.

Jonny wyjrzel przez okno.

- Twoja matka wiele razy cierpiala z podobnych powodów. Sam chcialbym wiedziec, jak mam jej to wytlumaczyc.

Przez dluzsza chwile w pokoju panowalo milczenie. Pózniej Corwin siegnal po swój pulpit.

- A wiec kolczaste lamparty i kolonizacja Caeliany - powiedzial, wstajac od biurka. - Po zakonczeniu zebrania zastane cie tutaj czy w sali cwiczen?

Jonny popatrzył na syna i skrzywil sie z niesmakiem.

- Musiales mi o tym przypomniec, prawda? No dobrze, niech ci bedzie. Uszczesliwie tych dreczycieli. Kiedy zjawisz sie po zebraniu, to, co ze mnie zostanie, bedzie tutaj.

Corwin kiwnal glowa.

- Swietnie. Ale nie wsciekaj sie za bardzo na nich. Wykonuja przeciez tylko swoja prace.

Jonny zaczekal, az Corwin zamknie drzwi za soba, a potem cicho westchnal.

- Swoja prace, dobre sobie - mruknal pod nosem. - Zgraja naukowców wyzywajacych sie na ludziach zamiast na doswiadczalnych myszkach.

Wszystko po to, by odkryc terapie, która kiedys bedzie mogla pomóc przyszłym Kobrom.

Jednym z nich mial wkrótce zostac jego syn.

Westchnawszy, Jonny uchwycil sie oparcia fotela i powoli wstal. Zamierzal dojsc do samochodu o wlasnych silach i to bez pomocy tabletek przeciwbólowych, nawet gdyby mialo go to zabic. Zgodnie z jednym ze swoich ulubionych powiedzen, nie byl jeszcze az tak bezradny.

Mimo tloku panujacego w tych dniach na ulicach stolicy swiata Kobr, dostanie sie do gmachu Dominium na zebranie rady bylo wyprawa zajmujaca nie wiecej niz dziesiec minut. Corwin zebral jednak swoje magnetyczne karty i inne potrzebne mu rzeczy jak najszybciej, chcac znalezc sie tam na tyle wczesnie, zeby móc nieoficjalnie porozmawiac z innymi czlonkami zgromadzenia. Ojciec udal sie na cwiczenia, a on sam zamierzal wlasnie wyjsc, kiedy do pokoju weszla matka.

- Czcsc, Theron - odezwala sie, usmiechajac sie do Yuru. - Corwin, czy zastalam ojca?

- Wlasnie wyszedl - odparl Corwin, czujac, ze w oczekiwaniu nieuchronnej konfrontacji napinaja mu sie wszystkie miesnie. - Wróci, jak skonczy cwiczenia.

- Co powiedzial?

Corwin duzym wysilkiem zmusil sie, zeby nie zacisnac zebów.

- Przykro mi, mamó. Powiedzial, ze nie bedzie sie sprzeciwial.

Zmarszczki na jej twarzy wyraznie sie poglebily.

- Ty tez bedziesz bral udzial w glosowaniu - powiedziala, nie pozostawiajac mu cienia watpliwosci, o czym myslil.

- Pozwól wiec, ze ujme to inaczej - odparl Corwin. - My nie bedziemy sie sprzeciwiali.

- A wiec i ty takze - powiedziala chlodno. - Ty tez zamierzasz skazac swojego brata na...

- Mamó - przerwal jej Corwin, wstajac i wskazujac jej swoje krzeslo. - Bardzo cie prosze, usiadz.

Zawahala sie, ale po chwili usiadla. Corwin przysunal sobie inne, przeznaczone dla gosci krzeslo i spoczal naprzeciwko niej, katem oka dostrzegajac, ze Theron Yutu wlasnie przypominal sobie o czyms, co musial zrobic w biurze Jonny'ego. Zajmujac miejsce, przez chwile przygladal sie - naprawde sie przygladal - swojej matce.

Chrys Moreau byla piekna kobieta, kiedy byla mlodsza. Wiedzial o tym, pamietal stare zdjecia i tasmy. Nawet teraz, mimo zwiazanych z jej wiekiem zmian fizycznych, wygladala niezwykle atrakcyjnie. Oprócz nich dokonaly sie w niej jednak inne, nie wszystkie usprawiedliwione zwyklym krystalizowaniem sie opinii czy nawet wynikajace z reakcji na dlugotrwała chorobe meza. Ostatnio usmiechala sie coraz rzadziej i chodzila z ostroznoscia osoby smiertelnie przerazonej perspektywa, ze moglaby cos przewrócić. Corwin wiedzial, ze jej sprzeciw wobec planów Justina byl tylko czescia tego nastawienia do zycia... istnialo jednak cos wiecej, a na razie nie potrafil znalezc wlasciwych słów na dotarcie do tej czesci myslil swojej matki.

Wiedzial takze, ze i tym razem bedzie rozumowala w ten sam sposób.

- Jezeli zamierzasz jeszcze raz przedstawic mi te same argumenty, dlaczego sadzisz, ze Justin powinien zostac Kobra, to mozesz sie nie trudzic - zaczela Chrys. - Znam je wszystkie na pamiec i nadal nie znajduje zadnych logicznych kontrargumentów. Przyznaje tez, ze gdyby nie byl moim synem, uznalabym je za sluszne. Justin jednak jest moim synem i chociaz to brzmi nierozsadnie, nie uwazam za uczciwe, zebym musiala i jego poswiecac dla takiej sluzby.

Corwin pozwolil jej skonczyc, chociaz te slowa nie wnosily niczego nowego do dyskusji.

- Czy prosilas Joshue, zeby z nim porozmawial? - zapytal.

Chrys lekko pokrecila glowa.

- Nie robi tego - odrzekla. - Powinienes wiedziec o tym lepiej niz ktokolwiek inny.

Mimo powagi chwili Corwin poczul, jak na wspomnienie momentów, które podsunela mu pamiec, na wargach pojawia mu sie nikly usmiech. Chociaz byl o piec lat starszy od blizniaków, nie zdolalby zliczyc, ile razy bral ich strone. Ich wzajemna niewzruszona lojalnosc nawet wtedy, gdy rodzice wymierzali im kary, wielokrotnie sprawiala, ze potrafili sobie zapewnic niepodwazalne alibi.

- Wobec tego nie widze, co mozna zrobic - odezwal sie lagodnie do matki. - Jesli spojrzec na to od

strony prawa, nie mówiac juz o etyce, Justin ma prawo wybierac, co chcialby robic w zyciu. Pomysl tez, jakiego politycznego zamieszania mógłby narobic taki nepotyczny sprzeciw.

- Polityka - parsknela Chrys i odwróciła glowe, by wyjrzec przez okno. - Mialam nadzieje, ze twój ojciec z nia skonczy, kiedy przestanie byc gubernatorem. Powinnam sie byla domyslac, ze tak latwo nie pozwola mu zostawic wszystkiego i odejsc.

- Potrzebujemy jego wiedzy i doswiadczenia, mamó - odrzekl Corwin, spogladajac na zegarek. - A jezeli juz o tym mowa, obawiam sie, ze musze isc i dostarczyc radzie comiesieczna porcje tej wiedzy.

Przez twarz Chrys przemknal jakis cien, ale tylko kiwnela glowa i wstala.

- Rozumiem - powiedziala. - Czy bedziesz u nas dzis wieczorem na obiedzie? Blizniaki powiedzialy, ze postaraja sie zdazyc.

Moze byla to ostatnia szansa na to, zeby mogli byc wszyscy razem, do czasu, gdy Kobra Justin ukonczy szkolenie.

- Jasne - odparl Corwin, a potem wstal i odprowadzil matke do drzwi. - Po zebraniu zamierzam porozmawiac troche z tata, a wiec kiedy skonczymy, przyjedziemy razem.

- To dobrze. Okolo szóstej?

- Swietnie. W takim razie do zobaczenia. Odprowadzil ja do samochodu i przygladal sie, jak odjezdzała. Później, westchnawszy ciezko, wsiadl do swojego wozu i pojechal do gmachu Dominium. Po drodze zastanawial sie, dlaczego problemy trapiace jego rodzine wydawalay sie zawsze trudniejsze do rozwiazania od problemów stojacych przed calymi swiatami. Moze dlatego - pomyslal nonszalancko - ze nie ma niczego, czym rada moglaby mnie zaskoczyc.

Niedlugo mial przypomniec sobie te mysl oraz niefortunna chwile, w której mu przyszła do glowy... i skrzywic sie z niesmakiem.

Rozdzial drugi

Rada Syndyków - jak brzmiala jej oficjalna nazwa - we wczesnych latach kolonii byla cokolwiek nieformalnym zgromadzeniem syndyków i gubernatora generalnego planety, zbierajacym sie, kiedy zachodzila potrzeba przedyskutowania waznych problemów czy wytyczenia ogólnych kierunków, w jakich mial odbywac sie rozwój kolonii. W miare jednak, jak wzrastala liczba ludzi, a na dwóch innych swiatach zalożono nowe osady, liczebność i polityczne znaczenie rady rosly zgodnie z ogólnymi tendencjami panujacymi w odleglym Dominium Ludzi. Tylko ze, inaczej niz na innych swiatach, na tej wysunietej placówce oprócz polowy miliona zwyczajnych obywateli mieszkalo prawie trzy tysiacie Kobr. Wynikajace z tego faktu nieuniknione rozprzestrzenianie sie politycznej wladzy wywarlo przemożny

wplyw na sklad osobowy rady. Miedzy szczeblami syndyka i gubernatora generalnego pojawil sie szczebel gubernatora, dzieki czemu odpowiedzialnosc i wladza mogly byc rozlozone bardziej równomiernie. Kobry, dysponujace w trakcie glosowan dwoma glosami, mialy swoja reprezentacje na wszystkich szczeblach.

Corwin własciwie nie kwestionowal filozofii politycznej, dzieki której struktura wladzy w Dominium uległa zmianie, ale z czysto praktycznego wzgledu stwierdzal czesto, ze sama liczebność siedemdziesieciopięciosobowej rady jest czymś, co utrudnia jej funkcjonowanie.

Tego dnia jednak, przynajmniej w ciągu pierwszej godziny, załatwianie wszystkich spraw przebiegalo bardzo sprawnie. Większość omawianych zagadnień - włącznie z tymi, które przedstawił Corwin - dotyczyło od dawna znanych problemów, które już wcześniej dokładnie przedyskutowano. Kilka doczekalo sie oficjalnych uchwal, a reszta przekazano członkom rady do dalszych analiz i rozważan czy zwyczajnie odłożono na inny termin, toteż kiedy porządek dnia dobiegal konca, zaczęło wyglądac na to, że zebranie uda sie zamknac wcześniej niż zazwyczaj.

I wówczas gubernator generalny Brom Stiggur przedstawił problem, wobec którego nikt z obecnych nie mógł pozostac obojętny.

Zaczelo sie od starej, od dawna znanej sprawy.

- Pamiętacie wszyscy ten raport, który omawialismy przed dwoma laty - zaczął, rozglądajac sie po sali.
- Ten, w którym nasz dalekosieźny zwiad doszedł do wniosku, że w promieniu przynajmniej dwudziestu lat świetlnych od Aventyny poza naszymi trzema skolonizowanymi światami nie ma innych planet, które moglibymy zagospodarowac w przyszłości. Zdecydowalismy wówczas, że na tamtym etapie rozwoju naszych kolonii i przy tak malej liczbie ludności nie istnieje potrzeba pilnego podejmowania uchwały w sprawie problemu, który wtedy nie wydawal sie taki naglacy.

Corwin wyprostowal sie na krzesle i wyczul, jak inni wokół niego robia to samo. Stiggur wprawdzie wypowiedzial te slowa bez emocji, ale można bylo sie zorientowac, że pod staranna modulacją głosu kryje jakas sensacje.

- Jednakże - ciagnal tymczasem Stiggur - w ciągu ostatnich kilku dni wydarzylo sie cos nowego, co moim zdaniem powinno zostac natychmiast podane do wiadomości członków rady, zanim zostana podjete bardziej wnikliwe studia nad tym zagadnieniem.

Spojrzawszy na stojacego przy drzwiach straznika-Kobre, kiwnal głowa. Tamten w odpowiedzi takze kiwnal, otworzył drzwi... i wpuscił do sali Trofta.

Wśród zebranych osób przeszedł szmer zdumienia, a kiedy obca istota ruszyła w kierunku Stiggura, Corwin poczul, jak napinaja mu sie wszystkie miesnie. Troftowie handlowali co prawda z koloniami od prawie czterech lat, ale Corwin wciąż jeszcze nie pozbył sie trwogi, jaka od najmłodszych lat zawsze odczuwal na ich widok. Wielu członków rady pamiętalo cos więcej: okupacja Adirondack i Silvern, dwóch światów Dominium Ludzi zajetych przez wojska Troftów, miała miejsce zaledwie przed czterdziestoma trzema laty, a to własnje ona zapoczątkowala cale przedsięwzięcie z Kobrami. Nie bylo przypadkiem, że osoby bezpośrednio kontaktujace sie z handlarzami Troftów miały co najwyżej po dwadzieścia kilka lat. Tylko tak mlodzi mieszkancy Aventyny potrafili bez uprzedzen spotykac sie z obcymi istotami.

Troft zatrzymal sie obok stolu i zaczekal, aż członkowie rady wydostana swoje sluchawki i dolacza je do gniazdek translatora. Jeden czy dwóch mlodszych wiekiem syndyków tego nie uczynilo, a Corwin

poczul zazdrosc, kiedy ustawial sile glosu wzmacniacza na minimum. Jego kurs rozumienia piskliwej mowy obcych istot trwal wprawdzie tyle samo godzin co tamtych ludzi, ale bylo jasne, ze nauka jezyków obcych nie byla jego mocna strona.

- Mezczyzni i kobiety Rady Swiatów zamieszkiwanych przez Kobry - odezwal sie w sluchawkach cichy glos. - Jestem Pierwszym Mówca domeny Tlos'khin'fahi Zgromadzenia Troftów.

Piskliwy jazgot mowy obcych istot trwal jeszcze przez sekunde po tym, jak glos z translatora ucichl, ale obie rasy juz na samym poczatku wzajemnych kontaktów ustalily, ze ludziom wystarcza jedynie trzy pierwsze parasyllaby nazw domen Troftów i ze dokladne tłumaczenie nazw własnych byloby tylko strata czasu.

- Wladca domeny Tlos'khin'fahi skierowal do pozostalych czesci Zgromadzenia prosbe o informacje, w wyniku czego moze wam przedstawić propozycje zawarcia przez was trójstronnego ukladu z domenami Pua'lanek'zia i Baliu'ckha'spmi.

Corwin skrzywil sie z niesmakiem. Nigdy jakos nie przepadal za umowami, w których braly udział dwie lub wiecej domen. Przyczyna byla zarówno delikatna polityczna równowaga, o jaka swiaty ludzi musialy czesto walczyć, jak i fakt, ze ludzie właściwie nigdy nie wiedzieli o umowach zawieranych w takich przypadkach między samymi Troftami. Umowy takie musialy jednak istniec, gdyz pojedyncze domeny bardzo rzadko - o ile w ogóle - przekazywaly sobie cos za darmo.

O tym samym musialy widocznie myslec i inne osoby uczestniczace w zebraniu rady.

- Mówisz o ukladzie trójstronnym, a nie czterostronnym - odezwal sie gubernator Dylan Fairleigh. - Jaka wiec role w tym wszystkim chcialaby odgrywac domena Tlos'khin'fahi?

- Wladca mojej domeny zastrzega sobie funkcje posrednika - padla natychmiastowa odpowiedz. - Za te funkcje nie otrzymamy zadnego wynagrodzenia.

Troft przebiegl palcami po szarfie na brzuchu i ekran przed Corwinem rozjarzyl sie obrazem mapy pokazujacej blizsza polowe Zgromadzenia Troftów. Na jednym ze skrajów ich terytorium zaczely pulsowac trzy male, czerwone gwiazdki.

- Swiaty zamieszkiwane przez Kobry - wyjasnil ich znaczenie Troft, chociaz wcale nie bylo to konieczne.

W innym miejscu, w prawym górnym rogu ekranu, mniej wiecej w jednej czwartej odleglosci od wyrzucenia bedacego czescia Terytorium Troftów, zaswiecila sie pojedyncza zielona gwiazda.

- Swiat nazywany przez swoich mieszkanców Qasama - ciagnal Troft. - Wladca domeny Baliu'ckha'spmi okresla ich mianem rasy obcych istot stanowiacych ogromne potencjalne zagrozenie dla calego Zgromadzenia. Tutaj zas...

W miejscu polozonym w poblizu pulsujacej zielonej gwiazdy, ale blizej Swiatów Ludzi, pojawila sie mglista plama o nieregularnych kształtach.

- Gdzies w tych okolicach znajduje sie gromada pieciu polozonych blisko siebie swiatów, na których panuja warunki umozliwiajace zycie ludzi. Wladca domeny Pua'lanek'zia okresli ich dokladne polozenie i zobowiazuje sie uzyskac zgode calego Zgromadzenia na skolonizowanie ich przez ludzi, jezeli wasze Kobry usuna zagrozenie, jakie stanowi dla nas Qasama. Oczekuje na odpowiedz.

Troft odwrócił się i ruszył w stronę wyjścia... i wówczas dopiero Corwin zdał sobie sprawę z tego, że wstrzymywał oddech. Piec nowych, nie zasiedlonych jeszcze światów... za cenę zostania najemnikami Troftów.

Zastanowił się, czy Troft mógł wiedzieć, jaka burzę wywoła swoją propozycja.

Nawet jeżeli tego nie wiedział, z pewnością rada uswiadamiła to sobie bardzo dobrze. Przez prawie całą minutę w sali panowała głucha cisza, w trakcie której każdy z członków widocznie próbował przewidzieć możliwe skutki przyjęcia lub odrzucenia tej oferty. W końcu Stigur odchrząknął i powiedział:

- Rzecz jasna, nikt z nas nie zamierza odpowiadać na te propozycje jeszcze dzisiaj ani nawet nie chce dyskutować jej wad i zalet, niemniej będę wdzięczny za wszelkie wstępne uwagi, jakie mogły nasunąć się po jej wysłuchaniu.

- Jeżeli o mnie chodzi, przede wszystkim chciałabym dowiedzieć się czegoś więcej, zanim w ogóle zaczniemy poważnie dyskutować - odezwała się gubernator Lizabet Telek. Jej wiecznie pełen zaniepokojenia głos nie pozwalał się zorientować, co może sądzić na ten temat. - Na początek mogłoby to być coś więcej o tych obcych istotach: ich dane biologiczne, stan zaawansowania techniki, szczególnie na temat rzekomego zagrożenia, jakie stanowią dla Troftów, i tak dalej. Stigur pokręcił głową.

- Pierwszy Mówca albo nie dysponuje żadnymi innymi informacjami na ten temat, albo nie chce ujawnić ich nam za darmo... już go o to wypytywałem. Osobście podejrzewam, że raczej chodzi o ten pierwszy powód, jako że nie widzę potrzeby, dla której domena Tlos miałaby kupować coś, co i tak byłoby dla niej tylko abstrakcyjną informacją. A zanim ktoś zechce mnie o to zapytać, chce powiedzieć, że to samo dotyczy także informacji na temat tych pięciu światów oferowanych nam przez domenę Pua.

- Innymi słowy, mamy zawrzeć umowę, na temat której właściwie nic nie wiemy? - odezwał się jeden z młodszych syndyków.

- Niezupełnie - rzekł gubernator Jor Hemner i pokręcił głową, choć był to ryzykowny ruch u kogoś wyglądającego tak staro. - Istnieje wiele innych pośrednich możliwości, takich choćby jak zakup informacji o tych światach od domeny Baliu albo wysłanie własnej wyprawy rozpoznawczej. Zgodnie ze swoją standardową procedurą handlową Troftowie oczekują, że to my pierwsi zaproponujemy im coś takiego. Zastanawiam się tylko, czy ustanawianie takiego precedensu to rozsądny pomysł.

- A dlaczego nie? - odezwał się ktoś inny, siedzący po tej samej stronie sali co Corwin. - To strach przed Kobrami powoduje, że Troftowie zachowują się wobec nas przyjaźnie, prawda? W jaki lepszy sposób moglibyśmy im wykazać, że tego rodzaju przezorność jest przez nas mile widziana?

- A jeżeli przegramy? - zapytał cicho Hemner.

- Kobry jeszcze nigdy nie przegrały.

Corwin popatrzył na gubernatora Howie'ego Yartansona z Caeliany, zastanawiając się, czy nie chciałby zabrać głosu. Ten jednak tylko lekko zacisnął usta i milczał. Corwin już kiedyś się przekonał, że politycy z Caeliany mieli zwyczaj nie rzucić się w oczy, ilekroć przybywali na Aventine, ale czuł, że ktoś jednak powinien powiedzieć coś więcej na ten temat. Najlepiej delikatnie, o ile to możliwe...

- Chciałbym zwrócić uwagę - przemówił w końcu - że posiadanie jednej lub kilku nowych planet

pozwoliloby nam rozwiaczkac problemy Caeliany bez pozbawiania dziewietnastu tysiecy jej mieszkanców prawa do wlasnego swiata.

- Tylko wówczas, gdyby zechcieli ja opuscic - powiedzial Stiggur, ale zgodnie z przewidywaniami Corwina wzmianka o Caelianie widocznie zwrócila mysl czlonków rady na istniejacy od dawna pat w walce miedzy Kobrami a wrogim ludzom ekosystemem tego dziwacznego swiata.

Oficjalne raporty okreslaly ten stan wdziecznym mianem „nieustannej adaptacji genetycznej”. Sami Caelianie natomiast nazwali to bardziej dosadnie „piekielnym galimatiasem”. Wszystkie rosliny czy zwierzeta na planecie, od najmarniejszego porostu do najwiekszego drapieznika, mimo wysilków ludzi, by je z niej usunac, byly bezmyslnie nastawione na trzymanie sie wlasnej ekologicznej i terytorialnej niszy. Jesli oczysci sie z roslinnosci jakis skrawek ziemi i otoczy go ochronna biologiczna bariera, po kilku dniach pojawi sie na nim tuzin nowych odmian tych samych roslin starajacych sie go odzyskac. Wzniesie sie dom w miejscu, w którym rosly krzaki - a niedlugo na jego scianach wyrosna miejscowe grzyby. Zbuduje sie osade czy nawet male miasto - a po jakimś czasie po ulicach beda chodzily zwierzeta... i to wcale nie te najmniejsze. Corwin kiedyś uslyszal, jak Jonny nazwal ten swiat wiecznie oblezonym przez przyrode. Tylko sami Caelianie wiedzieli, w jaki sposob - i dlaczego - znosili to wszystko tak cierpliwie.

Przez kolejna dluzsza chwile w sali znów panowala cisza. Stiggur rozejrzal sie po zebranych i kiwnal glowa, jak gdyby zgadzal sie z tym, co zobaczyl.

- No cóż - powiedzial w koncu. - Moim zdaniem gubernator Telek ma racje, kiedy mówi, ze musimy zebrać o wiele wiecej informacji, zanim w ogóle zaczniemy dyskutowac. Na razie chcialbym prosic, zebyscie, zanim sami nie omówimy wad i zalet tej propozycji, nie wspominali o niej mieszkancom waszych osad. A teraz ostatni punkt obrad, po którym bedziemy mogli sie rozejsc. Mam tutaj liste osób chcacych zostac Kobrami, która wymaga ostatecznego zatwierdzenia przez rade.

Na ekranie Corwina pojawilo sie dwanasie nazwisk - niezwykle duzo - a obok nich nazwy osad i okregów. Wszystkie nazwiska byly mu dobrze znane. Komisja kwalifikacyjna Akademii Kobr przelala radzie wyniki testów wstepnych niemal przed miesiacem. Justin Moreau byl wymieniony na tej liscie jako siódmy.

- Czy ktos z zebranych chcialby zglosic indywidualny albo zbiorowy sprzeciw wobec tego, by któryś z tych obywateli zostal Kobra? - zapytal zgodnie z przyjeta procedura Stiggur.

Kilka osób siedzacych najblizej Corwina zwrócilo glowy w jego strone, ale on, zacisnawszy zeby, wpatrywal sie w milczeniu w twarz gubernatora generalnego i nie podniósł reki.

- Nie widze. A zatem rada popiera opinie komisji kwalifikacyjnej Akademii Kobr i wyraża zgode na rozpoczecie nieodwracalnych etapów procesu szkolenia kandydatów na Kobry. - Stiggur nacisnal jakis klawisz i wszystkie ekrany w sali sciemnialy. - Oglaszam niniejsze zebranie rady za zakonczone.

Nieodwracalne etapy. Corwin slyszal juz przedtem te slowa ze dwadziescia razy, ale nigdy jeszcze nie brzmialy w jego uszach tak stanowczo. Moze dlatego, ze nigdy przedtem nie slyszal, by odnosily sie do jego mlodszeo brata.

Justin Moreau zatrzymal samochód przed samym domem. Czul, jak napiecie z jego ramion przenosi sie przez rece na zacisniete na kierownicy zbielale palce. Zaledwie przed godzina powiadomiono go przez telefon, ze rada wyrazila zgode na to, by zostal Kobra. Juz jutro mial sie poddac pierwszej operacji majacej na celu skierowac go ostatecznie i nieodwolalnie na szlak, przetarty przez ojca... ale jeszcze dzisiaj musi stawic czolo bólowi, jaki sprawil ta decyzja matce.

- Jesteś gotów? - zapytał siedzący obok niego Joshua.

- Bardziej już nigdy nie będę - odparł Justin. Otworzywszy drzwi, wysiadł i ruszył w stronę domu. Po chwili brat znalazł się obok niego.

Kiedy zapukali, drzwi otworzył im Corwin i mimo dreczącego go niepokoju Justin ucieszył się z nieuniknionej chwili wahania, jaka zajęło ich starszemu bratu zorientowanie się, który jest który. Nawet wśród identycznie wyglądających bliźniaków Joshua i Justin charakteryzowali się tym, że niemal nie można było ich odróżnić. Ten fakt zresztą był powodem niezliczonych pomyłek, jakie popełniali inni, nie widujący ich często ludzie. Nie mylili się tylko członkowie rodziny i bliscy przyjaciele, ale i ich można było całymi godzinami zwodzić, jeżeli tylko bracia zamieniali się potajemnie tunikami. Próbowali tych sztuczek wiele razy, a przestali, kiedy w końcu ich ojciec zagroził, że naznaczy im czoła niezmywalną farbą.

- Joshua, Justin - odezwał się na ich widok Corwin i kiwnął głową, spojrzawszy na nich po kolei, jak gdyby chciał im dowiedzieć, że rozpoznał ich prawidłowo. - Porzucicie wszelką nadzieję na beztrudną rozmowę, wy, którzy tu wchodzić. Dzisiaj wieczorem Rada Wojenna Rodziny Moreau zaczyna obrady.

Zaraz się zacznie - jęknął w myślach Justin. Corwin jednak już zdążył się usunąć na bok, a Joshua właśnie wchodził, a więc było za późno, żeby się wycofać. Zgarbiwszy się, ruszył w ślad za bratem.

Zastal rodziców siedzących obok siebie na wersalce w salonie. Z przyzwyczajenia przyjrzał się uważnie ojcu i ocenił, że od czasu, kiedy widział go po raz ostatni, sprawia wrażenie trochę bardziej chorego. Stwierdził jednak, że choroba nie postępuje bardzo szybko. Znacznie bardziej zaniepokoił go przelotny skurcz bólu, jaki przemknął po twarzy ojca, kiedy uniósł lekko dłoń, żeby pozdrowić obu synów. Przeciwbólowe tabletki, które zazywał w związku z artretyzmem, z pewnością aż tak bardzo nie wpływały na jasność myślenia. Jeżeli zdecydował się ich nie zająć, musiał istnieć naprawdę jakiś ważny powód. Spojrzenie na ponurą twarz matki tylko go o tym upewniło. Przez dłuższą chwilę rozmyślał, że zapewne nie docenił siły, z jaką rodzina sprzeciwi się jego ambicjom zostania Kobra.

Ale nie trwało to długo.

- Obiad będzie gotowy za pół godziny - odezwał się Jonny do bliźniaków, kiedy wybrali sobie krzesła i usiedli. - W tym czasie chciałbym się dowiedzieć, co za propozycje przedstawił Stiggur na dzisiejszym zebraniu rady. Corwin?

Corwin usiadł na krzesle stojącym w miejscu, z którego mógł widzieć twarze pozostałych osób.

- To wszystko ma być, rzecz jasna, utrzymywane w tajemnicy - zaczął... i uraczył ich najdziwniejszą historią, jaka Justinowi udało się kiedykolwiek usłyszeć.

Jonny zaczął, aż minie kilka sekund po tym, jak jego najstarszy syn skończył mówić, a potem, przymrużywszy oko, zwrócił się do bliźniaków.

- No, co o tym sądzicie? - zapytał.

- Nie ufam im - odezwał się pośpiesznie Joshua. - Szczególnie domenie Tlos. Z jakiego powodu mieliby oferować nam swoje usługi za darmo?

- To akurat wydaje mi się oczywiste - powiedział mu Jonny. - W kontaktach handlowych nazywa się

cos takiego darmowa próbka... i jest to zreszta korzystne dla obu partnerów. Jeżeli podejmiemy się tego zadania, a domenie Baliu spodoba się nasza praca, Tlossowie bez wątplenia zaoferują swe pośrednictwo jako nasi agenci w rozmowach z innymi domenami, które mogą się nami zainteresować.

- A jeśli nam spodoba się ich praca, zaoferują swoje usługi w wyszukiwaniu dla nas nowych zadań - dokonał Corwin. - Próbowali nas w taki sam sposób zachęcić wówczas, kiedy po raz pierwszy nawiązywaliśmy kontakty handlowe z Troftami. To zreszta jest powodem, dla którego tak duża część wymienianych przez nas towarów z nimi przechodzi teraz przez ich ręce.

- No dobrze - odezwał się Joshua, wzduszając ramionami. - Przypuszcmy, że za ich propozycją nie kryje się nic więcej. Czy pięć stanowiących dla nas wątpliwą atrakcję planet jest warte tego, żeby toczyć wojnę? I to taka, do której nikt nas nie sprowokował?

- Spójrz na ten problem z innej strony - odpowiedział mu Corwin. - Przypuszcmy, że te nieznane obce istoty naprawdę stanowią zagrożenie. Czy wolno nam ten fakt ignorować i mieć nadzieję, że nas nie odnajdą? Może jednak byłoby lepiej rozprawić się z nimi teraz, kiedy będziemy mogli zrobić to względnie łatwo?

- A co ma znaczyć to twoje „względnie łatwo”? - zapytał go Joshua.

Corwin popatrzył na matkę siedzącą z zacisniętymi ustami. Dyskusja zaczęła przebiegać zgodnie ze znanym mu od dawna schematem: w takich rozmowach okrągłego stołu Corwin zazwyczaj podejmował rolę zwolennika, co znaczyło, że Jonny był zmuszony wynajdywać kontrargumenty, jak gdyby chciał być przeciwnikiem. Byłoby bardzo ciekawe wiedzieć, co naprawdę myśli, ale nie miał zwyczaju ujawniać swojego zdania, zanim obaj bliźniacy nie wygłosili swojego. Chryś jednak mogła nie być aż taka powściągliwa.

- Mamo, ty jeszcze nic nie mówiłaś - powiedział. - Co sądzisz na ten temat?

Spojrzała na niego, a w kącikach jej ust pojawił się niesmiały, zmęczony uśmiech.

- Na temat tego, że zamierzasz zostać Kobry? To jasne, że nie chciałabym, byś ryzykował życie dla światów, których nie będziemy potrzebowali w ciągu najbliższego tysiąclecia. Pomijając jednak moje emocje, czysta logika zmusza mnie do zastanowienia się nad tym, dlaczego Troftowie wybrali właśnie nas do tej pracy. Dysponują machiną wojenną co najmniej dorównującą tej, jaką ma Dominium... jeżeli sami nie potrafią uporać się z zagrożeniem ze strony obcych istot, dlaczego się spodziewają, że my to potrafiemy?

Justin popatrzył na Joshue i zobaczył malujący się na jego twarzy cień niepokoju - zapewne reakcja na zaskoczenie, jakie sam odczuwał. Było to zrozumiałe: Justin wiedział o wiele więcej od brata na temat zarówno możliwości jak ograniczeń Kobry. Odwrócił głowę w stronę ojca i ujrzał wpatrzony w siebie jego oczy.

- Tak, to dziwne - powiedział.

- Masz rację - zgodził się z nim Jonny. - Jedyną przewagą nad wyszkolonymi do walki żołnierzami, jaką mają Kobry, wynika z faktu, że ich uzbrojenie jest niewidoczne. Trudno mi sobie wyobrazić, by w jakiegokolwiek innej wojnie niż partyzancka taki fakt mógł decydować o zwycięstwie.

- Rzecz jasna, najbliżsi wyszkoleni do walki żołnierze, o których mi wiadomo, znajdują się na światach Dominium... - zaczął Corwin.

- A wiec jesli moga proponowac to nam, równie dobrze moga zaproponowac to im - dokonczyl za niego Justin. - Czy mam racje?

Corwin kiwnal glowa.

- To pozostawia mi tylko jedna odpowiedz na zadane przez mame pytanie.

Na krótka chwile w salonie zapadla cisza.

- Próba - przerwal ja w koncu Justin. - Chca poddac nas kolejnej próbie, zeby stwierdzic, do jakiego stopnia Kobry sa niezwyeczzone. Jonny kiwnal glowa.

- Nie widze zadnego innego powodu. Zwlaszcza, ze domeny zlokalizowane po naszej stronie Zgromadzenia Troftów najprawdopodobniej nie mialy podczas wojny zadnego kontaktu z ludzmi. Dysponuja wiec jedynie raportami domen znajdujacych sie po tamtej stronie. Moze doszli tam do wniosku, ze te relacje sa znacznie przesadzone.

- No dobrze... co zatem powinnismy zrobic? - zapytal Joshua. - Postapic asekurancko i odpowiedziec, ze nie interesuje nas zawód najemnika?

- Zalecalbym tak wlasnie zrobic - westchnawszy, odezwal sie ich ojciec. - Niestety jednak... Corwin, moze lepiej ty im powiedz.

- Zaraz po zakonczeniu zebrania rady postaralem sie dowiedziec, co sadza na ten temat przynajmniej niektórzy jej czlonkowie. Osmiu syndyków i dwóch gubernatorów, z którymi rozmawialem i którzy doszli do podobnych wniosków, podzielilo sie na dwa równe liczebnie obozy w sprawie kwestii, czy nieskorzystanie z oferty nie byloby niebezpiecznym sygnałem swiadczacym o naszej slabosci.

- A jezeli z niej skorzystamy i przegramy, jakim bedzie to wówczas sygnałem? - parsknal Joshua.

Justin popatrzył na Corwina.

- A co sadza na ten temat inne zasiadajace w radzie Kobry? - zapytal. - Rozmawiales z nimi?

- Tylko z jednym. Byl bardziej zainteresowany rozmaitymi modyfikacjami, jakie trzeba bedzie wprowadzic w wyposazeniu i uzbrojeniu Kobr, zeby przygotowac ich do udzialu w prawdziwej wojnie.

- Wlasciwie bedzie to wymagaloby wymiany systemu naprowadzania na cel - stwierdzil Jonny. - Ten, który pozostawiono Kobrom, nie umozliwia nam zajmowania sie wieloma celami równocześnie, a z taka sytuacja mozemy sie spotkac podczas walki. Oprócz tego trzeba zmodyfikowac tresc niektórych wykladów i cwiczen praktycznych, ale poza tym nie widze potrzeby wprowadzenia innych zmian. Rzecz jasna, nanokomputery wciaz maja zaprogramowane wszystkie odruchy bitewne.

Justin przesunal jezykiem po wargach. Odruchy bitewne. Broszury informujace na temat Kobr nigdy nie mówily o nich wyraznie, ale przeciez to na tym mimo wszystko polegala Zdolnosc do Natychmiastowej Obrony. Odruchy bitewne. Nanokomputer. Cos, co dzialalo calkiem rozsadnie w przypadku walki sam na sam z kolczastym lampartem, nie wydawalo sie juz tak samo niezawodne, jezeli chodzilo o prawdziwa wojne.

A jednak... jeden z tych samych malych komputerów pomógł jego ojcu przezyc trzy lata partyzanckiej

wojny z Troftami. Jego ojcu, a także Cally'emu Halloranowi i setkom innych Kobr. Nanokomputer i laminowane, nielamliwe kości, i sieć serwomotorów wspomagających działanie mięśni, i lasery, i bronsoniczna... Zorientował się, że wodzi wzrokiem po sylwetce ojca, starając się przypomnieć sobie te wszystkie urządzenia, jakie mu kiedyś implantowano... urządzenia, które chirurdzy akademii Kobr zaczęła już jutro implantować jemu...

Usłyszał nagle wymówione swoje imię. Ocknawszy się z zadumy, popatrzył na starszego brata.

- Przepraszam - powiedział. - Trochę się zamysliłem. Co mówiles?

- Pytałem, co sądzisz o zostaniu najemnikiem, gdyby do tego miało się doprowadzić całe to przedsięwzięcie - rzekł Corwin. - Chodzi mi o stronę etyczną.

Justin niechętnie wzruszył ramionami i odwrócił głowę, starając się uniknąć wzroku brata.

- Może będziemy w ten sposób bronili przed zagrożeniem ze strony obcych istot również nasze światy - odparł. - Z pewnością uzmysłowimy całemu Zgromadzeniu Troftów, jakimi możliwościami dysponujemy. Tak czy inaczej, przysłużymy się w ten sposób naszym mieszkańcom... a w tym celu szkolone są przecież Kobry.

- Innymi słowami, nie miałbyś nic przeciwko braniu udziału w walce? - zapytała go cicho Chrys.

Justin skrzywił się na te słowa, ale głos mu nie zadrzał, kiedy odpowiedział:

- Nie mam nic przeciwko temu, jeżeli to będzie konieczne. Nie sądzę jednak, byśmy mieli decyzje w tak ważnej sprawie pozostawiać Troftom. Rada powinna zebrać wszystkie możliwe dane o obcych istotach i wówczas podjąć decyzje w sprawie tych pięciu planet, którymi starają się nas skusić Troftowie.

W kuchni odezwał się cichy, melodyjny kurant.

- Czas na obiad - oświadczył Jonny, wstając ostrożnie z wersalki. - A wraz z porą posiłku ogłaszam koniec rozmów o polityce. Dziękuję wam za poparcie. To miło wiedzieć, że cała rodzina osiągnęła w tej sprawie zgodę. A teraz chodźmy do kuchni i pomóżmy matce. Trzeba nakryć stół, oplukac warzywa i pokroić pieczeni... myślę, Corwin, że tym razem twoja kolej.

Corwin tylko kiwnął głową i ruszył do kuchni, a tuż za nim udał się tam Joshua. Chrys zatrzymała się przez chwilę przy Jonnym, a Justin ociągał się tak długo, że zdolał dostrzec, iż ojciec wyjmując z kieszeni fiolkę z tabletkami przeciwbólowymi. Rozmowa o polityce naprawdę się skończyła - powiedział sam do siebie.

Zostawiwszy rodziców samych, pośpieszył do kuchni pomóc braciom.

Rozdział trzeci

W ciągu ostatniego roku czy dwóch w tej części Trappers Forrest szalały awenturskie gwałtowne burze z piorunami, na skutek których najwyższa góra tego rejonu bardzo ucierpiała. Co najmniej jedno drzewo zostało rozłupane przez piorun na szczapy, a sześć czy siedem innych powalonych czy to przez pioruny, czy przez wichurę. W rezultacie na samym wierzchołku góry powstała naturalna polana, która mimo nierówności gruntu umożliwiała dobry widok w promieniu trzydziestu metrów od szczytu. Był to nieoczekiwany luksus, jeżeli chodzi o punkt dowodzenia przecietnego Kobry... ale przecież zakres obowiązków przecietnego Kobry nie przewidywał, że będzie musiał uważać na cywilnych obserwatorów.

Ustawiając czułość wzmacniaczy słuchu na maksimum, Almo Pyre powiódł wzrokiem po skraju polany, doskonale świadom obecności stojącej tuż za nim kobiety w średnim wieku. Nie tylko była osobą cywilną, ale jednym z trzech awenturskich gubernatorów, a troszczenie się o bezpieczeństwo kogoś tak ważnego to zbyt cenne - żeby nie powiedzieć bezmyślne - ryzyko, którego nie zgodziłby się podjąć żaden trzeźwo myślący Kobra. Nie powinienem jej zabierać - pomyślał z irytacją Pyre. - Oficjalna nagana byłaby niczym w porównaniu z piekłem, jakie rozpęta się, jeżeli ona przypadkiem zginie.

W umieszczonej w jego prawym uchu słuchawce odezwało się ciche mruczenie - trzy krótkie dźwięki. To Winward zauważył jednego z kolczastych lampartów, na które polowali. Pyre pojedynczym mruknięciem do mikrofonu umieszczonego na policzku dał znać, że go zrozumiał, ostrzegając przy tej okazji innych. Ten ograniczony i często mało praktyczny w użyciu system porozumiewania się za pomocą mruknięć miał jednak pewną przewagę nad słowami. Dźwięki były na tyle ciche, że nie uruchamiały ograniczników głośności sygnałów odbieranych przez wzmacniacze słuchu.

- Hm? - mruknela pytająco gubernator Telek. Uczyniła to nieco głośniejszym głosem niż odezwałby się Kobra, ale skierowała się na tyle, żeby nie zapytać na głos.

Pyre ograniczył czułość wzmacniacza słuchu i uważnie zaczął obserwować skraj polany.

- Michael odnalazł jednego - wyjaśnił jej niemal szeptem. - Pozostali będą teraz kierowali się w jego stronę, starając się odnaleźć inne dorosłe osobniki albo legowisko z młodymi.

- Młodymi - powtórzyła Telek i chociaż w jej głosie nie dało się usłyszeć emocji, można było się domyślić, że tego nie pochwala.

Pyre lekko wzruszył ramionami. Czyżby w przeswicie między dwoma drzewami zobaczył jakiś poruszający się cień?

- Tegoroczne młode w przyszłym roku zaczną się rozmnażać - przypomniał. - Jeżeli pani i inni biologowie wymyślą jakiś sposób na to, żeby...

Z prawej strony dobiegł go nagły świst gałęzi drzewa. Odwrócił się natychmiast i zobaczył szybującego ku nim wielkiego kota.

Pyre od razu się zorientował, że skok okaże się za krótki. Wiedział jednak, że drapieżnik spadnie wszystkimi łapami na ziemię i natychmiast na nich skoczy. Dłonie Pyre'a były już gotowe do strzału: małe palce wyciągnięte w stronę lamparta, a kciuki zetknięte z paznokciami serdecznych palców. Kiedy tylne łapy szybującego zwierza zaczęły się prostować, wystrzelił.

Lasery małych palców zakwitły nitkami światła, które trafiły lamparta w leb, zwęgłając futro i kości i

niszcząc część komórek mózgu. Oczy zwierza jednak, w które celował, nie zostały zniszczone, a bardziej od ludzkiego zdecentralizowany system nerwowy drapieżnika nie zareagował na uszkodzenia mózgu, jak gdyby w ogóle ich nie zauważył. Kolczasty lampart wylądował, poslizgnawszy się lekko na suchych, leżących na ziemi gałkach...

Pyre wykonał półobrót i unosił właśnie do strzału lewą nogę, kiedy Telek głośno nabrała powietrza w płuca.

- Uważaj! Z tyłu! - niemal krzyknęła.

Pyre mógł sobie w tej sytuacji pozwolić tylko na rzut oka przez ramię, ale to wystarczyło. Cien, ruszający się przed chwilą w lesie, przemienił się w drugiego kolczastego lamparta, pedzającego teraz ku nim niczym futrzany pocisk.

Obracając się nadal w tę samą stronę, w którą zaczął, Pyre nie był w stanie wyrzucić drugiemu drapieżnikowi zadnej krzywdy.

- Na ziemi! - warknął do Telek, rozpaczliwie starając się zwrócić uwagę szarżującego lamparta na siebie.

Był pewien, że dzięki zaprogramowanym odruchom zdoła w porę uskoczyć, ale wiedział też, że żadne postronne osoby nie będą miały takiej szansy. W ułamek sekundy później jego noga znalazła się w pozycji dogodnej do strzału, a z piety buta wystrzelił strumień jaskrawego światła z przeciwpancerneho lasera.

Nie było czasu na ocenę skutków tego strzału. Musiał założyć, że pierwszy lampart został przynajmniej na jakiś czas obezwładniony. Nie przestając się obracać, Pyre postawił lewą nogę na ziemi obok prawej, a prawą zaczął unosić...

W samą porę, by trafić pięta w łeb szarżującego drugiego kolczastego lamparta.

Nie mogło być mowy o tym, żeby stojąc na lewej nodze, zdołał zamortyzować całą siłę uderzenia zwierzęcia - toteż w chwili, w której kły lamparta chwytaly podeszwy jego buta, przewrócił się. Upadając, podkurczył lewą nogę i szarpnięciem uwolnił but prawej z paszczy... a kiedy drapieżnik szybował nad jego głową, raptownie wyprostował lewą i całą siłą wspomaganą przez serwomotory mięśni kopnął go w miękkie podbrzusze.

Kolczasty lampart wydał przeraźliwy skowyt, a Pyre zauważył, jak kolce jego przednich łap wysunęły się w obronnym odruchu do przodu i na boki. Zwierze wiedziało, że jest ranne... chociaż z pewnością nie mogło przypuszczać, że jego los jest przesadzony. Poza uszkodzeniem organów wewnętrznych, ten sam kopniak, który wymierzył mu Pyre, podrzucił go w powietrze trochę wyżej, a dodatkowe pół sekundy, jakie dzięki temu lampart szybował, zanim wylądował na ziemi, wystarczyło, żeby Pyre przygotował lewą nogę do strzału. Przeciwpancerne laser rozbrzysnął światłem dwa razy i drapieżnik opadł na ziemię w postaci dymiących szczątków.

Pyre podniósł się, po czym odruchowo spojrzał najpierw na nieruchome zwłoki pierwszego kolczastego lamparta, a potem odwrócił się i popatrzył, co dzieje się z gubernator Telek.

Kobieta przykucnęła na ziemi w niewielkim zagłębieniu między pniami dwóch powalonych drzew, a w prawej dłoni trzymała mały pistolet pneumatyczny, z którym się nigdy nie rozstawała.

- Czy niebezpieczeństwo już minęło? - zapytała, a w jej głosie dało się słyszeć tylko nieznaczne drzenie.

Pyre uważnie omiół wzrokiem całą okolice.

- Tak sądzę - odparł, a potem podszedł do niej i podał jej rękę, chcąc pomóc jej się podnieść. -
Dziękuję za ostrzeżenie.

- Nie ma za co.

Nie przyjęła pomocy, a kiedy wstała, otrzepała ubranie z kurzu i zeschłych liści.

- Słyszałam doniesienia z innych okolic o tym, że kolczaste lamparty ostatnio coraz częściej polują parami, ale nie miałam pojęcia, że coś takiego może się dziać i tutaj. Sądziłam, że w tych gestych lasach nie powinny czuć się tak bardzo zagrożone...

- A jednak się czują - odparł ponuro Pyre. - Jak powiedziałem, jeżeli wy, biologowie, nie zrobicie czegoś, żeby temu przeciwdziałać, takie polowania w grupach zaczną przytrafiać się nam coraz częściej.

- Prawde mówiąc, ostatnio nie interesuje się najnowszymi wynikami badań biologicznych tak bardzo jak kiedyś...

Przerwała, kiedy Pyre uciszył ją uniesieniem ręki.

- Meldujcie - odezwał się cicho do mikrofonu. - ...Tak. Potrzebujecie pomocy?... W porządku. Wróćcie tutaj, kiedy tylko skończycie.

Telek przez cały ten czas nie spuszczała go z oka.

- Znaleźli legowisko - oznajmił. - Było w nim dziesięcioro młodych.

Jej usta mocno się zacisnęły.

- Dziesięcioro. Przed dwudziestu laty miot samicy kolczastego lamparta nigdy nie liczył więcej niż dwa do trzech kociąt. Nigdy.

Pyre niechętnie wzdusił ramionami i palcami przeczesał przeczadzające się włosy. Mam czterdzieści siedem lat - pomyślał - a wciąż uganiam się po lesie jak dzieciak, który dopiero awansował na oficera. Mógłby wysłowić swą gorycz, gdyby jego zadanie nie było aż tak ważne.

- Przepędziliśmy je ze zbyt dużej części zajmowanego przez nie obszaru - powiedział, krecąc głowę. - Nie wiem, w jaki sposób zdają sobie z tego sprawę, ale jakos wiedza, że na Aventynie jest miejsce dla znacznie większej liczby kolczastych lampartów. Przynajmniej teoretycznie.

Telek cicho parsknęła.

- Teoretycznie, dobre sobie. Już widzę te kolczaste lamparty spacerujące po ulicach Capitalii. - Teraz ona pokręciła głowę. - Żebyś wiedział, Pyre, jak często biologowie tęsknili za planetą z ekosystemem, który sam potrafiłby leczyć zadawane mu przez ludzi rany. A teraz mamy takie aż dwie... i kłopotów z nimi co niemiara.

- Jeżeli chodzi o Caeliane, kłopoty nie są najwłaściwszym słowem, pani gubernator - mruknął Pyre.

- To prawda.

Cos w tonie jej głosu sprawiło, że odwrócił głowę i popatrzył na nią. Zobaczył, jak z mocno zacisniętymi ustami wpatruje się w skraj lasu.

- No cóż... - powiedziała. - Może jednak będziemy mogli coś w jej sprawie zrobić.

- Uważam, że jedyną rzeczą, jaką możemy zrobić w sprawie Caeliany, to ja opuścić - odparł.

- Właśnie to miałam na myśli - rzekła, kiwnawszy głową. - Powiedz mi, czy będę mogła się z tobą skontaktować i prosić cię o radę jeszcze przed wyznaczonym na pojutrze zebraniem? Potrzebna mi będzie opinia przywódcy grupy Kobr, który ma duże doświadczenie w pracy.

- Myślę, że tak - odparł z wahaniem. - Ale dopiero wówczas, kiedy skończymy prace w tych stronach.

- To świetnie - ucieszyła się. - Sądzę, że moja propozycja powinna cię bardzo zainteresować.

Watpie - pomyślał posepnie, zwracając ponownie uwagę na linie lasu. - Jeszcze jeden polityczny umysł i jeszcze jedna próba politycznego załatwienia sprawy. Raz - chociaż jedyny raz - chciałbym usłyszeć coś innego. Cokolwiek, byle tylko byłoby inne.

Niespodziewanie przed oczami stała mu twarz Torsa Challinora. Tego samego Challinora, który wiele lat wcześniej usiłował dokonać wojskowego zamachu stanu. No cóż - powiedział do swoich wspomnień, wzruszając ramionami. - Wobec tego chciałbym usłyszeć coś przynajmniej chociaż trochę innego.

Rozdział czwarty

- Niniejszym ogłaszam dzisiejsze zebranie za otwarte - odezwał się gubernator generalny Stiggur, po tym, jak dramatycznym gestem opuścił dłoń i nacisnął klawisz uruchamiający zaplombowany rejestrator.

Corwin doszedł do wniosku, że w pewnym sensie cały efekt tych słów się marnuje, kiedy padają w pomieszczeniu wielkości sali konferencyjnej, gdzie przebywa zaledwie sześć osób.

- Zaprosiłem was tutaj - ciągnął tymczasem Stiggur - w celu przedyskutowania problemu postawionego na zebraniu rady przed dwoma tygodniami, a mianowicie, czy podjąć się zadania zaproponowanego nam przez domene Tlos.

Corwin popatrzył ukradkiem na siedzące wokół stołu pięć osób pełniących funkcje gubernatorów, czując jak nigdy przedtem podczas zebrania rady ciężar otaczającej go politycznej władzy. Przygniatający, przytłaczający, niemal duszący ciężar...

Dopóki nie odezwala sie gubernator Telek i swoja wypowiedzia nie zdjela mu go z ramion.

- Rozumiem, Brom, ze twoje slowa maja zrobic wrazenie na przyszłych pokoleniach - odezwala sie do Stiggura - ale czy nie mógłbys darowac sobie tych napuszonych, anachronicznych sformulowan?

Stiggur popatrzył na nia, najwyrazniej chcąc spiorunowac ja wzrokiem, ale bylo widac, ze robi to raczej z obowiazku.

Zadne nie przybylo na Aventine przed wieloma laty z nadzieja na zrobienie kariery politycznej, i chociaz wywiazrywali sie z pelnionych funkcji na ogól poprawnie, w glebi duszy nie byli zawodowymi politykami.

- No dobrze - westchnal w koncu Stiggur. - Przypuszcmy, ze masz racje. Czy ktos z was nie chcialby zabrac glosu jako pierwszy?

- Przede wszystkim chcialbym wiedziec, gdzie w tej chwili podziewa sie honorowy gubernator Jonny Moreau - odezwal sie Howie Yartanson, gubernator Caeliany. - Wydaje mi sie, ze dzisiejsze zebranie powinno byc dla niego wazniejsze niz cwiczenia czy czymkolwiek innym teraz sie zajmuje.

- Mój ojciec przebywa w tej chwili w szpitalu - odparl spokojnie Corwin, opierajac sie pokusie, zeby powiedziec cos przykrego na temat tego bezmyslnego grubianstwa. Mimo wszystko tamten wiedzial przeciez, ze Jonny jest Kobra pierwszej generacji. - Lekarze sa zdania, ze ma klopoty z systemem immunologicznym - oznajmil tylko.

- Czy to cos powaznego? - marszczac brwi, zapytal go Stiggur.

- Chyba nie bardzo. Niemniej wydarzylo sie dosyc nagle, dzisiejszej nocy.

- Powinienes powiedziec komus z nas o tym wczesniej - zabral glos Jor Hemner, drzac dlonia niespokojnie gladzac rzadka brode. - Moglibysmy wówczas przelozyc to zebranie na inny termin.

- Nie moglibysmy, jezeli chcemy przedstawic nasza opinie na zebraniu calej rady jeszcze dzis po poludniu - sprzeciwil sie Corwin, spogladajac najpierw na Hemnera, a potem zwrócił sie do Stiggura. - Wiem, jakie jest zdanie mojego ojca w tej sprawie, prosze pana, i zostalem przez niego upowazniony do wystepowania dzisiaj w jego imieniu. Mam nadzieje, ze zechce pan wyrazic zgode, bym podczas tego zebrania pelnil funkcje jego pelnomocnika?

- No cóz, z czysto formalnego punktu widzenia...

- Och, na milosc boska, Brom, pozwól mu byc tym pelnomocnikiem i nie zawracaj nam glowy formalnosciami - przerwala mu gubernator Telek. - Dzisiaj rano mamy tak wiele spraw do zalatwienia, ze chcialabym wreszcie przejsc do rzeczy.

- Swietnie - rzekl Stiggur i unoszac brwi, powiódl wzrokiem po zebranych. - Ktos ma odmienne zdanie? Nie widze. Czy komus nie udalo sie wyciagnac od Troftów czegos wiecej na temat tej Qasamy?

Olor Roi odchrzaknal i powiedzial:

- Próbowałem wobec Pierwszego Mówcy tej znanej od dawna sztuczki z oswiadczeniem, ze uwazamy sie za planety niezalezne, ale mysle, ze jakos sie na niej poznal. Wydaje mi sie, ze Troftowie zaczynaja wreszcie rozumiec, iz stanowimy polityczna jednosc, chociaz wszyscy mozemy zawierac indywidualne umowy handlowe. Niemniej moim zdaniem ich przedstawiciel mówil prawde, kiedy oswiadczył, ze

powiedział nam wszystko, co wie na ten temat.

- Może jednak nie powiedział wszystkiego w nadziei, że ktoś z nas złoży mu korzystniejszą propozycję zakupu tej informacji - odezwał się Dylan Fairleigh, trzeci gubernator Awentyny.

Corwin pomyślał, że jego uwaga była bardzo naiwna i świadczyła o zupełnym braku doświadczenia w kontaktach handlowych z Troftami, które niemal automatycznie wynikały z przepisów prawa innych regionów Dalekiego Zachodu.

Yartanson, jak można się było spodziewać, nie zechciał bawić się w uprzejmości.

- Nie bądź śmieszny - prychnął. - Troftowie nie zatają jakiegokolwiek informacji, jeśli nie sugerują wyraźnie, że mają ją na sprzedaż. Co robisz przez ostatnie czterdzieści lat, że tego nie wiesz?

Twarz Fairleigha się nachmurzyła, ale zanim miał czas coś powiedzieć, wtraciła się Telek.

- No, dobrze - powiedziała. - Ustaliliśmy zatem, że Troftowie nie dysponują żadnymi innymi informacjami. Następnym oczywistym krokiem powinno być zatem dotarcie do kogoś, kto wie o tym coś więcej. Widzę tu dwie możliwości: domene Baliu albo sama Qasame.

- Chwileczkę - odezwał się Corwin. - Czy następnym krokiem nie powinno być ustalenie, czy w ogóle potrzebujemy tej informacji?

Telek spojrzała na niego wyraźnie zdziwiona.

- Oczywiście, że potrzebujemy. W jaki inny sposób będziemy mogli podjąć jakąkolwiek rozsądną decyzję?

- Najbardziej racjonalną decyzją byłoby w chwili obecnej powiadomienie Tlossów o tym, że nie przyjmujemy ich propozycji - odparł Corwin. - Jeżeli to zrobimy...

- Od kiedy chowanie głowy w piasek ma być racjonalną decyzją? - przerwała mu zgryźliwie Telek.

- Odmówienie im w tej chwili uważam za sprawę zasadniczej wagi - rzekł Corwin, czując, jak na czoło zaczynają mu występować krople potu.

Jonny wprawdzie ostrzegł go, że ten pogląd nie zostanie dobrze przyjęty przez pozostałych, ale Corwin nie był przygotowany na to, że sprzeciw może okazać się aż tak ostry.

- Takie stanowisko będzie znaczyło, że nie interesuje nas zostawanie niczyimi najemnikami.

- A co właściwie nas interesuje? - odezwał się Yartanson. - Jeżeli Qasama stanowi zagrożenie dla Troftów, możliwe, że będzie stanowiła również dla nas.

- Tak, ale... - zaczął Corwin i przerwał, kiedy zdał sobie sprawę z tego, że zaczyna brakować mu i słów, i argumentów.

Odprez się - nakazał sobie. - Nikogo przecież nie musisz się tu obawiać.

Kiedy walczył z ogarniającym go oniesmieleniem, niespodziewanie na pomoc przyszedł mu sam Stiggar.

- Sadze, ze Corwin stara sie nam powiedziec, iz nic nie stoi na przeszkodzie, byśmy sami wysłali wyprawę badawczą na Qasame czy gdziekolwiek okaze sie to konieczne, nawet wówczas, jezeli odrzucimy oferte domeny Baliu - powiedzial. - Na tym etapie rozmów nie jesteśmy związani tym, czego chcą od nas Troftowie, ale mamy wolną rękę, by zrobić to, co sami uznamy za najwłaściwsze.

- To brzmi bardzo szlachetnie - rzekła Telek, kiwnawszy głową. - Niestety, bardzo szybko się okaze, że na przeszkodzie stanie jeden bardzo istotny szczegół. Taki mianowicie, kto za to wszystko zapłaci, jezeli nie Troftowie.

Fairleigh poruszył się niespokojnie na krześle.

- Wydawało mi się zawsze, że Troftowie zaproponowali nam tylko te pięć planet, a nie mówili nic o zwrocie kosztów ekspedycji.

- Nie zawarliśmy jeszcze z nimi żadnej oficjalnej umowy, możemy więc zadać zwrotu kosztów jako części całego przedsięwzięcia - oświadczył z namysłem Roi. - Obawiam się jednak, że i tak w ciągu najbliższych kilku lat pozbawi nas to ochrony wielu Kobr. Jak szybko nasza akademia będzie mogła te braki uzupełnić?

- Zabiegi chirurgiczne i ćwiczenia zajmują łącznie trzy miesiące - odezwał się Corwin, który zaczął powoli przychodzić do siebie. - Badania kandydatów trwają zwykle następne dwa.

- Cały ten proces można skrócić do siedmiu tygodni - odezwała się Telek, sięgając po magnetyczną kartę i trzymając ją przez chwilę przed sobą, zanim umieściła w czytniku. - W ciągu ostatnich dwóch dni rozmawiałam z dwoma autorytetami w sprawach Kobr: Callym Halloranem, który walczył u boku Jonny'ego podczas wojny z Troftami, i Almem Pyrem, obecnym przywódcą grupy Kobr w okręgu Syzra. Dostarczyli mi informacji, dzięki którym mogłam dokonać analizy kosztów zarówno wstępnej wyprawy badawczej, jak trzech najbardziej prawdopodobnych wariantów operacji wojskowych.

Corwin wpatrzył się w dane, jakie pojawiły się na jego ekranie, a dwa nazwiska, które Telek wymieniła jak gdyby od niechcienia, obijały się w jego odretwiącym mózgu niczym dwa nie odbezpieczone granaty. Cally Halloran - jeden z najstarszych i najbardziej zaufanych przyjaciół jego ojca - i Almo Pyre - przyjaciel rodziny Moreau od kiedy Corwin pamiętał. Oderwawszy na chwilę wzrok od ekranu, zerknął na bok i zobaczył, że Telek spokojnie mu się przygląda - i nagle zrozumiał, co w ten sposób zamierza osiągnąć.

Wybierając przyjaciół Jonny'ego jako ekspertów, miała nadzieję nie dopuścić do sprzeciwu, jaki wobec jej danych mógłby zgłosić jedyny obecny wśród zebranych Kobra... a kiedy przyjrzał się uważniej wyświetlonym liczbom, zorientował się, do jakiego nieuniknionego wniosku miały doprowadzić.

Koszty nawet najskromniejszej z tych operacji wojskowych były po prostu astronomiczne. Halloran i Pyre ocenili, że do jej przeprowadzenia byłoby konieczne dziewięćset Kobr - jedna trzecia wszystkich Kobr żyjących na trzech światach - którzy musieliby pozostawać na Qasamie lub w jej pobliżu przez okres od sześciu do dwunastu miesięcy. Ich wyposażenie, wyżywienie i transport, a także uzupełnianie strat, gdyby niektórzy zostali zabici albo ranni - to kosztowałyby zbyt dużo jak na możliwości ekonomiczne trzech młodych, rozwijających się światów. Nagła utrata aż tylu Kobr naraz wstrzymałaby natychmiast wszelkie prace nad ujarzmianiem nowych obszarów na Aventynie i Palatinie, na Caelianie zaś z pewnością przyspieszyłaby ostateczną zagładę kolonii, co oznaczałoby wycofanie się z tego i tak nieprzyjaznego ludziom świata.

Po długiej ciszy, jaka zapadła wśród zebranych, pierwszy odezwał się Fairleigh.

- Lepiej byloby zalozyc, ze Qasama nie stanowi dla nas az tak bezposredniej grozby - mruknal. - Od dzwieciuset do trzech tysiecy Kobr. Ile czasu uplynie, zanim bedziemy mogli ich zastapic? Ach tak, juz widze...

Corwin odszukal te informacje na wlasnym ekranie.

- Oczywiscie, przy zalozeniu, ze bedziemy dysponowali nieograniczonym doplywem nowych kandydatow - powiedzial.

- Jezeli tych kandydatow nie bedzie albo nie postaramy sie o nich dosc szybko, bedziemy mieli prawdziwy klopot - burknal Roi. - Nasza obrona przed Troftami polega glownie na zalozeniu, ze bardzo sie obawiaja Kobr i ich umiejetnosci podczas walki. Gdyby sie dowiedzieli o tym, ze w czasie ewentualnej wojny mieliby do czynienia jedynie z marnymi niespelna trzema tysiacami...

Pokrecil z niedowierzaniem glowa.

- To jeszcze jeden powod, zeby im udowodnic, jak latwo jestesmy w stanie rozwinac nasz program szkolenia przyszlych Kobr - stwierdzila Telek. - Mozemy przeciez to zrobic... zwlaszcza kiedy to oni za taki dowod placa.

Pelna emocji dyskusja ciagnela sie jeszcze przez pol godziny, ale Corwin wiedzial, ze przegral. Z szesciu pozostalych zebranych w sali osob tylko Hemner i Roi byli sklonni rozwazyc jego propozycje. Gdyby zaden nie zmienil zdania, dwa glosy, jakimi dysponowal Corwin, spowodowaloby pat, w ktorym cztery glosy bylyby za i cztery przeciwko. Oznaczaloby to, ze radzie nie mozna przedstawic zadnej oficjalnej opinii. A zreszta, gdyby nawet taka opinie przedstawic, wynik glosowania rady byl niepewny, bez opinii zas - calkowicie niemozliwy do przewidzenia.

Kiedy prawdopodobienstwo wygranej zaczelo sie zbliczac do zera, Corwin po raz pierwszy od chwili uzyskania zgody na zastepowanie ojca zaczal sobie uzmyslawiac, ze bedzie musial zawrzec z pozostalymi jakis ukklad. Ukklad, ktorego wczesniej nie tylko nie mogl uzgodnic z ojcem, lecz takze nie mogl byc pewien, czy Jonny go zaakceptuje...

Zaczekal do ostatniej chwili, majac mimo wszystko nadzieje, ze uda mu sie tego uniknac, ale w chwili, w ktorej Stiggur mial zarzadzic glosowanie, podniosl reke.

- Chcialem poprosic o krotka przerwe, zanim rozpocznie sie glosowanie - oswiadczył. - Wydaje mi sie, ze przyda sie nam kilka nieoficjalnych rozmow czy wymiana pogladow, zanim wypowiemy sie w formalnym glosowaniu.

Brwi Stiggura nieco sie uniosly, ale bez wahania sie zgodzil, kiwnawszy tylko glowa.

- Niech bedzie - powiedzial. - Spotkamy sie ponownie za dwadziescia minut.

Wszyscy wyszli z sali, niemal w calkowitym milczeniu - widocznie i pozostali potrzebowali tej przerwy tak samo jak on - a po minucie czy dwuch Corwin siedzial juz w gmachu Dominium w biurze ojca. Przez dluga chwile wpatrywal sie w stojacy na biurku telefon, zastanawiajac sie, czy nie powinien przedyskutowac z kims tego, co chce zrobic. Wiedzial jednak, ze ojciec w szpitalu wciaz jeszcze bedzie poddawany kuracji biochemicznej, a nie chcial nawet zgadywac, co moglaby powiedziec na to matka. Moze wiec Theron Yutu, pracujacy teraz w drugim biurze na drugim koncu miasta? Nie. Bliznieta... Z nimi powinien o tym porozmawiac. Justin jednak byl nieosiagalny, gdyz przebywal w skrzydle

chirurgicznym akademii Kobr, a byloby nieuczciwie rozmawiac o tym tylko z Joshua... i w tej chwili sie zorientowal, ze stara sie znalezc wymowke. Nabrawszy gleboko powietrza, wstal z fotela swojego ojca i skierowal sie korytarzem ku drzwiom biura gubernator Telek.

Jezeli nawet byla jego widokiem zaskoczona, nie dala tego po sobie poznac.

- Witaj, Corwin - powiedziala, zamykajac za nim drzwi i zapraszajac go, zeby usiadl. - Mamy niezly orzech do zgryzienia, prawda? Co moze dla ciebie zrobic?

Corwin zaczekal, az usiadzie za biurkiem, a potem zapytal bez zadnego wstepu:

- Jak widzi pani wynik tego glosowania?

Po raz drugi nie okazala najmniejszego zdziwienia.

- Ja, Brom, Dylan i Howie bedziemy glosowali za. Pan, Jor i Olor przeciwko. Powstanie pat. Przyszedl pan tutaj namawiac mnie, zebym zmienila zdanie?

Pokrecil glowa.

- Wiedziala pani, ze mój ojciec bedzie sie temu sprzeciwial, prawda? To wlasnie dlatego wciagnela pani w to Cally'ego i Alma?

- Pana ojciec byl jednym z najbardziej zagorzalych przeciwników Akademii Kobr, kiedy organizowano ja tutaj przed jakimis dwudziestoma piecioma laty - przypomniala. - Nie trudno zgadnac, ze bedzie przeciwny jakiegokolwiek propozycji zwiekszajacej liczbe Kobr.

Majacy filozoficzne podloze sprzeciw Jonny'ego wobec wynajmowania Kobr do pracy zabrzmial w jej ustach jak kamuflaz starego, w jej mniemaniu automatycznego odruchu. Corwin niemal przemoca zdusil w sobie zlosliwa uwage, jaka juz zamierzal wyglosic, gdyz uznal, ze to nie byla wlasciwa pora na stawanie w obronie pogladów ojca.

- Czego zatem wlasciwie pani chce? - zapytal zamiast tego. - Potwierdzonej umowa gwarancji, ze zajmiemy sie ta grozba, jaka stanowi Qasama?

- Oczywiscie, ze nie - parsknela. - Nikt przy zdrowych zmyslach nie chcialby do tego stopnia dawac Troftom wolnej reki. Chcialabym tylko zawrzec umowe dotyczaca wstepnej wyprawy rozpoznawczej, za która, rzecz jasna, oni by zaplacili.

- A czy to nie zobowiaze nas do doprowadzenia calej sprawy do konca? - zapytal.

- Nie powinno, jezeli umowe sformulujemy odpowiednio ostroznie - powiedziala, a potem na chwile zacisnela usta. - Mysle, ze za chwile zechce mnie pan zapytac o nasze dobre imie, gdybysmy obejrzeli Qasame i później sie wycofali. No cóz, nie mam na to lepszej odpowiedzi od tej, jakiej udzielilam przed kwadransem. Ryzyko niepoznania, jaka grozbe przedstawia Qasama, wydaje mi sie wieksze niz mozliwa utrata twarzy wobec Troftów.

- Moge sie zatem domyslac, ze chcialaby pani, zeby to byla nasza oficjalna opinia przedstawiona pozostalym czlonkom rady, którzy zbiora sie juz za kilka godzin?

- Bardzo bym tego pragnela - odparla, ale spojrzala na Corwina uwaznie. - Ile to bedzie mnie

kosztowało?

Corwin uniósł reke i machnął nią w kierunku sali konferencyjnej znajdującej się w drugim koncu korytarza.

- O ile dobrze pamiętam, zaproponowała pani wyprawę składającą się co najwyżej z dwunastu osób, nie licząc załogi statku. Chciałbym, żeby dwóch uczestników tej wyprawy miał prawo wybrać mój ojciec.

- Przy jego sceptycznym podejściu do całego przedsięwzięcia? - zapytała, uśmiechając się z przymusem. - Prawde mówiąc, to nie jest wcale taki zły pomysł, ale nie sądzę, żeby inni zgodzili się bez protestów na przyznawanie emerytowanemu gubernatorowi prawa do decydowania o szesnastu procentach składu osobowego ekspedycji.

- Może będę mógł osłodzić im te pigułki - odparł Corwin. - Co pani sądzi na temat wysłania Kobry, którego absolutnie nie można odróżnić od innych ludzi?

Z satysfakcją zobaczył, że tym razem jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia.

- Dotychczas sądziłam, że dokładna biologiczna sonda potrafi wykryć wyposażenie każdego Kobry - powiedziała.

- Potrafi - zgodził się z nią Corwin. - Ale takie badanie, zanim dostanie się jego wynik, zajmuje na ogół co najmniej kwadrans. Jak pani sądzi, jak często gospodarze będą poddawali tak dokładnym badaniom odwiedzających ich dostojników z innych planet?

Przez czas potrzebny na kilka uderzeń serca spoglądała na niego ze zmarszczonymi brwiami.

- Przede wszystkim przychodzi mi na myśl fakt, że pana rozumowanie jest ekstremalnie antropomorficzne - odezwała się w końcu. - Co będzie, jeżeli ich sondy biologiczne są znacznie czulsze albo po prostu o wiele szybsze od naszych? A nawet, jeżeli przyjąć, że ma pan rację, to co, zapakujemy cały zespół chirurgów na pokład „Dewdrop” i kazemy mu pośpiesznie przebadanego już człowieka przemienić w Kobrę?

- Nic podobnego. Proponuje tylko wysłanie Kobry i zwyczajnego człowieka, którzy byłiby podobni do siebie jak dwie krople wody. Swoich braci bliźniaków: Justina i Joshue.

Telek nabrała powietrza i wypuściła je z cichym świstem.

- Sprytnie - powiedziała. - Bardzo sprytnie. Kobra przebywa na pokładzie do chwili, aż obce istoty poddadzą dokładnym badaniom wszystkich członków wyprawy, którzy postawią stopę na ich ziemi, a później zamienia się miejscami z bratem. To bardzo ciekawa propozycja. Ale co będzie, jeżeli Qasamanie zastosują jakies inne badania poza wzrokowymi? Na przykład dźwiękowe albo zapachowe?

Corwin wzruszył ramionami, starając się, żeby ów gest dowodził, że się tym nie przejmuje.

- Wówczas będziemy mogli mówić o prawdziwym pechu - powiedział. - Ale większość ładowych drapieżników, jakie znamy, włącznie z żyjącymi na planetach Dominium Ludzi i Troftów, posługuje się przede wszystkim zmysłem obserwacji. Uważam, że szanse powodzenia są duże, a jeśli nasza sztuczka się nie uda... cóż, właściwie niczego na niej nie tracimy.

- Z wyjątkiem dwóch miejsc na pokładzie statku, które mógłby zająć ktoś inny.

Telek odchyliła się do tyłu na krześle i utkwiała wzrok w przestrzeń gdzieś nad głową Corwina, a on siedział w milczeniu, starając się oddychać miarowo... i nagle popatrzyła mu w oczy i kiwnęła głową.

- Zgoda, zawieramy umowę - powiedziała. - Ale ja też stawiam warunek. Pan, a raczej pana ojciec, musi poprzeć mój wniosek o włączenie mnie w skład uczestników tej wyprawy.

- Pani? - wyrwało się Corwinowi. - Alez to jest...

- Śmieszne? Bynajmniej. Wyprawa będzie potrzebowała eksperta i od spraw biologicznych, i politycznych, a ja jestem jedyną osobą wśród gubernatorów, która ma dostateczne kwalifikacje w obu dziedzinach. Poza tym jestem na tyle zdrowa, że mogę wziąć w niej udział.

- Stopień naukowy w dziedzinie biologii uzyskała pani przed wieloma laty - przypomniał jej Corwin.

- Ale w swojej dziedzinie orientuje się nie najgorzej, a wyprawa powinna mieć na pokładzie kogoś w randze gubernatora na wypadek, gdyby trzeba było podjąć jakąś ważną decyzję polityczną. Chyba że ma pan jakiegoś syndyka, któremu ufa pan na tyle, żeby powierzać mu tak odpowiedzialną sprawę.

Kłopot w tym, czy mogę pani zaufać - pomyślał Corwin i zagryzł wargi, kiedy uswiadomił sobie, że nie wie, jak postąpić.

- Ma pan czas do namysłu - powiedziała spokojnie, kiedy cisza zaczęła się nieprzyjemnie przedłużać. Potem, spojrzawszy na zegarek, wstała. - Mało prawdopodobne, żeby lista uczestników wyprawy była ustalana wcześniej niż za tydzień lub dwa. Proszę przedyskutować to z Jonnym, rozważyć wszystkie za i przeciw... myślę, że w końcu dojdzie pan do wniosku, iż powinienam polecieć. Teraz jednak musimy wracać do sali obrad i podjąć decyzję w sprawie tej opinii, jaką mamy przedstawić na dzisiejszym zebraniu całej rady.

Corwin także wstał.

- Zgoda - powiedział. - Ale jeśli będę głosował teraz

tak jak pani, chciałbym, żeby pani poparła mój wniosek w sprawie udziału Justina i Joshui w tej wyprawie... i to bez względu na to, czy w końcu mój ojciec będzie chciał poprzeć pani kandydaturę, czy nie.

Uśmiechnęła się z przymusem.

- Zdał pan sobie sprawę z tego, że obiecuje pan za dużo, prawda? No cóż, na tym właśnie polega zdobywanie doświadczenia. Zgoda, poprze wniosek w sprawie pana braci. Uważam zresztą, że to dobry pomysł... a jeżeli mam być zupełnie szczerą, i tak nie sądzę, że bym potrzebowała poparcia Jonny'ego po to, by wziąć udział w tej ekspedycji.

Kiedy nadeszła kolej, żeby głos oddał Corwin, wynik głosowania nad propozycją gubernatora Teleka wynosił cztery do dwóch na jej korzyść. Starł się nie patrzeć w oczy Hemnerowi i Roiowi, gdy podwyższył ten wynik na sześć do dwóch, ale czuł na sobie ich zdumione spojrzenia. Stigurr formalnie ogłosił wynik głosowania, by został zapisany przez rejestratora.

Trzy godziny później zebranie całej rady oficjalnie zatwierdziło ten wynik i przyjęło go jako własny.

Pól leżac, a pól siedzac w szpitalnym łóżku, Jonny wysluchal w milczeniu sprawozdania Corwina z zebrania gubernatorów i relacji z prywatnej umowy, jaka syn zawarł z Telek. Powinienem sie rozgniewac - pomyslal Jonny, niejasno uswiadamiajac sobie obecność kroplówek, którymi zaopatrywano jego organizm w niezbędne płyny. - Czyżby jakis uspokajajacy srodek w tej szatanskiej mieszaninie antybiotyków? A może od samego początku wiedziałem, że mój plan nie ma najmniejszych szans powodzenia?

Corwin przestal mówic i czekal, a na jego twarzy malowalo sie wyrazne napiecie.

- Czy rozmawiales juz z Justinem albo z Joshua na ten temat? - zapytal go Jonny. - A może wspominales cos matce?

Corwin az sie skrzywil.

- Odpowiedz brzmi nie, i to na oba pytania - odparl. - Prawde mówiac, wpadlem na ten pomysl przed tygodniem, ale miałem nadzieje, że nie bede musial kogokolwiek na niego namawiac. A przynajmniej, dopóki z toba nie porozmawiam. Mysle jednak, że Justin i Joshua sie zgodza.

- Och, oni sie zgodza na pewno - stwierdzil Jonny. - Z tym nie powinno byc najmniejszego problemu.

Jonny odwrócił głowe i popatrzył w okno. Na tle odbicia szpitalnego pokoju w szybach bylo widac światla uliczne i panorame Capitalii.

- Martwie sie tym, co może powiedziec matka - powiedzial po chwili. - Wy, jej synowie, byliscie dla niej zawsze oczkiem w głowie. To dzięki wam nasza rodzina miała w sobie tyle ciepła, które ja nie zawsze mogłem jej zapewnic. O wiele za często nie mogłem. Na początku jako Kobra... później jako syndyk... jeszcze później jako gubernator... praca dla dobra innych ludzi zajmuje mnóstwo czasu, synu. Zabiera ci czas, który mógłbys poświęcic rodzinie. Ty postanowiles pracowac razem ze mna, Justin zdecydowal sie zostac Kobra... a teraz i Joshua ma poleciec.

Zdal sobie sprawe z tego, że sie zamyslil i przeskoczyl na całkiem inny temat, i ponownie popatrzył na Corwina. Jego syn sprawial wrazenie bardzo nieszczesliwego.

- Przepraszam - powiedzial. - Może jednak nie powinienem byl tego robic. Ale bliźniaki maja czas, żeby sie nie zgodzic.

Jonny potrzasnal głowa.

- Nie sadze, żebys zrobil cos niewlasciwego. Udzial obu bliźniaków w tej ekspedycji powinien nam umożliwic osiagniecie tak bardzo istotnej taktycznej przewagi, a wszyscy członkowie rady prawdopodobnie i tak nie poparliby mojego stanowiska bardziej, niz Brom i jego towarzystwo. Zwłaszcza dysponujac tymi informacjami na temat kosztów, jakie przygotowali dla nich Cally i Almo. - Pokrecil głowa. - Jaka szkoda, że Cally jest zbyt stary, żeby leciec... byloby bardzo dobrze, gdyby na pokładzie znalazl sie Kobra dysponujacy tak duzym wojskowym doswiadczeniem...

Nie dokonczyl zdania i zamyslil sie, jak gdyby nagle wpadl na jakis pomysl.

- Chyba nie zamierzales sam poleciec, tato, prawda? - zapytal go podejrzliwie Corwin, domysliwszy sie, o czym ojciec może teraz myslec.

- Hm? Och, nie. Wcale nie. Staralem sie tylko wynalezć sposób, w jaki można byloby powiedzieć o tym wszystkim waszej matce. - Nabral głęboko powietrza i bardzo długo je wypuszczał. - No cóż - odezwał się w końcu. - Maja mnie wypisać stąd jutro rano... a przynajmniej mówili mi, że chcą to zrobić. Myśle, że to byłaby najlepsza pora, żeby ja o tym powiadomić. Jeszcze dziś wieczorem powinienem pogadać na ten temat z Joshua i zorientować się, jak zareaguje. Uważam, o ile to możliwe, że kiedy będziemy rozmawiali o tym z Chrys, powinniśmy być wszyscy razem.

- Wszyscy z wyjątkiem Justina - przypomniał mu Corwin. - Pamiętasz, najbliższy tydzień ma spędzić w izolatce po zabiegach chirurgicznych w akademii.

- Pamiętam - odparł Jonny z cieniem urazy, który w końcu zdołał się przebić przez ogarniające go odretwienie. - Chodziło mi o to, że powinniśmy tam być wszyscy trzej.

- Zgoda - powiedział Corwin, kiwnawszy głową, a później wstał. - Zostawiam cię teraz, żebyś wypoczął, i przyjdzie tu rano. Przed wyjściem zapytam, kiedy cię wypisują, i pojawisz się jutro, żeby cię odwiedzić do domu.

- Świetnie. Aha, jeżeli będziesz pytał, poprosz doktora, żeby wpadł do mnie, kiedy będzie miał trochę czasu. Jest kilka spraw, o jakich chciałem z nim porozmawiać.

- Dobrze - odparł Corwin.

Patrzył jeszcze przez kilka sekund na ojca, a potem odwrócił się i wyszedł.

Przyjawszy nieco wygodniejszą pozycję, Jonny zamknął oczy i postarał się chociaż trochę odprezyc. Czy przypadkiem w spojrzeniu Corwina nie kryła się podejrzliwość, kiedy wychodził? Jonny nie mógł być tego pewien. Ale właściwie nie było to takie ważne. W przeciwieństwie do syna, znalazł kilku innych gubernatorów poza Telek, z którymi mógłby zawrzeć umowę... a kiedy Corwin się o tym dowie, wszystko będzie już przesadzone.

A pozostali najprawdopodobniej i tak to zaakceptują. Najprawdopodobniej.

Rozdział piaty

Pokój, do którego go zabrano, był dla niego zupełnym zaskoczeniem - Justin spodziewał się, że w czasie pierwszych kooperacyjnych ćwiczeń świeżo upieczeni rekruci powinni przebywać razem. Kiedy towarzyszący mu strażnik zostawił go i wyszedł, rozejrzył się ukradkiem i przeżył kolejny wstrząs: żaden instruktor szkolący przyszłe Kobry nie mógłby dysponować biurkiem, które byloby aż tak okazałe. Samo biurko - czy możliwe, że widział jego rzeźbione w cyprysowcowym drewnie boki na propagandowych tasmach na temat Kobr, które oglądał, kiedy zastanawiał się nad zgłoszeniem? Jeśli tak, musiało to być prywatne biuro samego koordynatora Suna. Bez względu jednak na powód, dla którego go tu przyprowadzono, z pewnością nie była to część rutynowego postępowania.

Nagle znajdujące się za biurkiem drzwi się otworzyły. Justin napiął mięśnie, ale kiedy zobaczył wchodzącego mężczyznę, na jego twarzy pojawił się pełen ulgi uśmiech.

- Almo! Sądziłem, że wciąż jeszcze jesteś w okręgu Syzra zajęty polowaniami na kolczaste lamparty.

- Cześć, Justin... Nie, proszę cię, nie wstawaj - odezwał się Pyre, siadając za biurkiem.

Justin z pewnym zaskoczeniem zdął sobie sprawę z tego, że Pyre na jego widok nawet się nie uśmiechnął.

- O co chodzi, Almo? - zapytał, a cała radość z tego spotkania zaczęła z wolna zniknąć z jego twarzy. - Czy coś się stało? Mój Boże... czy to może tata?

- Nie, nie, w twojej rodzinie wszystko po staremu - pośpieszył upewnić go Pyre. - Chociaż za kilka miesięcy... - przerwał, nie kończąc zdania. - Zaczniemy jednak od początku. Co wiesz na temat tej całej historii z Qasama?

Justin zawahał się. Przyznanie się wobec Pyre'a do tego, że ich ojciec przekazał całej rodzinie poufną informację, nie było może samo w sobie czymś istotnym... ale w takich okolicznościach...

- Tylko najważniejsze rzeczy dotyczące samej propozycji Troftów - odparł. - Mój ojciec chciał przedyskutować z nami etyczną stronę tego przedsięwzięcia.

- Świetnie - rzekł Pyre, kiwnąwszy głową. - A zatem nie będę musiał jeszcze raz o tym ci mówić. Zaczne od tego, że w ciągu ostatnich trzech tygodni sprawy zaczęły przybierać trochę niespodziewany obrót... za sprawą rady i, wierz mi albo nie, twojego brata.

Justin słuchał w milczeniu, kiedy Pyre wyjaśniał mu propozycję Corwina i szczegóły planowanej przez radę ekspedycji, a scierające się w jego umyśle emocje graniczące to z szokiem, to z podnieceniem, zostawiały mu bardzo mało miejsca na rozsądne myśli.

- Rada wyraziła w głosowaniu zgodę na to, żebyś poleciał i ty, i Joshua, jeżeli oczywiście obaj się zgodzicie - zakończył Pyre. - Co o tym sądzisz?

Justin przez chwilę nie potrafił znaleźć właściwych słów, żeby wyrazić to, co myśli.

- To wygląda... ciekawie. Nawet bardzo ciekawie. Co Joshua powiedział na ten temat i jaka jest twoja rola w tym przedsięwzięciu?

- Joshue będziesz mógł już wkrótce sam zapytać... Przysłał go tu, kiedy skończył. Jeżeli zaś chodzi o mnie... - Wargi Pyre'a drgnęły w czymś pośrednim między uśmiechem a grymasem. - Mam być dowódcą pokładowego oddziału Kobr... wszystkiego czterech osób. A jeżeli wyrazisz zgodę, żebyś był jedną z nich, w ciągu najbliższych kilku tygodni będę także odpowiedzialny za twoje szkolenie.

Justin nagle zdął sobie sprawę z obecności komputera zawieszzonego mu na szyi - programowanego komputera szkoleniowego, który po zdaniu egzaminu zostanie zastąpiony przez implantowany nanokomputer, jaki mają wszystkie Kobry.

- Specjalne szkolenie, mam nadzieję? Cos, czego nie potrzebujesz do walki z kolczastymi lampartami?

- I zestaw specjalnie opracowanych odruchów, w jakie wyposażony jest standardowy nanokomputer. Tego rodzaju odruchy nigdy się nie przydają podczas pracy w lesie - stwierdził Pyre. - Skoki do sufitu, obracanie się podczas lotu i kilka innych ewolucji.

- Czy twoim pozostałym Kobrom też będzie to potrzebne?

- Dołącz do nas, kiedy mniej więcej za trzy do czterech tygodni ukończysz podstawowe szkolenie.

Pyre oparł się łokciami o blat biurka i splótł przed sobą palce dłoni.

- Posłuchaj, Justin, muszę być z tobą szczery. Widzę, że traktujesz to jak fantastyczną przygodę, ale musisz zdawać sobie sprawę z tego, że wiele wskazuje na to, iż wszyscy zginieją na Qasamie.

- No nie, daj spokój, Almo - rzekł Justin i wyszczerzył się w uśmiechu. - Przecież ty też tam będziesz, a zawsze masz tyle szczęścia, że nie wierze, iż mógłbyś zginąć.

- To ty daj spokój! - osadził go Pyre. - Szczęście jest pojęciem statystycznym mającym niewiele wspólnego z wykształceniem i doświadczeniem. I niczym więcej. Ja mam trochę i jednego, i drugiego... Ty praktycznie nie masz ich wcale. Jeżeli więc ktoś zginie, to najprawdopodobniej ty.

Justin zapadł się w sobie, zaskoczony siłą wybuchu Pyre'a.

To Pyre, kiedy Justin dorastał, był dla niego zawsze niedoścignym wzorem; był tym, który na równi z ojcem przyspieszył jego decyzję zostania Kobrą. Zostać zmieszonym z błotem przez kogoś tak uwielbianego jak Pyre było dla Justina większym wstrząsem, niż mógł się spodziewać.

Wyraz jego twarzy musiał odzwierciedlać to, co czuje, ale mimo to Pyre piorunował go wzrokiem jeszcze przez kilka sekund, zanim w końcu jego oczy złagodniały.

- Wiem, że to boli - odezwał się łagodnie - ale o wiele bardziej będzie bolały rany po strzałach z lasera. Więc najlepiej już teraz wbij sobie do głowy, że to ma być wyprawa na terytorium wroga. Twój ojciec z pewnością ci powie, że w porównaniu z czymś takim polowania na kolczaste lamparty są dziecinna igraszka.

Justin przesunął językiem po suchych wargach.

- Nie chcesz, żebym poleciał z tobą? - zapytał.

Po raz pierwszy Pyre odwrócił głowę i spojrzał w inną stronę.

- To, czego chce, nie ma żadnego znaczenia - powiedział. - Rada postanowiła, weterani wojny przyznali, że ma to sens taktyczny, a gubernator Telek przekonała wszystkich, że ja powinienem być dowódcą oddziału Kobr, jaki wyślemy. Mam więc przed sobą jasno określone zadanie i teraz tylko ode mnie zależy, jak dobrze je wykonam. Kropka.

- I obawiasz się, że sobie nie poradzi? - zapytał go Justin, czując, jak przez jego odretwienie zaczynają przedzierać się pierwsze iskry gniewu.

- Obawiam się, że żaden z nas sobie nie poradzi - odparł cierpko Pyre. - A jeśli już dojdzie do najgorszego, nie podoba mi się to, że wówczas będę musiał dzielić uwagę między bezpieczeństwo wyprawy a twoje.

- A dlaczego miałbys to robic? - odcial sie Justin. - Dlatego, ze znasz mnie od czasów mojego dzieciństwa? A moze dlatego, ze jeszcze dluziej przyjaznisz sie z moim tata? Mam dwadziescia dwa lata, Almo, i jestem na tyle dorosly, ze potrafie sie troszczyc o siebie. A jezeli chcesz uslyszec cos istotnego, to co powiesz na fakt, ze nie bede musial oduczyc sie tych wszystkich sztuczek potrzebnych do walki z kolczastymi lampartami, których beda musieli sie oduczyc inni? Narzekasz, ze jestem taki mlody i niedoswiadczony, ale moze zaczekasz z tym, az ukoncze szkolenie? Moze później podyskutujemy sobie naprawde szczerze o szczegóлах?

Pyre ponownie popatrzył w twarz Justina, który na wpeł świadomie przygotował sie na kolejny wybuch. Nic takiego jednak nie nastapilo.

- Zgoda - odezwal sie lagodnie. - Pragnalem sie tylko upewnic, ze wiesz, w co sie pakujesz. Wierz mi albo nie, ale naprawde rozumiem, co czujesz... chociaz juz wkrótce sie przekonasz, ze inni moga tego nie rozumiec. - Wstal od biurka, popatrzył na Justina, i przez chwile byl ponownie znanym mu od dawna Almem Pyre'em. - Ide teraz po Joshue i kaze mu porozmawiac z toba. Bede w biurze po drugiej stronie korytarza. Wpadnij do mnie, kiedy skonczycie. Nie musicie sie bardzo spieszyc, ale chcialbym, zebyscie nie przeciągali tej rozmowy w nieskonczonosc, z czego jestescie powszechnie znani.

Uśmiechnal sie niewyraźnie i opuscil pokój.

Justin wydal z siebie potezne westchnienie ulgi. Kiedy w minute później w pokoju pojawil sie drugi bliźniak, bicie serca wracalo mu powoli do normy.

- Almo powiedzial mi, zebysmy nie rozmawiali dluzej niz przez szesc miesiecy - odezwal sie, siadajac za biurkiem na tym samym krzesle, które zwolnil Pyre. - Czy naprawde tak duzo gadamy?

- Tylko wtedy, kiedy rozmawiamy ze soba - przyznal Justin.

- A zatem moze to prawda - stwierdzil Joshua, krytycznym wzrokiem przygladajac sie swojemu bratu. - No dobrze. Jak sie czujesz?

- Jezeli masz na mysli operacje, to swietnie. Ale po rozmowie z Almem jak ktos, w kogo rzucono gigantyczna gantuja. I trafiono.

Joshua kiwnal glowa, wyrazajac w ten sposób współczucie dla brata.

- Moge sobie wyobrazic, jak sie czujesz - powiedzial. - Ale... co właściwie o tym wszystkim sadzisz?

- Wyglada mi na to, ze przez cały czas marzyłem, zeby robic własnie cos takiego... to znaczy marzyłem do chwili, w której Almo postaral sie mnie zniechecic. Domyslam sie, ze i ty masz jakies zastrzezenia?

Joshua zmarszczyl brwi.

- Wlasciwie nie, poza naturalna niechecia do tego, zeby dac sie zabic. Kto ci o tym powiedzial?

- Almo dawal do zrozumienia, ze ktos stwarza problemy z realizacja tego planu.

- Prawdopodobnie chodzilo mu o nasza mame.

- Mame - powtórzyl Justin.

Zacisnął lewą dłoń w piasek i z całej siły uderzył nią w prawą dłoń, bo z przerażeniem zdał sobie sprawę z tego, że zupełnie o matce zapomniał. W następnej chwili się skrzywił, kiedy poczuł klujący ból w kościach palców i dłoni, i kiedy uswiadomił sobie, że nawet mimo ograniczeń nakładanych przez jego tymczasowy komputer nie wolno mu lekceważyć swojej siły, wspomaganą teraz przez sieć implantowanych serwowatorów. Na szczęście laminat, jakim pokryto większość jego kości, sprawiał, że stały się całkowicie nielamliwe, a to oznaczało, że jedynymi obrażeniami będą otarcia i siniaki. I to zarówno na ciele, jak na duchu.

- Niech to licha, nawet przez chwilę nie pomyślałem o tym, jak na to zareaguje - przyznał się bratu. - Ktoś już jej powiedział?

- O, tak... i możesz mi wierzyć, że ty bawiles się podczas swoich operacji o wiele lepiej - rzekł Joshua i pokręcił głową. - No, nie wiem. Może powinniśmy dać sobie z tym wszystkim spokój?

- Jak zareagowała?

- Mniej więcej tak, jak mógłbyś się spodziewać - westchnął jego brat. - Stanowczy sprzeciw, jeżeli chodzi o stronę emocjonalną, nieco mniejszy pod względem intelektualnym i poczucie zawodu, jaki sprawił jej Corwin, coś takiego proponując. Staraliśmy się ją przekonać, że będzie ci tam lepiej, niż gdybyś miał otrzymać przydział na Caeliane albo chociażby do oddziału zajmującego się lampartami, ale nie sadzę, żeby w to uwierzyła.

- Almo też w to nie wierzy - odezwał się z wyrzutem Justin. - Dlaczego ona miałaby uwierzyć?

Joshua rozłożył bezradnie ręce.

- To nie ja wymyśliłem sztukę formułowania pobożnych życzeń - powiedział. - Ja tylko od czasu do czasu z niej korzystam.

- Ta-a - odrzekł Justin i znalazł sobie kat pokoju, w który przez chwilę w zamysleniu się wpatrywał. Później popatrzył znów na brata. - A więc naprawdę myślisz, że powinniśmy dać sobie z tym wszystkim spokój?

- Jeżeli mam być brutalnie szczery, wcale tak nie uważam - stwierdził Joshua i zaczął wyliczać powody, zaginając kolejne palce. - Po pierwsze, pomysł Corwina uznaje za doskonały, a my jesteśmy na naszych trzech planetach jedynymi bliźniakami, którym może się coś takiego udać. Po drugie, zapewne tylko my dwaj na pokładzie będziemy podzielali zdanie taty, że najmowanie Kobr do takiej pracy to bardzo niebezpieczny precedens. Po trzecie... Przerwał i chytrze się uśmiechnął. - Do diaska, Justin, czulismy to, będąc jeszcze w szkole. Nazywamy się przecież Moreau, jesteśmy synami Kobry, weterana wojny z Troftami, emerytowanego gubernatora, jednego z pierwszych pionierów Aventyny, Jonny'ego Moreau. Ludzie spodziewają się po nas dokonania nie byle jakich rzeczy.

- To najmniej ważny z powodów, dla którego mielibyśmy to robić.

- Sam w sobie oczywiście. Ale w połączeniu z powodem numer dwa oznacza, że nasz raport i zalecenia, jakie przedstawimy po powrocie z Qasamy, będą miały o wiele większe znaczenie... a biorąc pod uwagę obecne nastawienie rady, tata będzie potrzebował z naszej strony poparcia, żeby powstrzymać ją przed zrobieniem czegoś nierozsądnego.

A na drugiej szalce wagi leży to - pomyślał Justin - jaka krzywda wyrzadzi to naszej matce. Typowa

sytuacja, z której nie ma dobrego wyjścia. Joshua ma jednak racje.... a jeżeli czegoś nauczyliśmy się w życiu od rodziców, to tego, że osobiste względy i komfort psychiczny nie powinny stać na przeszkodzie niczemu, co służy dobru wszystkich ludzi.

- No dobrze - powiedział w końcu. - Jeżeli ty się zgadzasz, to ja także. „Gantuje, strzeżcie się! Nadchodzimy!” i tak dalej.

- Dobrze - odezwał się Joshua, wstając. - Lepiej zatem od razu miejmy to za sobą. Nie wątpię, że Almo już się poci, nie mogąc doczekać się wieści od nas, a poza tym kilku chirurgów w drugim końcu korytarza już szykuje dla mnie stół w sali operacyjnej.

- Chirurgów? - zapytał ze zdumieniem Justin, także wstając ze swojego miejsca, tylko o wiele wolniej. - Po co?

Joshua mrugnął do niego i szelmowsko się uśmiechnął.

- Dowiesz się we właściwym czasie. Na razie powiem ci tylko tyle, że chodzi o to, żebym był jak najbardziej podobny do ciebie, kiedy znajdziemy się na Qasamie.

- Najbardziej podobny? Daj spokój, Joshua...

- Do zobaczenia za kilka miesięcy - powiedział tamten, jeszcze raz uśmiechnął się szeroko i zniknął za drzwiami.

Ty i te twoje głupie dowcipy - pomyślał Justin i przez chwilę całkiem poważnie rozważał, czy nie pójść za nim i nie spróbować wytrzasnąć z niego całej prawdy. Przypomnił sobie jednak, że po drugiej stronie korytarza wciąż czeka na niego Almo. A poza tym nie mamy już po szesnastu lat - przypomniał sobie. Zgarbiwszy więc nieco plecy, pośpieszył stawic czoło nowemu przelozonemu.

Ekranów wideotelefonów w swojej długiej historii nigdy nie zapewniały rozdzielczości obrazu wymaganej przez nawet najbardziej prymitywne monitory komputerów. Jonny kiedyś usłyszał, że w te cechy wyposażono je całkiem świadomie, i to nie z przyczyn finansowych, a psychologiczno-społecznych. Chodziło mianowicie o to, żeby nie było na nich widac zmarszczek ani bruzd świadczących o zmęczeniu, czy wreszcie oznak zdenerwowania lub depresji - te wszystkie szczegóły były zacierane tak, aby widok twarzy rozesmianej, smutnej czy zagniewanej pozwalał bezpiecznie się domyslać, że rozmówca znajduje się w takim właśnie nastroju.

Pamiętając więc o tym wszystkim, Jonny przeżył prawdziwy wstrząs, kiedy na ekranie zobaczył twarz Corwina z malującym się na niej wyrazem skrajnego wyczerpania.

- Jeszcze przed dziesięcioma minutami rozmowy tkwiły w martwym punkcie, tato - odezwał się jego najstarszy syn. - Rzecz jasna, Tlossowie prowadzi negocjacje w imieniu domeny Baliu, i w związku z tym kompetencje Pierwszego Mówcy są ściśle ograniczone. Zwłaszcza gdy rozmawiamy o kosztach projektowanej ekspedycji. Za każdym razem, kiedy staramy się coś dorzucić, on musi coś innego usunąć. A przynajmniej tak twierdzi.

Jonny popatrzył ponad ekranem na Chryś siedzącą przy stole w salonie. Wydawała się pochłonięta bez reszty przeglądaniem rozłożonych przed nią elektronicznych części, ale Jonny nie wątpił, że z uwagą przysłuchuje się każdemu słowu.

- Może byłoby lepiej, gdybym przyjechał tam do ciebie - powiedział do Corwina. - Może mógłbym ci w

czyms pomóc.

- Nie warto - odparł jego syn. - Uważam, że gubernator Telek potrafi negocjować wcale nie mniej stanowczo od ciebie, a na razie wszyscy starają się nie wchodzić sobie w drogę. Poza tym od zachodu słońca ochłodziło się co najmniej o dziesięć stopni.

Jonny skrzywił się, wiedząc, że ten fakt był jeszcze jedną cechą klimatyczną, z którą musiał się jakos pogodzić. Capitalie ogarnęła właśnie pierwsza fala chłódów nadciągającej jesieni, a nie znosiły wychodzenia z dobrze ogrzanych pomieszczeń jego zaatakowane przez artretyzm stawy. Jedynym wyjściem były zatem ogrzewane ubiory albo dodatkowa porcja tabletek przeciwbólowych, ale ani jedno, ani drugie jakos specjalnie go nie neciło.

- No dobrze - odezwał się do syna. - Ale jeśli w ciągu najbliższych kilku godzin nie będzie się zanosilo na przerwie, zadzwon, a ja przyjadę i cie zastąpię. Wygladasz na naprawdę zmęczonego.

- Nic mi nie jest. Dzwonie, bo chciałem sprawdzić kilka szczegółów dotyczących tej równoczesnej wyprawy rozpoznawczej, o którą się ubiegasz. Muszę wiedzieć, ile twoim zdaniem mogłyby zapłacić za nią nasze świąty?

- Ani grosza - odrzekł bez wahania Jonny. - W gruncie rzeczy to, czym zajmujesz się teraz, jest zwyczajna transakcja handlowa, a nikt przy zdrowych zmysłach nie płaci za towar, którego nie tylko dokładnie nie zbadal, ale nawet nie widział. Ponieważ to domena Pua wystawia na sprzedaż te pięć planet, może będziesz mógł nalegać, żeby Mówca ją obciążył kosztami tej wyprawy. Uważam, że w ostateczności powinieneś uzyskać jego zgodę na to, żeby przekazał nasze zadanie domenom Pua i Baliu. Niech załatwia to między sobą tak, byśmy nie musieli zwracać sobie tym głowy.

- Dobrze - rzekł Corwin, ale pokreślił z powątpiewaniem głową. - Az trudno uwierzyć, że ta zgraja myślących tylko o własnych sprawach rzeźmieszków znalazła wspólny język na tyle długo, żeby prowadzić z nami wojnę.

- Tak było. Uwierź mi, że tak było. I nic nie wskazuje na to, żeby w przyszłości nie mieli zrobić tego raz jeszcze.

- Masz rację. No cóż... czy przynajmniej zgodziłbyś się, żeby na tę wyprawę polecieć „Mensana”, gdyby Troftowie, bez względu na to którzy, pokryli wszystkie inne koszty?

Jonny przygryzł wargę.

- Wolalbym, żeby dostarczyli nam także statek. Ale niech będzie, jeżeli zostaniesz zmuszony do wyrażenia zgody, niech tak będzie. Tylko oni płacą za paliwo.

- W porządku. Prawde mówiąc, uważam, że będę mógł wyrazić na to zgodę tylko za cenę czegoś, co może być potrzebne tamtej wyprawie na Qasame. Zadzwonie do ciebie trochę później.

Rozłączyli się i przez chwilę Jonny wpatrywał się w ciemny ekran, starając się przewidzieć różne tory, po jakich mogą potoczyć się negocjacje. Za bardzo jednak przypominało mu to rozgrywkę w trójwymiarowej szachy, w której trzeba było przewidzieć zbyt wiele możliwych ruchów naraz. Wstał zatem ze swojego miejsca - co nie było bardzo trudne w tak dobrze ogrzonym pomieszczeniu - i podszedł do stołu, przy którym siedziała Chrysta.

- Jak sobie radzisz? - zapytał, spoglądając na platanine przewodów, mikroobwodów i podobnych do

stonóg elementów znajdujących się na płycie, która właśnie montowała.

- Nie najlepiej - powiedziała, ustawiając przełączniki i pokrętła na płycie czołowej urządzenia diagnostycznego. - Zaczynam teraz rozumieć, dlaczego wszyscy wolałoby gotowe, zmontowane już podzespoły Troftów, zamiast kupować elementy i składać urządzenia samodzielnie. Weźmy na przykład te „stonogi”. Niektóre mają dziwne, nie zawsze możliwe do przewidzenia parametry i charakterystyki, zwłaszcza jeżeli pracują w warunkach chociaż trochę odmiennych od podawanych w katalogach.

- Jestem pewien, że jakos się z tym uporasz - zapewnił ją Jonny. - Byłaś przecież kiedyś najlepszym technikiem elektronikiem w całym...

- Arielu? - dokończyła i parsknęła. - Serdeczne dzięki. Było nas tam tylko dwoje, a więc musiałam być albo najlepszym, albo najgorszym.

- Dobrze pamiętam, że byłaś najlepsza - odparł z przekonaniem Jonny, z radością stwierdzając u Chryś powrót tak dobrze mu znanego poczucia humoru, które ostatnio zauważał u niej bardzo rzadko... może więc uporała się w końcu z zamieszaniem, jakie w jej życiu spowodowało ostatnie kilka tygodni.

Albo może tylko powracała do tego, co robiła kiedyś. Od wielu już lat nie montowała żadnego skomplikowanego urządzenia elektronicznego i nie wykorzystywała tego, czego się nauczyła.

- Rzecz jasna, zdajesz sobie sprawę - odezwała się, przerywając tok jego myśli - że jeżeli wyrażysz zgodę na wyprawę „Mensana”, nie pozostanie nam żaden rezerwowy statek na wypadek, gdyby „Dewdrop” miała jakieś kłopoty na Qasamie.

Jonny potrząsnął głową.

- I tak nie zamierzaliśmy wysłać w tym celu „Mensany”. Na wypadek, gdyby się okazała konieczna jakaś demonstracja siły, przez cały czas trwania tamtej wyprawy będzie czuwał w pobliżu Qasamy co najmniej jeden okręt wojenny Troftów.

- Zawsze sądziłam, że Troftowie nie zamierzają walczyć z Qasamanami.

- Jeżeli wyprawa napotka na trudności, nie będą mieli innego wyjścia - odparł ponuro Jonny. - Ale nie powinni mieć z tego powodu wyrzutów sumienia. Błyskawiczny atak małej grupki komandosów jest czymś całkiem innym niż prowadzenie wojny na wielką skalę.

- A poza tym zależy im chyba na ochronie swojej inwestycji? - zapytała Chryś.

- No, teraz zaczynasz myśleć jak prawdziwy Troft - pochwalił ją Jonny, a potem stanął u jej boku i objął ją ramieniem.

- Pamiętaj tylko o jednym, Chryś - dodał nieco bardziej poważnie. - Chcąc zdobyć informacje, jakimi niewatpliwie dysponują, Baliusanie musieli tam wysłać co najmniej jedną dyplomatyczną misję, która bezpiecznie wróciła do domu. Dowodzi tego chociażby ich program translacyjny trzeciego stopnia, który chcą nam przekazać. Tak więc Joshua i Justin będą tam całkiem bezpieczni. Naprawdę.

- Chciałabym w to wierzyć - westchnęła Chryś. - Wiem tylko, że każda matka ma prawo martwić się o swoje dzieci.

- Niejasno przypominam sobie, że przed jakimiś trzydziestoma laty to samo miało być prawem żony.

- Świat się zmienia - odparła, bawiac się w zamysleniu szescioboczna „stonoga”. - Przez cały czas się zmienia.

- Tak - zgodził się z nią Jonny. - I to nie zawsze na lepsze. Pamiętam takie czasy, kiedy organizowaliśmy wycieczki, na które latalismy tylko we dwoje, bez żadnych dzieci. Co powiedziałabys, gdybym zaproponował ci powrót tamtych dobrych czasów?

Chrys cicho parsknęła.

- Sądziś, że rada umiałaby funkcjonować bez ciebie aż tak długo?

Skrzywił się, gdyż wyczuł w jej głosie krytykę.

- Jestem pewien, że tak - odparł, decydując się potraktować jej pytanie poważnie. - Corwin umie już całkiem niezłe pociągać za właściwe sznurki, a poza tym i tak nie sądzę, żeby w czasie trwania wyprawy na Qasame miało wydarzyć się coś ważnego. To najlepsza pora, żeby wyjechać na wakacje.

- Chwileczkę - powiedziała, obdarzając go zdumionym spojrzeniem. - Jak możesz mówić o wakacjach, kiedy nasi synowie będą narazeni na nie wiadomo jakie niebezpieczeństwa?

- A dlaczego nie? - zapytał. - Mówiac całkiem poważnie, nie widzę, co moglibyśmy dla nich zrobić, będąc tutaj, nawet gdybyśmy wiedzieli, że dzieje się coś złego. A pamiętaj, że tego nie będziemy wiedzieli, bo pomysł utrzymania łączności promowej między nami a Qasama odrzucono już dawno temu, gdyż uznano, że to mogłoby być zbyt prowokujące. Z drugiej strony uważam, że dobrze ci zrobi zajęcie się czymś, co pozwoliłoby ci nie martwić się o nich bez przerwy.

Nieznacznym ruchem ręki wskazała na leżące przed nią podzespoły elektroniczne.

- Jeżeli to nie pozwoli mi nie martwić się ciągle o nich, to nie wiem, czy będą mogły to zrobić wakacje.

- To dlatego, że nie wiesz, o jakich wakacjach myślę - rzekł Jonny, modląc się w duchu, żeby udało mu się ją przekonać. Gdyby przedstawił właściwie całą sprawę, mogłaby się zgodzić... a świadomość tego, że postępują właściwie, była im obojgu bardzo potrzebna. - Myślałem o czymś w rodzaju wycieczki, w trakcie której zatrzymywalibyśmy się często w różnych miejscach, żeby sobie pospacerować bez pośpiechu po równinach czy lasach, może od czasu do czasu wykapać się lub popływać, o ile woda będzie ciepła. W towarzystwie, o ile będziemy go szukali, albo sami, jeżeli uznamy to za lepsze wyjście. A przy tym będziemy mieli te same wygody, jakie mamy w domu. No, co na ten temat sądzisz?

Chrys uśmiechnęła się.

- To brzmi jak propozycja odbycia jednej z tych wycieczek liniowcem pasazerskim wzdłuż wybrzeża. Reklamowano je, kiedy byłam dzieckiem. Tylko nie mów mi, że jakaś przedsiębiorcza dusza kupiła taki liniowiec o Troftów.

- No, niezupełnie - odparł. - Do tego jeszcze nie doszło. Czy pomoże ci, jeśli powiem, że harmonogram tej wycieczki przewiduje odwiedzenie pięciu planet?

- Pięciu pl... Jonny! - wykrzyknęła Chrys, a jej oczy rozszerzyły się ze zdumienia. - Nie myślisz chyba o... wyprawie rozpoznawczej?

- Jasne, ze tak. A dlaczego by nie?

- Co to ma znaczc „dlaczego by nie”? To powinna byc przeciez wyprawa naukowa, a nie wypoczynek dla dwojga ludzi w srednim wieku.

- Tak, ale nie zapominaj, ze wciaz jestem emerytowanym gubernatorem. Jezeli Liz Telek umie przekonac wszystkich, ze w wyprawie na Qasame powinien wziac udzial ktos majacy wladze, nie widze powodu, dla którego nie mialbym posluzyc sie tym samym argumentem.

W twarzy Chrys drgnal nagle jakis miesien.

- Przyznaj sie, juz to wszystko zorganizowales? - zapytala podejrzliwie.

- Tak, ale polece tylko wtedy, jezeli i ty polecisz ze mna. Nie oklamalem cie, Chrys. Bede pelnil tam tylko funkcje obserwatora, moze doradzac lub decydowac, o ile okaze sie to konieczne, ale poza tym nie zamierzam nikomu wchodzic w droge. Tak ze naprawde dla nas dwojga beda to od dawna zasluzone wakacje.

Chrys spuscila glowe i przez chwile wpatrywala sie w blat stolu.

- To bedzie troche niebezpieczne, prawda? - zapytala. Jonny wzruszyl ramionami.

- Nie bardziej od zycia w Arielu, kiedy sie pobieralismy. Wtedy nie przejmowalas sie tym specjalnie.

- Bylam o wiele mlodsza.

- I co z tego? Dlaczego tylko Joshua i Justin maja cieszc sie zyciem?

Spodziewal sie wywolac u niej jakas reakcje, ale wybuch jej glosnego smiechu zupełnie go zaskoczyl. Wybuch szczerego smiechu, spowodowanego autentycznym rozbawieniem.

- Jestes niesamowity - powiedziala, obracajac sie na krzesle i spoglądając na niego z udawanym gniewem. - Czy nie powiedzialam ci przed chwila, ze mam zamiar sie o nich martwic? Co to ma byc w koncu, bozonarodzeniowa wymiana zmartwien zamiast prezentów?

- A moze upowaznimy Corwina, zeby martwil sie za nas wszystkich? - zaproponowal Jonny pozornie powaznie. - Za obu braci rano, za rodziców po poludniu, a wieczorami bedzie mnie zastepowal w martwieniu sie o cala rade. Daj spokój, Chrys, to moze byc nasza jedyna szansa ujrzenia miejsc, w których moga zyc kiedys nasze praprawnuki.

A przynajmniej jedyna szansa na to, byśmy byli razem - dodal w myslach - w ciagu tych trzech lub czterech ostatnich lat, jakie mi zostaly.

Na jej twarzy nie ujrzal zadnego sladu dowodzacego, ze mogla wiedziec, o czym myslal, ale po jakiejś minucie westchnela i kiwnela glowa.

- No, dobrze - powiedziala. - Zgadzam sie. Polece z toba.

- Dzieki, kochanie - rzekl cicho Jonny.

Wiedzial, ze ta wyprawa nie zastapi jej straty synów, którzy poswiecili sie sluzbie dla wszechswiata... ale

może towarzystwo meza, który tak często musiał przebywać poza domem, chociaż w części będzie mogło wynagrodzić jej te straty.

Taka miał przynajmniej nadzieję. Mimo zapewnien, że wszystko będzie dobrze, wiedział jednak, iż ich dwaj synowie mogli zostać pochłonięci przez ten sam wszechświat i już nigdy do nich nie powrócić.

Rozdział szósty

Całej radzie - wraz z wciąż powiększającym się gronem osób zaufanych i doradców - udawało się utrzymać w tajemnicy wiadomość o ofercie Troftów przez następne cztery tygodnie, ale po tym okresie Stiggur postanowił podać ją do publicznej wiadomości. Z punktu widzenia Corwina nie mógł tego zrobić w mniej odpowiedniej chwili. Wciąż zaabsorbowany szczegółami negocjacji finansowych z Troftami, został niespodziewanie zmuszony do odpowiadania na pytania, jak mu się wydawało, wszystkich trzystu osiemdziesięciu tysięcy mieszkańców Aventyny. Theron Yutu i pozostali pracownicy zajmowali się co prawda tym samym, ale wiele tych pytań dotyczyło spraw politycznych, na które mógł odpowiedzieć tylko on lub Jonny. Pragnąc zas odciażyć ojca od nadmiaru pracy na tyle, na ile to było możliwe, Corwin stwierdził, że spędza zdumiewająco dużo czasu na udzielaniu odpowiedzi przez telefon czy wywiadów dla publicznej sieci informacyjnej.

Na szczęście reakcja niemal wszystkich była pozytywna. Większość zgłaszanych zastrzeżeń obracała się wokół tych samych problemów natury etycznej, o których dyskutowała cała rodzina Moreau tamtego pierwszego wieczoru. A zresztą, nawet i malkontenci w większości także popierali stanowisko rady. Nikt nie zadał pytań, którego Corwin obawiał się najbardziej, a mianowicie, dlaczego rada czekała prawie przez dwa miesiące na to, żeby dowiedzieć się, co sądzi o tym wszystkim ogół. Na to pytanie byłoby znacznie trudniej odpowiedzieć.

Udzielanie odpowiedzi i wyjaśnianie wątpliwości odwracały jego uwagę od szczegółów wyprawy, które właśnie wtedy ustalano - i to, prawdę mówiąc, tak bardzo, że zupełnie przeoczył najważniejszy szczegół dotyczący składu osobowego proponowanej eskapady badawczej na pięć planet do chwili, w której podano go do wiadomości publicznej... a nawet wtedy zwrócił na niego uwagę dopiero, kiedy zadzwonił do niego i oznajmił mu o tym Joshua.

- Zastanawiałem się przez cały czas, dlaczego przyjmujesz tę wiadomość z takim spokojem - powiedział Jonny, kiedy Corwin zwrócił się z tym do niego w chwili po rozmowie z bratem. - Mam wrażenie, że powinienem być wspomnieć ci o tym trochę wcześniej.

- Wspomnieć? A to dobre - burknął Corwin. - Czy nie sędzisz, że powinieneś przedyskutować to z nami, zanim zgłoszyles się na ochotnika i dopilnowales, że zaakceptują twoją propozycję?

- Dlaczego? - zdziwił się Jonny. - To, co twoja matka i ja chcemy zrobić ze swoim życiem, jest tylko nasza sprawa. Jesteśmy na tyle dorośli, że możemy takie decyzje podejmować sami. Postanowiliśmy, że zmiana może nam dobrze zrobić, i wybraliśmy najlepszy naszym zdaniem sposób, żeby jej dokonać. -

Mrugnal porozumiewawczo. - A może chcesz powiedzieć, że żadne z nas nie ma pojęcia, jak należy się zachowywać w zupełnie nieznanym miejscu?

Corwin zacisnął mocno zęby.

- Masz teraz znacznie więcej lat, niż wówczas, kiedy przybyłeś na Aventine - powiedział. - A tam, dokąd się wybierasz, możesz zginąć.

- Twoi bracia także mogą zginąć na Qasamie - przypomniał mu łagodnie Jonny. - Czy wszyscy mamy czuć się bezpiecznie, podczas gdy oni będą tam ryzykować życiem? W ten sposób chociaż w pewnym sensie będziemy mogli dzielić z nimi groźbę im niebezpieczeństwa.

Corwin poczuł, jak po plecach przebiegły mu zimne dreszcze.

- To bardzo naciągany argument, tato - powiedział. - Twoje niebezpieczeństwa w żadnym stopniu nie zmniejszą tych, jakie mogą im grozić.

- Wiem o tym - odrzekł Jonny z przymusem, pogodnie się uśmiechał, ale po jego uśmiechu można było poznać, że pragnie w ten sposób oszukać samego siebie. - To jedna z najbardziej fascynujących cech ludzkiej psychiki... głęboko zakorzenione przekonanie, które może być bardzo silne, choć nie ma po temu najmniejszych podstaw. - Po chwili jednak spoważniał i dodał: - Nie zamierzam cię prosić, żebyś się cieszył z mojej decyzji, ale chociaż przyznaj, że wiem na tyle dużo o sobie i swojej żonie, żeby wiedzieć, co robię.

Corwin westchnął i rozłożył ręce, jak gdyby przyznawał się do porażki.

- Niech będzie - powiedział. - Zależy mi tylko na tym, byście wrócili. Wiesz, że nie potrafię borykać się sam z całą radą.

Jonny zachichotał.

- Zrobimy, co będzie w naszej mocy - odparł. Siegnawszy po telefon, wystukał na klawiaturze jakiś numer, a później popatrzył na ekran. - Zobaczmy, co tu mamy... o, bardzo dobrze. Dzisiaj wieczorem rada ma dyskutować na temat liczebności Kobr. Myślę, że nic się nie stanie, jeżeli sobie to darujemy. Czy nie chciałbyś się przyjrzeć, jak wyglądają w praktyce przynajmniej niektóre poczynania polityczne twojego taty?

- Jasne - odparł Corwin, zastanawiając się, co może mieć na myśli jego ojciec.

- To dobrze - odparł Jonny i wystukał jeszcze jeden numer. - Mówi Jonny Moreau. Czy ta specjalna taksówka powietrzna, którą zamawiałem, jest już gotowa?... To świetnie. Proszę powiadomić pilota, że chciałbym odlecieć mniej więcej za dwadzieścia minut. Oprócz mnie poleci jeszcze dwóch pasażerów.

Skonczywszy rozmowę, wstał i podszedł do stojaka, na którym wisiał jego termiczny skafander.

- Weź płaszcz - poradził Corwinowi. - Mamy zamiar dostarczyć klientowi coś, co może być uznane za awentynski odpowiednik darmowej próbki naszego towaru, która, przy odrobinie szczęścia, może okazać się wcale nie taka darmowa.

Trzecim uczestnikiem wycieczki okazał się Pierwszy Mówca.

Kiedy przelatowali nad rozciągająca się pod nimi Awentina, Corwin obserwował Trofta z czymś w rodzaju skrywanej fascynacji. Wprawdzie spotykał się w życiu z wieloma przedstawicielami tej rasy, ale nigdy żadnego nie miał okazji oglądać przez tyle czasu i z tak bliska. Spoglądał na jego nogi ze stawami umożliwiającymi im zginanie się do tyłu i płaskimi, podobnymi do łap stopami. Patrzył na jego tułów i podbrzusze, przypominające mu owadzi odwłok, na ramiona z gietkami, rozkładającymi się jak wachlarz membranami, na nieproporcjonalnie dużą głowę z podwójnym pecherzem w okolicy gardła, a także na dziwną twarz, na widok której miał wrażenie, że patrzy na ogromne kurcze. Wszystkie te szczegóły anatomicznej budowy ciała Trofta były mu tak dobrze znane jak wygląd człowieka czy nawet kolczastego lamparta, a jednak dopiero teraz zaczynał zdawać sobie sprawę z tego, ile szczegółów w ogóle nawet nie dostrzegał. Chociażby błyszczącej lekko skóry obcej istoty, podobnej do połysku obcisłego bezrekawnika, który nosił. Z odległości niespełna metra mógł wyraźnie widzieć krzyżujące się zmarszczki skóry i delikatne włoski, wyrastające z każdego skrzyżowania. Siedząc na specjalnie dla niego skonstruowanym fotelu, Troft poruszył się tylko kilka razy podczas lotu, ale Corwin przy każdym jego ruchu widział rysujące się pod skórą napięte mięśnie, a także - przynajmniej od czasu do czasu - niektóre kości. Ogromne główne oczy miały barwę inną niż trójce mniejszych oczu pomocniczych, umieszczonych wokół każdego z nich. Czytał kiedyś, że oczy główne pozwalają Troftom na widzenie przestrzenne, podczas gdy pomocnicze umożliwiają zarówno widzenie w nocy, jak wykrywanie spolaryzowanego światła słonecznego w mgliste dni po to, żeby mogli określać swoją pozycję względem słońca. W czasie trwania całego lotu krótki dziób Trofta nie otworzył się ani razu. Corwin bardzo tego żałował, gdyż chciałby zobaczyć, jak naprawdę wyglądają z bliska jego trójdzielne zęby.

Jonny także nie odezwał się przez całe dwadzieścia minut ani słowem, jeżeli nie liczyć poinformowania pilota o celu podróży. Wyglądało na to, że on i Pierwszy Mówca uzgodnili wszystko już wcześniej i teraz zaden nie czuł potrzeby rozmowy. Corwin przez jakiś czas się zastanawiał, czy nie poprosić ojca o dodatkowe wyjaśnienia, ale niechętnie doszedł do wniosku, że powinien naśladować jego milczenie i zrezygnował. Dzieląc uwagę między widoki w dole i Trofta, uzbroidł się w całą cierpliwość, na jaką było go stać w tych okolicznościach.

W końcu wylądowali w pobliżu wielkiego, prostopadłościennego budynku, wzniesionego z dala od jakiegokolwiek znanej Corwinowi osady, w samym sercu osniezonych o tej porze lasów. Jonny wysiadł z taksówki, i nie odzywając się do dwóch czekających już na nich umundurowanych mężczyzn, poprowadził wszystkich w stronę budynku... i dopiero wówczas zaczęło Corwinowi switać w głowie, co mógł mieć na myśli jego ojciec.

Wysoko w górnej części munduru każdego mężczyzny ujrzał naszywkę z napisem „Osrodek szkoleniowy”, a pod nim stylizowany wizerunek przedstawiający obdarzonego kapturem weża akademii Kobr.

- Panie gubernatorze - odezwał się jeden z mężczyzn, kiwnawszy w stronę Jonny'ego głowa. - Pan i pana goście uzyskali zgodę na wizytę w naszej sali obserwacyjnej. Proszę teraz iść za mną...

Wszyscy razem przeszli przez opancerzone drzwi i udali się wyjątkowo ponuro wyglądającym i ciemnym korytarzem, a odgłos ich kroków odbijał się dziwnym echem o metalowe ściany. Przewodnik zaprowadził ich do windy, z której wylonili się po trzydziestu sekundach w dużej i nierównomiernie oświetlonej sali, w której wyczuwano się atmosferę tłumionego napięcia. W ciemniejszych miejscach wzdłuż jednej ze ścian sali przed zestawami niewielkich monitorów siedziało co najmniej trzydziestu mężczyzn z palcami na klawiaturach i dźwigniach. Mniej więcej pośrodku sali znajdowała się duża półkolistą konsola wyposażona w nieco większe ekrany i będąca osrodkiem zainteresowania kilku innych mężczyzn, ubranych w mundury z czerwonymi i czarnymi ukosnymi pasami Kobr. Jeden odwrócił się i ruszył ku nim, żeby ich powitać, a kiedy znalazł się tuż przy nich, Corwin rozpoznał w nim samego koordynatora Kobr, Suna. Zaiste, królewskie powitanie - pomyślał.

- Witam pana, panie gubernatorze - odezwał się koordynator, schylając lekko głowę w stronę Jonny'ego. - Witam także i pana, Pierwszy Mówco, jak również pana, panie Moreau - dodał, powtarzając ten gest w kierunku Trofta i Corwina. - Poproszę panów, żebyście poszli teraz ze mną. Nasza grupa zdołała właśnie przedrzeć się przez teren zewnętrznej linii obrony nieprzyjaciela.

- Czy teraz zaatakują? - zapytał Pierwszy Mówca, kiedy wraz z Sunem wrócili do półkolistej konsoli.

- Można tak to określić - odparł Sun. - Grupa Kobr, która ma zostać wysłana na Qasame, ćwiczy sposoby przedostawania się do środka budynków. Zobaczmy, jak sobie z tym dają radę.

Na ekranach było widać różne etapy tej akcji, a Corwin szybko popatrzył na nie po kolei, chcąc zorientować się, o co chodzi. Mimo wielu monitorów z widocznymi na nich obrazami z różnych kamer, już wkrótce stwierdził, że w ataku biorą udział tylko cztery Kobry: Almo Pyre, Justin i dwaj, których znalazł tylko ze zdjęć i z raportów rady: Michael Winward i Dorjay Link. Ci ostatni skradali się właśnie korytarzem, podczas gdy Pyre i Justin kulili się przed groźnie wyglądającymi drzwiami.

- Ci dwaj - wyjaśnił Sun, wskazując na Pyre'a i Justina - zatrzymali się przed pancernymi drzwiami zaopatrzonymi w elektroniczny zamek. Wiedza, że mogliby go zniszczyć za pomocą przeciwpancernych laserów, ale na razie nikt nie uruchomił alarmu, więc mają czas się zastanowić, czy nie można tam wejść nieco ciszej. Wygląda mi jednak na to, że już wkrótce jeden z Qasaman może splatać im przykrego figła.

Wystukał na klawiaturze jakiś kod, po którym obraz na monitorze się zmienił, ukazując ich oczom widok z kamery poruszającego się chwiejnym krokiem zdalniaka...

Kamera skreśliła za róg i znieruchomiała, przekazując obraz pancernych drzwi i Justina. Justin jest sam? - pomyślał Corwin. - Przecież Almo także był tam przed chwilą...

Nagle ekran rozbłysnął jasnym światłem i ściemniał. Corwin w samą porę popatrzył na inny monitor, przekazujący obraz z nieruchomej kamery, żeby zobaczyć, jak Pyre opada spod sufitu i ląduje u boku obojętnego przez siebie zdalniaka, wyciągając obie ręce w pozycje gotowe do strzału z laserów małych palców. Wyjrzałszy za róg, uniósł bez wysiłku zdalniaka i położył go pod pancernymi drzwiami.

- Gotowe - szepnął Justinowi.

- Ja też jestem gotów - szepnął w odpowiedzi Justin.

- Za tymi drzwiami znajduje się bardzo ważny ośrodek śledzenia toru lotu pocisków - wyjaśnił im Sun.

Nachyliwszy się, wcisnął jakiś przelacznik i ciemny dotychczas ekran nie używanego monitora rozjaśnił się, ukazując schemat pomieszczeń, w których odbywały się ćwiczenia. Corwin niemal w tej samej chwili umiejscowił na nim dwie kropki, oznaczające miejsca pobytu jego brata i Pyre'a... i zdrewniał z przerażenia, kiedy stwierdził, że pokój, do którego zamierzali się dostać, bynajmniej nie był pusty.

- Jak widzicie - ciągnął tymczasem beznamiętnie Sun - w pokoju przebywa osiem Qasaman, którzy pełnią tam właśnie służbę. Wszyscy są uzbrojeni, ale atakujące ich Kobry powinny mieć przewagę wynikającą z zaskoczenia. Zaraz zresztą się przekonamy...

Justin wyprostował się i sięgnął ręką do drzwi... ale o ułamek sekundy wcześniej, zanim zdążył je otworzyć, panująca cisza rozdarła przenikliwie wycie alarmowych syren.

Corwin dowiedział się nieco później, że ten alarm uruchomili przypadkowo Winward i Link, ale w tym pierwszym ułamku sekundy wydawało się przerażająco jasne, że Justin i Pyre wpadli w zastawioną na nich pułapkę. Obaj zresztą zapewne także w to uwierzyli, gdyż zamiast wskoczyć do pomieszczenia przez uchylone drzwi, przywarli do ściany po obu ich stronach. Stojący z tyłu za Corwinem Jonny ze złością coś mruknął... ale zanim obu Kobrom przyszło na myśl, że się pomylili, było już za późno. Znajdujące się w pokoju zdalniaki zostały ostrzeżone i w chwili, w której Pyre zaryzykował i odważył się zajrzeć do środka, o mało co został trafiony strzałem z lasera.

Corwin zacisnął zęby aż do bólu, ale widoczne na monitorach postacie nie traciły czasu na obarczanie się nawzajem winą. Pyre dał Justinowi kilka szybkich znaków ręką, a Justin w odpowiedzi tylko kiwnął głową i przygotował się do akcji.

W następnej sekundzie obaj mężczyźni wystrzelili prawie na oslep z laserów umieszczonych w małych palcach... a potem Pyre, odepchnawszy się od futryny, jak pocisk wpadł do pokoju.

Odbił się od podłogi i poszybował ku sufitowi. Siedzace jego ruchy kamery przekazały idealnie wyraźny obraz ciała lecącego łagodnym łukiem niby dziwny skoczek po odbiciu się od trampoliny. W tym czasie znajdujący się w jego lewej nodze przeciwpancerne laser siał zniszczenie, a wąski stożek światła omiatał przestrzeń pod nim. Pyre nie zdążył osiągnąć najwyższego punktu toru lotu, kiedy w ślad za nim do pokoju wpadł Justin. Młodszy Kobra wykonał płaski, długi skok z półobrotami w powietrzu, po którym wylądował na plecach i zaczął się obracać jak wirujący bak... a w tym czasie i jego przeciwpancerne laser omiatał pokój śmiercionośnym światłem.

Był to klasyczny dwupoziomowy manewr, który Corwin tak dobrze znał z wojennych opowieści ojca. W przestrzeni między szybko lecącym wysoko Pyre'em a strzelającym tuż przy podłodze laserem Justina nie było miejsca, w którym można byłoby się ukryć, i w ciągu następnej półtorej sekundy wszystkie osiem ekranów monitorów przekazujących obrazy z kamer zdalniaków jeden po drugim ciemniały.

Corwin nagle zdał sobie sprawę z tego, że wstrzymuje oddech, i zaryzykował rzut oka na inne monitory, żeby się zorientować, co robią Winward i Link. Od chwili, w której widział ich po raz ostatni, rozdzielili się: Link znajdował się teraz przy otwartych drzwiach prowadzących na zewnątrz budynku, a Winward go asekurował z wyciągniętymi rękami i przygotowanymi do strzału laserami małych palców, stojąc tam, gdzie krzyżowały się dwa korytarze. Na wyświetlanym schemacie miejsca akcji w dzielącej ich przestrzeni można było zobaczyć imponującą liczbę unieruchomionych zdalniaków.

Nagły błysk i głośny huk sprawił, że Corwin zwrócił uwagę ponownie na poprzedni monitor. Zrobił to w sama porę, żeby ujrzeć, jak znajdujący się w pokoju śledzenia toru lotu pocisków Justin wycelował laser małego palca prawej dłoni w kolejny pulpit sterowniczy i uruchomił swój miotacz energii elektrycznej. Corwin zacisnął dłoń w pięść, kiedy nastąpił drugi błysk i rozległ się drugi huk. Dobrze pamiętał szok, jaki przeżył, będąc dzieckiem, kiedy poraził go prąd elektryczny z uszkodzonego gniazda sieciowego. Wskutek tego ten o wiele groźniejszy, bo wysokoamperowy łuk elektryczny przemieszczający się po ścieżkach powietrza zjonizowanego dzięki strzałowi z lasera kojarzył mu się z tamtym wstrząsem o wiele silniej, niż znacznie bardziej śmiercionośny strzał z przeciwpancerne lasera. Zmusił się jednak do patrzenia, jak Pyre i Justin niszczyli metodycznie kolejne pulpity sterownicze i urządzenia elektroniczne, które widzieli w pomieszczeniu. Pyre zatrzymał się tylko raz, i to na krótko, przed dużym ekranowanym ze wszystkich stron aparatem i nagle cały pokój wypełnił się dziwnym buczeniem.

- Bron soniczna - oznajmił Sun, prawdopodobnie mając na uwadze obecność Trofta.

Po kilku chwilach Corwinowi wydało się, że słyszy cichy trzask, po którym buczenie ustalo, a Pyre ruszył dalej.

Po następnych dwóch strzałach z miotacza energii elektrycznej wyjście obu Kobr z pomieszczenia przebiegło tak beztrudnie, że niemal można było zapomnieć o tym, jakiego zniszczenia dokonali w tak krótkim czasie. Dopiero teraz stało się jasne, że Link i Winward większość tego czasu spędzili przygotowując im drogę odwrotu, toteż Pyre musiał unieszkodliwić już tylko dwa zdalnie. Winward przyłączył się do nich, kiedy mijali jego punkt obserwacyjny na skrzyżowaniu korytarzy. Po kilku następnych chwilach dotarli do drzwi, których pilnował Link, i wszyscy czterej skryli się w gestwinie

lasu. Dopiero wtedy Corwin poczuł, że rytm bicia jego serca zaczyna powoli powracać do normy.

- I to byłoby wszystko - oznajmił Sun. - Operatorzy zdalnie, proszę wyłączyć urządzenia. Proszę też wezwać Kobry do powrotu.

Corwin rozejrzył się po sali. Zobaczył, że w słabiej oświetlonej części ekrany wszystkich monitorów ciemnieją jeden po drugim, a operatorzy zdalnie wstają z krzeseł i przeciągają się, by rozluźnić mięśnie. Nagle poczuł, jak stojący za nim ojciec kładzie mu dłoń na ramieniu.

- Już zdążyłem zapomnieć, co to znaczy widzieć Kobry podczas prawdziwej walki - odezwał się Jonny, a w jego głosie można było wyczuć ślady emocji, jaka i on musiał przeżyć.

- Zdumiewające, ile adrenaliny może wytworzyć ludzki organizm - odezwał się inny znajomy głos.

Zaskoczony Corwin popatrzył na kogoś stojącego o krok za ojcem. Tak bardzo skupił uwagę na ekranach monitorów, że nawet nie zauważył starego przyjaciela i towarzysza broni Jonny'ego, Cally'ego Hallorana, którego Sun także dołączył do grupy szkolącej nowe Kobry. Halloran skinął Corwinowi głową i przeniósł wzrok na Trofta, nie odzywającego się ani słowem.

- Słyszałem, Pierwszy Mówco, że domena Baliu'ckha'spmi uważa koszty naszej wyprawy rozpoznawczej za zbyt wygórowane - powiedział. - Czy teraz, kiedy widział pan nasze Kobry w akcji, sądzi pan, że mają rację?

Pierwszy Mówca poruszył się niespokojnie, rozprostował membrany niczym nietoperz skrzydła, lecz po chwili ponownie złożył je na górnych częściach ramion.

- Domena Tlos'khin'fahi zawsze była świadoma, jakimi umiejętnościami walki dysponują wasi żołnierze-kobry - odparł.

Dopiero po chwili Corwin uzmysłowił sobie, że właściwie nie była to odpowiedź na zadane pytanie. Jego ojciec także nie dał się zwieść temu unikowi.

- Ale nie na tyle świadoma, jak sądzę, żeby ponieść dodatkowe koszty, których nie chce pokryć domena Baliu? - zapytał. - Może zatem władca waszej domeny chciałby obejrzeć sobie taśmę z nagraniem dzisiejszych ćwiczeń?

- Myślę, że bardzo by go to zainteresowało - zgodził się z nim Troft. - Zwłaszcza, gdyby cena tej taśmy okazała się przystępna.

- Dość przystępna - obiecał Jonny, kiwnawszy głową. - Tym bardziej, że z pewnością część tej sumy zwróci wam później domena Baliu'ckha'spmi za kopię tej taśmy, która jej odsprzedacie. W związku z tym mam nadzieję, że potem władcy obu tych domen osiągną nowe porozumienie w sprawie tego, jakie koszty każdy zechce ponieść, żeby zapewnić sobie nasze usługi.

- Tak - odezwał się Pierwszy Mówca, a Corwin z niejakim zaskoczeniem pomyślał, że w monotonnym dotychczas głosie z translatora słyszy coś, co można byłoby wziąć za zadumę. - Tak, uważam to za całkiem możliwe.

Jego przypuszczenia okazały się słuszne i po upływie kolejnych dwóch tygodni Troftowie zaprzestali wszelkich uników, jakie stosowali dotychczas w rozmowach na tematy finansowe. Niewiele to zresztą obchodziło kogokolwiek z planujących obie wyprawy ludzi, którzy już przedtem postanowili nie oszczędzać w sprawach najważniejszych przy równoczesnym dążeniu do minimalizowania innych kosztów. Taka *carte blanche* stanowiła ogromny emocjonalny doping dla wszystkich, których to dotyczyło. Corwin ocenił natomiast ten gest w sensie politycznym jako dość wyraźny wzrost znaczenia światów Kobr na arenie międzyplanetarnej. W pewnym sensie było to bardzo pozytywne, ale też trochę niebezpieczne... gdyż

Corwin dobrze pamiętał czasy, kiedy Troftowie traktowali te same światy jako zagrożenie. Ich obawy rozproszyło dopiero przerwanie wszelkich kontaktów z *Dominium Ludzi*, ale można było łatwo przewidzieć, że taki wzrost politycznego znaczenia, chociażby tylko pozorny, mógł wzbudzić niepokój Troftów i zostać potraktowany przez nich jako nowa groźba. Po raz pierwszy w życiu Corwin zaczął rozumieć obawy ojca przed użyciem tej obosiecznej broni, jaką było ujawnianie Troftom prawdziwych umiejętności Kobr w zakresie prowadzenia walki. Teraz jednak było o wiele za późno na to, żeby się wycofać.

Po kolejnych trzech tygodniach - razem zaledwie jedenastu od chwili zaaprobowania projektu przez radę - z *Aventiny* wystartowały jedyne dwa międzygwiazdne statki, jakimi dysponowały Światy Kobr: „*Dewdrop*” i „*Menssana*”. Na pokładzie „*Dewdrop*” lecące ku *Qasamie* znajdowali się Joshua i Justin Moreau; na pokładzie „*Menssany*” - Chrys i Jonny Moreau, kierujący się ku celom, których położenia oficjalnie nie określono.

Corwin przyglądał się, jak oba statki odlatują, a później przez długi czas nie mógł się nadziwić, w jaki sposób na planecie zamieszkiwanej przez prawie czterysta tysięcy ludzi może nagle czuć się aż tak samotny.

Rozdział siódmy

W czasach, kiedy dopiero zaczynało się kolonizować *Aventine*, „*Dewdrop*” była jedynym statkiem międzygwiazdowym tej planety. Zbudowano ją tylko z myślą o lotach zwiadowczych po okolicznych systemach gwiazdnych w celu zorientowania się, która z planet nadaje się do kolonizacji. W związku z tym projektanci z *Dominium* nie widzieli sensu, by miał to być statek większy od zwyczajnego patrolowca. W normalnych warunkach wystarczył, żeby pomieścić pięciu członków załogi i czterech obserwatorów. W chwili obecnej na pokładzie znajdowało się jednak dwa razy tyle osób, co sprawiało, że było okropnie ciasno.

Pyre jednak nie uważał tej sytuacji za szczególnie męcząca czy nieprzyjemna, gdyż wychował się w warunkach, które na swój specyficzny sposób były co najmniej tak samo klaustrofobogenne. Niewielka osada Thanksgiving, w której mieszkał, otoczona ze wszystkich stron gestymi lasami z buszującymi w nich kolczastymi lampartami, stanowiła bardzo przytulne miejsce i chociaż Pyre od tamtych czasów doświadczył zarówno większej anonimowości dużych miast, jak swobody otwartych przestrzeni przygranicznych rejonów Aventiny, to jednak nigdy nie stracił zdolności do stwarzania sobie umysłowego odosobnienia w sytuacjach, w których fizyczne nie istniało.

Większość pozostałych pasażerów przystosowała się do panujących warunków równie dobrze. Joshua i Justin, rzecz jasna, przez większą część życia mieli wspólny pokój i nawet stłoczeni w jednej z kabin statku radzili sobie lepiej niż większość innych par braci, jakiego znalazł Pyre. Pozostali Kobry, Link i Winward, mieli za sobą nie tylko wspólny pobyt w koszarach akademii, ale i intensywne ćwiczenia, jakim poddawano ich w ciągu ostatnich kilku tygodni, toteż Winward uznał warunki panujące na statku w porównaniu z tymi za iscie luksusowe. Członkowie grupy zwiadowczej, w skład której, oprócz Justina, wchodził: Yuri Cerenkov, Marek Rynstadt i dawny komandos Dominium, Decker York - zostali przed odlotem przebadani w celu wykrycia cegokolwiek, co choćby tylko przelotnie wyglądało na nerwice. Pyre wątpił, czy cokolwiek mogłoby im przeszkodzić, przynajmniej w sposób zauważalny. Dwaj główni naukowcy wyprawy, doktorzy Bilman Christopher i Hersh Nnamdi, byli tak zajęci sprawdzaniem aparatury i programów oraz planowaniem postępowania na wypadek trudnych do przewidzenia sytuacji, że najprawdopodobniej nawet nie zauważyli, jak ciasno było wszystkim na pokładzie statku.

Pozostawała więc tylko gubernator Telek.

Dla Pyre'a było tajemnicą, dlaczego dołączono go do grupy osób biorących udział w wyprawie. Jedynym rozsądnym argumentem wydawał mu się ten o potrzebie reprezentowania rady przez kogoś obdarzonego dużą władzą. Poza tym nie chciał mu się wierzyć, że gubernator generalny Stiggar zgodził się na udział kobiety w czymś, co z każdą chwilą coraz bardziej zaczynało wyglądać na wyprawę wojskową. Pyre nie miał żadnych zastrzeżeń wobec kobiet, które były lekarzami lub inżynierami, ale walka czy wojna to coś zupełnie innego. Uważał, że Stiggar, który przecież znaczną część życia spędził w Dominium, powinien wiedzieć o tym lepiej od niego. Rozważania te doprowadziły go szybko do nieuchronnego wniosku, że decyzje o udziale Telek podjęto wyłącznie ze względów politycznych... co jeszcze szybciej kazało mu zadać sobie pytanie, dlaczego on sam, Pyre, także znalazł się na pokładzie.

I dopiero odpowiedź na to pytanie sprawiła mu prawdziwy kłopot. Pyre nie miał ostatnio tak bezpośredniego dostępu do wszystkich poufnych informacji jak wówczas, kiedy mieszkał blisko i często spotykał się z rodziną Moreau, ale nawet i bez tych informacji było dla niego całkiem jasne, że Stiggar nie zgodziłby się na zabranie Telek, gdyby się nie spodziewał, że jej raport i wynikające z niego wnioski będą chociaż mniej więcej zgodne z jego własnymi oczekiwaniami. Pyre zaś był dobrym przyjacielem Jonny'ego Moreau, który zarówno jako gubernator, jak i później, już po przejściu na emeryturę, nie zgadzał się ze zdaniem Telek niemal w żadnej sprawie... a jednak ta kobieta postanowiła obejrzeć w akcji na Aventynie właśnie grupę Pyre'a, to jego poprosiła o ocenę kosztów wyprawy i liczebności Kobr po to, żeby później przedstawić te dane radzie, wreszcie to jego kandydaturę poparła, kiedy zastanawiano się, kto będzie przywódcą wszystkich Kobr tej wyprawy.

Dlaczego? Czy w ten sposób chciała mu schlebic, żeby uznał jej bardziej agresywne stanowisko w sprawie Qasamy? Czy może zamierzała mu tylko dać ostatnią szansę wzięcia udziału w prawdziwej walce, zanim związane z implantowanymi urządzeniami choroby i dolegliwości zaczną z wolna lecz nieubłaganie paraliżować jego ciało? Czy mogła żywić nadzieję, że dzięki temu zostanie jej politycznym sprzymierzeńcem, kiedy przejdzie na emeryturę i będzie mógł pełnić już tylko funkcje doradcy? A może po prostu sądziła, że najlepiej ze wszystkich nadaje się do tej pracy i przynajmniej w tym jednym

przypadku uznala, ze moze miec w nosie cala polityke?

Nie umial stwierdzic... a wkrótce tez stalo sie jasne, ze nie

bedzie mógł znalezc odpowiedzi takze w czasie podróży. Okazalo sie bowiem, ze zagadnienia z dziedziny biologii, jakie kiedyś studiowala Telek, niemal wcale nie przygotowaly jej do stawienia czola problemom, z jakimi przyszlo jej borykac sie na pokladzie zatloczonej „Dewdrop”. Bardzo starala sie byc mila dla wszystkich, ale tak, by nie tracic nic z godnosc osoby oficjalnie dowodzacej wyprawa, i juz wkrótce stalo sie oczywiste, ze po prostu nie zaistnieje zadna mozliwosc zapytania jej o powody, dla których zdecydowala sie wziac w niej udzial. Moze później znajdzie sie na to czas, kiedy wyladuja na Qasamie i kiedy zejdzie na lad grupa zwiadowcza. O ile bedzie wtedy czas na cokolwiek.

Tak wiec Pyre spedzal czas, zastanawiajac sie nad mozliwymi sposobami postepowania w różnych sytuacjach, odnawial znajomosc z blizniakami i wsluchiwal sie w monotonny szum silników „Dewdrop”, zastanawiajac sie zarazem nad tym, czy o czymś nie zapomnial. Na sniace mu sie czasami koszmary o naglej i nieodwracalnej klesce staral sie, jak mógł, nie zwracac uwagi.

Przebycie czterdziestu pieciu lat swietlnych z ekonomiczna predkoscia, przy malym ciagu silników, zajeloby im troche wiecej niz miesiac. Mogli jednak pokonac te odleglosc w ciagu szesciu dni, gdyby podróżowali z największa szybkością, na jaka bylo stac „Dewdrop”, i z czestymi postojami w celu uzupelnienia paliwa na planetach Troftów. Kapitan Reson F'ahl wybral jednak rozsadne posrednie wyjście, nie tylko z uwagi na starzejace sie urzadzenia statku, ale i - jak podejrzewal Pyre - na glęboko zakorzeniona nieufnosc wobec Troftów.

Tak wiec przez pietnascie dni byli otoczeni przez nieprzenikniona czern nadprzestrzeni, przerywana co piec dni krótkimi postojami dla nabrania paliwa... a szesnastego dnia znalezli sie nad Qasama.

Purysci od wieków twierdzili, ze zadna emulsja fotograficzna, zaden wizerunek holograficzny czy nawet komputerowo przetworzony obraz nie sa w stanie zastapic zasiegu i mocy ludzkiego oka. Teoretycznie Joshua byl sklonny sie z tym zgodzic, ale dopiero teraz po raz pierwszy przekonal sie, jakie wrazenie wywiera widok z iluminatora własnej kabiny.

Poci mieli racje: istnialo niewiele widoków równie majestatycznych jak widok całej planety niespiesznie i dumnie obracajacej sie wokół własnej osi.

Stojac z twarza niemal przyklepiona do malego trójwarstwowego plastikowego owalu, Joshua nawet nie spostrzegł, ze ktos wszedl do kabiny, dopóki nie uslyszal pytania Justina:

- Masz zamiar zapuscic korzenie? Nawet nie chcialo mu sie odwrócić glowy.

- Znajdz sobie jakis inny iluminator - powiedzial. - Ten jest mój, bo bylem przy nim pierwszy.

- Daj spokój i odklej sie od niego - odparl Justin, udajac, ze stara sie odsunac brata sila. - Zreszta i tak chyba powinienes byc teraz razem z Yurim i innymi.

Joshua machnal reka w kierunku ekranu interkomu.

- Tutaj i tak nie ma miejsca dla nikogo wiekszego od chomika - powiedzial. - No dobrze, juz dobrze.

Parsknawszy z udana irytacja, odsunal sie na bok. Jego miejsce przy iluminatorze zajal Justin... ale Joshua nie podszedl do interkomu, dopóki nie uslyszal pierwszego, pelnego podziwu gwizdniecia brata.

Obraz na ekranie ukazał mu pomieszczenie, nazywane eufemistycznie przez wszystkich świetlica. „Zatloczone” byłoby zbyt łagodnym określeniem na opisanie tego, co teraz się w nim działo. Upchnięci między różnymi urządzeniami i monitorami, znajdowali się w nim: Yuri Cerenkov, obaj naukowcy, Christopher i Nnamdi oraz gubernator Telek.

Z tyłu, przy samym iluminatorze, niemal poza zasięgiem kamery interkomu, stali obok siebie, wymieniając od czasu do czasu uwagi, Pyre i Decker York. Joshua podkreślił nieco siłę głosu i uczynił to w samą porę, żeby usłyszeć ciche chrząknięcie zamysłonego Nnamdiego.

- Przykro mi, ale nie widzę tu niczego takiego, czego mogliby obawiać się Troftowie - powiedział, zwracając się zapewne do wszystkich pozostałych. - Jak może społeczeństwo istot budujących tylko takie wioski stanowić groźbę dla kogoś znajdującego się tak daleko od nich?

- Okazmy trochę więcej cierpliwości, zgoda? - odezwała się Telek, nie odrywając wzroku od ekranów stojących przed nią monitorów. - Nie ukończyliśmy jeszcze nawet pierwszego okrzewania. Możliwe, że wszystkie bardziej technicznie rozwinięte miasta znajdują się po drugiej stronie.

- To nie jest tylko sprawa techniki, pani gubernator - nie zgodził się z nią Nnamdi. - Gęstość zaludnienia wydaje mi się zbyt mała na to, żebyśmy mogli uznać to społeczeństwo za rozwinięte.

- To antropomorficzny punkt widzenia - powiedziała Telek, krecąc głową. - Mogą być bardzo rozwinięci pod względem technicznym, lecz mieć niski przyrost naturalny lub po prostu nie lubić tłoku. Bill, czy zauważyłeś coś ciekawego?

- Na razie nie widzę niczego, co pozwoliłoby rozstrzygnąć ten problem w taki czy inny sposób - odpowiedział po chwili Christopher. - Widzę drogi, łączące niektóre wioski, ale roślinność jest zbyt gęsta, żeby ocenić, ile ich jest i dokąd wiodą. Z drugiej strony nie stwierdzam żadnych środków łączności satelitarnej i nie odbieram jakichkolwiek sygnałów.

Joshua włączył przycisk interkomu, umożliwiając mu uczestniczenie w rozmowie.

- Przepraszam, ale czy nie można by ocenić, jak duże obszary wokół tych wiosek są zajęte pod uprawy? Może to pozwoli nam na wyciągnięcie jakichś wniosków.

Telek uniosła głowę i spojrzała w stronę kamery interkomu.

- Na razie się nie da - powiedziała. - Co prawda widać jakieś pola z czymś, co można wziąć za tereny rolnicze, ale barwy gruntu i roślin uniemożliwiają nam dokonanie dokładniejszych pomiarów.

- A poza tym - wtracił się Christopher - z tej wysokości nie moglibyśmy stwierdzić, czy dana wioska uprawia coś tylko na swoje potrzeby, czy na eksport.

- Więc może wylądujemy - mruknął beztrząsco Justin ze swojego punktu obserwacyjnego przy bulaju.

Joshua odwrócił się i popatrzył na brata. Justin przyglądał się w zamysleniu widokom planety w dole... ale nic w jego twarzy ani postawie nie świadczyło o tym, by odczuwał taką samą niepewność czy obawę co jego brat.

- Może lepiej nie spieszyć się tak bardzo z wysyłaniem na ład naszych ludzi? - odezwał się uszczypliwie.

Justin zamrugał oczami.

- Przepraszam - powiedział. - Nie chciałem cie urazić.

- Wygląda na to, że jesteś zbyt pewny siebie, a to jeszcze gorzej. Twoja skłonność do optymizmu może narazić nas na niebezpieczeństwa.

- Czy uważasz dreptanie w miejscu, jak gdybyśmy mieli coś do ukrycia, za lepsze rozwiązanie?

Joshua skrzywił się z niesmakiem. Wszyscy uważali ich za podobnych do siebie jak dwa elektrony... ale w gruncie rzeczy odróżnić ich od siebie było bardzo łatwo. Justin był obdarzony niezwykle silnym optymizmem, który mógł się jednak okazać fatalny w skutkach, toteż nie potrafił uwierzyć, że wszechświat może wyrządzić mu jakąś krzywdę. Zdaniem Joshuy była to filozofia całkowicie pozbawiona realizmu - i tym trudniejsza do pojęcia, że Justin naprawdę nie umiał rozpoznać groźących mu niebezpieczeństw. Jak każdy członek rodziny Moreau potrafił przewidywać i rozważać zalety i wady omawianych propozycji, ale zachowywał się tak, jak gdyby reguły rachunku prawdopodobieństwa go nie dotyczyły. Przede wszystkim z powodu takiego podejścia brata do życia Joshua uważał, że Justin nie powinien zostawiać Kobra... dlatego też zastanawiał się kiedyś, czy przypadkiem nie byłoby lepiej, gdyby zrezygnowali z udziału w wyprawie.

Z zadumy wyrwał go nagle dochodzący z głośnika interkomu głos Cerenkova.

- Aha! Mamy nareszcie coś nowego. Chciałeś zobaczyć miasto, Hersh? Masz tutaj swoje miasto.

- Niech mnie diabli - mruknął Nnamdi, przebiegając palcami po klawiaturze urządzenia kontrolnego. - Słusznie, to prawdziwe miasto. Zobaczmy, co tu widac... bez wapienia energia elektryczna... w dalszym ciągu nie odbieram żadnych sygnałów radiowych... wygląda na to, że najwyższe budynki mają od dziesięciu do dwudziestu pięter. Bill, czy nie widzisz niczego, co mogłoby wyglądać na elektrownię?

- Zaczekaj chwilę - odparł Christopher. - Odkryłem tu jakieś dziwne promieniowanie neutrinowe... właśnie staram się dokonać jego analizy widmowej...

- Następne miasto - zameldował Christopher. - Trochę na południowy zachód od tego.

Joshua wypuścił z sykiem powietrze, zastanawiając się, czy nie pójść do świetlicy i nie obejrzeć sobie obu miast na własne oczy, ale obawiał się, że w tym czasie może wydarzyć się coś ważnego.

- Wydaje mi się, że i ja je widzę - odezwał się do niego Justin. - Chodź i popatrz.

Joshua podszedł do niego i wyjrzał przez iluminator, rad, że znalazło się kompromisowe wyjście. Miasta były jednak widoczne bardzo słabo.

- Czy twój teleskopowy wzrok pozwala ci zobaczyć coś godnego uwagi? - zapytał brata.

- Z tej odległości? Nie bądź śmieszny. Chociaż... poczekaj chwilę. Wpadł mi do głowy pewien pomysł.

Podszedłszy do interkomu, zabawił jakiś czas przy klawiaturze. Po chwili widok zatłoczonej świetlicy ustąpił miejsca niewyraźnemu i nieruchomemu obrazowi.

- Udało mi się przełączyć na monitor obraz z naszej kamery o ultrawysokiej rozdzielczości - odezwał się z zadowoleniem.

Joshua nachylił się, by spojrzeć. Obraz na ekranie przypominał widok zwyczajnego miasta: budynki, ulice i puste miejsca, mogące być parkami...

- Nie sędzisz, że ulice biegna w dziwnych kierunkach? - zapytał. - Mysle, że znacznie prosciej byloby, gdyby biegly z północy na południe i ze wschodu na zachód, zamiast tego, co widac tutaj.

Dopóki nie usłyszał odpowiedzi Telek na swoje pytanie, nie uswiadamił sobie, że połączenie foniczne ze świetlica nie zostało przerwane.

- Jezeli was to interesuje, kat wynosi dwadziescia cztery stopnie, liczac w kierunku ruchu wskazówek zegara od rzeczywistej północy. A przy tym ulice biegnae z południowego wschodu na północny zachód sa o wiele szersze od tych, które się z nimi krzyzuja. Czy ktos ma jakis pomysl, dlaczego tak jest?

- W tym drugim miescie jest identycznie - mruknal Cerenkov. - Ulice biegna pod katem tylko dwudziestu trzech i osmiu dziesiatych stopnia wzgledem północy, ale jest zachowana ta sama zasada, jezeli chodzi o szerokosc.

- A przy tym cale miasto nie jest obramowane pierścieniem, tak jak tamte wioski - odezwal się nagle Justin, przegladajacy w tym czasie inne zdjecia wykonane za pomoca tej samej ultrakamery.

Po drugiej stronie przez chwile panowala cisza.

- Co masz na mysli, mówiac: „obramowane pierścieniem”? - zapytał go w koncu Nnamdi.

- Wokół kazdej z tamtych wiosek znajduje się ciemny pas - wyjasnil Justin, przegladnawszy kilka wczesniejszych fotografii. - Przedtem sędzilem, że to cien rzucany przez otaczajace wioske drzewa, ale teraz nie jestem juz tego taki pewien.

- To ciekawe - mruknela Telek. - Jaki numer ma zdjecie, na którym to widziales?

- Podczas kiedy wy byliscie tym zajeci - przerwal jej Christopher - nam udalo się zidentyfikowac to widmo promieniowania neutrinowego, o którym wspominalem. Wyglada mi na to, że do zasilania swoich urzadzen elektrycznych stosuja podwójny reaktor wykorzystujacy i rozszczepianie, i synteze jader.

Ktos z zebranych w świetlicy osób cicho gwizdnal.

- To całkiem zaawansowany sposób, prawda? - odezwal się w interkomie czyjs inny głos, który, jak mimochodem stwierdzil Joshua, musial nalezec do Marcka Rynstadta.

- I tak, i nie - odparl Christopher. - Jest jasne, że nie dysponuja równie niezawodnym reaktorem dokonujacym syntezy jader jak nasz, gdyż nie bawiliby się w system podwójny. Z drugiej strony zbudowanie reaktora wykorzystujacego rozszczepianie jader przekraczaloby o setki lat mozliwosci istot zamieszkujacych tamte wioski.

- Czy mozliwe, że istnieja tam dwie kultury? - zaryzykował i zapytał Joshua. - Miasta i wioski na dwóch różnych etapach rozwoju cywilizacyjnego?

- Wydaje mi się o wiele bardziej prawdopodobne, że miasta zostały opanowane przez obca rasę przybyłych tu z kosmosu agresorów, podczas gdy w wioskach nadal mieszkaja tubylcy - odezwal się bez

owijania w bawelne Nnamdi. - Przyznaje, że ta technologiczna zagadka wydaje mi się bardzo ciekawa... dopiero teraz rozumiem, czego mogą obawiać się Troftowie.

- Tego, że Qasama stanowi pierwszą linię frontu walki prowadzonej przez istoty, które chcą zająć i ich terytorium - odezwała się ponuro Telek. - Moreau, którykolwiek z was o to pytał, wiemy już, co oznaczają te ciemne kregi wokół wiosek. To mury, mniej więcej metrowej grubości i mierzące od dwóch do trzech metrów wysokości.

- Prymitywne systemy obronne - powiedział cicho Justin.

- Na to wygląda - rzekł Cerenkov. - Pani gubernator, uważam za celowe ograniczenie tej części wyprawy do jeszcze jednego albo co najwyżej dwóch okrażeń. Z pewnością już wiedza, że jesteśmy tutaj, a im dłużej ociągamy się z lądowaniem, tym trudniej będzie im uwierzyć w nasze dobre intencje. Proszę także pamiętać o tym, że nie będziemy mogli udawać, iż nie wiedzieliśmy o istnieniu Qasamy.

- A przynajmniej nie wówczas, gdybyśmy chcieli korzystać z translatora przekazanego nam przez Troftów - zgodził się z nim Telek, chociaż dość niechętnie, jak ocenił Joshua.

Popatrzył ukradkiem na ekran interkomu i uważnie przyjrzał się jej twarzy... ale nawet jeżeli obawiała się posłać ich na dół, jego zdaniem, do jaskini weży, po minie nie dało się tego poznać. To już dwoje - pomyślał pośpiesznie, spoglądając z kolei na wciąż stojącego przy iluminatorze brata. - A może to ja tu nie pasuję? Może jestem zbyt wielkim asekurantem... a może tylko zwyczajnym, paskudnym tchórzem?

Dziwne, ale taka możliwość nie zawstydziła go ani trochę. Mimo wszystko to nie jego brat i gubernator Telek mieli pozostawić za sobą względne bezpieczeństwo „Dewdrop” w następnej chwili po lądowaniu, lecz on i pozostali członkowie grupy zwiadowczej. Tak więc dodatkowa porcja przezorności nie powinna być przeszkodą, a raczej czymś wręcz niezbędnym.

Zeszli z orbity po dokonaniu jeszcze jednego okrażenia nad czymś, co Nnamdi określił mianem „lancucha miast”. Kierowali się ku grupie kilku startowych pasów znajdujących się na północnym skraju wysuniętego najbardziej na północ osrodka; jednego z pięciu należących do „lancucha”. Doszło nawet do małej kłótni, kiedy zauważono te pasy po raz pierwszy. Nnamdi twierdził wówczas, że świadczą o tym, iż Qasama rzeczywiście jest bazą wypadowa obcych istot, które chcą podbić także inne światy. Christopher natomiast sądził, że ich długość i szerokość bardziej nadają się dla samolotów niż dla kosmicznych wahadłowców, toteż w świetlicy przez dłuższy czas trwała ostra sprzeczka, który z nich może mieć rację. Wszystkich pogodził w końcu Decker York, gdy zauważył, że kierunki, w jakich biegną te pasy, są zgodne raczej z kierunkami wiejących wiatrów niż z najbardziej prawdopodobnymi kierunkami startów i lądowań maszyn orbitalnych. Dalsze obserwacje nie ujawniły niczego, co potwierdziłoby teorię kosmodromu, tak więc Telek postanowiła wybrać jeden z tych pasów startowych na miejsce lądowania.

Dla Pyre'a była to najbardziej denerwująca chwila dotychczasowej części wyprawy. Unieruchomiony pasami na awaryjnym fotelu w pobliżu głównej służby statku, z dala od iluminatorów czy chociażby monitorów interkomu, czuł się bardziej bezbronny, niż powinien czuć się jakikolwiek Kobra. Gdyby Qasamianie chcieli zestrzelić ich statek, chwila lądowania nadawała się do tego celu wręcz idealnie. Bardziej nawet, niż obce istoty miały prawo podejrzewać. Nie mogły przecież wiedzieć, że „Dewdrop” jest statkiem pionowego startu i lądowania, i że jej załoga nie ma zbyt dużej wprawy w tego rodzaju awaryjnym siadaniu na pasach startowych lotnisk, na jakie należała gubernator Telek.

Nikt jednak nie otworzył do nich ognia i statek osiadł w zaplanowanym miejscu, nieznacznie tylko się przechylając. Pyre odetchnął bezwstydnie z prawdziwą ulgą, lecz kiedy wstawał, odpiawszy

przytrzymujące go przedtem pasy, nie przestał jednak obserwować jednym okiem zamka wewnętrznych wrót sluzy. Planowano odczekać kilka minut, a potem posłać Cerenkova na lotnisko, by spotkał się tam z komitetem powitalnym Qasaman, o ile gospodarze zamierzali taki do nich wysłać. W tym czasie Pyre i któryś z jego Kobr stanowiliby jedyną prawdziwą obronę statku.

Właczywszy w chwili po lądowaniu wzmacniacze słuchu na największą czułość, Pyre usłyszał, jak nagle Nnamdi, znajdujący się w korytarzu w pobliżu świetlicy, gwałtownie nabrał powietrza w płuca.

- Mój Boże, pani gubernator! - krzyknął. - Niech pani tu popatrzy!

- Almo! - zagrzmiął w ułamek sekundy później z drugiej strony głos Cerenkova. - Chodź szybko do mnie!

Pyre już szedł, a raczej biegł w stronę mostka, gdzie Cerenkov znajdował się w chwili lądowania, odruchowo wyciągając ręce i ustawiając dłonie do strzału z laserów małych palców.

Niewielkie, pomalowane na szaro pomieszczenie, mienilo się wieloma kolorami teczki, gdyż ekrany wszystkich monitorów przekazywały widok miasta i rosnących po drugiej stronie lotniska lasów. Pyre nie zdawał sobie przedtem sprawy z tego, jak barwne było samo miasto i że wszystkie jego budynki grały tymi samymi wieloma barwami i odcieniami, co lasy, jak gdyby chciały im dorównać. Po chwili jednak doszedł do wniosku, że zmysł estetyki Qasaman jest ostatnią rzeczą, na jaką powinien w tej chwili zwracać uwagę, i spojrzął na Cerenkova.

- O co chodzi? - zapytał.

Cerenkov, stojący teraz za fotelem F³ ahla, wycelował lekko drżący palec w stronę przekazywanego przez teleskopową kamerę obrazu najbliższych domów, odległych o kilkaset metrów od miejsca ich lądowania.

- Qasamanie - powiedział tylko.

Pyre popatrzył na ekran. Rzeczywiście, w stronę „Dewdrop” kierowało się sześć postaci. Każda miała wypukłość w miejscu, w którym nosiło się zwykle bron krótka, a na ramieniu po przeciwnej stronie coś, co z tej odległości przypominało niewielkiego ptaka. Sześć postaci...

Takich samych ludzi, jak ci, którzy przylecieli tu na pokładzie „Dewdrop”.

Rozdział ósmy

Przez całą długą minutę Pyre stał nieruchomo, usiłując pogodzić widok, który miał przed oczami ze zdrowym rozsądkiem mówiącym mu, że to niemożliwe. Ludzie tutaj? O ponad sto pięćdziesiąt lat świetlnych od najbliższej planety należącej do Dominium? I to po przeciwległej stronie całego

Zgromadzenia Troftów?

Ktos z obecnych w swietlicy osób cicho chrzknal i dzwiek ten, przekazany na mostek przez interkom, wdarl sie nieprzyjemnym zgrzytem w panujaca tam cisze.

- Wiec pani zdaniem my wszyscy rozumujemy zbyt antropomorficznie, pani gubernator? - odezwal sie Nnamdi z przesadna slodycza.

Wygladalo na to, ze Telek po raz pierwszy od chwili startu nie wie, co odpowiedziec. Po chwili ciszy odezwal sie znowu Nnamdi.

- Teraz chociaz mozemy byc pewni, ze domena Baliu nie miala nic wspólnego z wojna Troftów z Dominium Ludzi - powiedzial. - W przeciwnym razie musieliby nam powiedziec, ze Qasamanie sa takimi samymi istotami jak my.

- To niemozliwe - burknal York. - W tym miejscu nie moze byc zadnych ludzi. Po prostu nie moze.

- No, dobrze, nie moze - zgodzil sie z nim Christopher. - Czy przypadkiem nie powinniśmy zejsc na dól i powiedziec im o tym?

- A moze to jakies zludzenie optyczne? - zasugerowal z kabiny blizniaków Joshua. - Kontrolowana zbiorowa halucynacja czy cos w tym rodzaju?

- W cos takiego takze nie uwierze - oznajmil York.

- Poza tym - dodal F'ahl, naciskajac kilka przelaczników - musialaby to byc bardzo specyficzna halucynacja. Nasz radar krótkiego zasięgu wykrywa ich bez trudu, a co wiecej, potwierdza ich ksztalty.

- Moze to tylko niewolnicy prawdziwych Qasaman - zasugerowal Cerenkov. - Moze to jacys potomkowie ludzi porwanych z Ziemi przed wieloma wiekami. Tak czy inaczej, pani gubernator, uwazam, ze powinniśmy wyjsc i porozmawiac z nimi.

Telek wypuscila ze swistem powietrze przez zacisniete zęby. Wygladalo na to, ze w koncu wróčila jej zdolnosc mowy.

- Kapitanie, co wykazuje nasz analizator skladu atmosfery? - zapytala.

- Na razie nic szkodliwego - zameldowal F'ahl, przesuwajac palcem po ekranie monitora nie przekazujacego widoku Qasamy. - Tlen, azot, dwutlenek wegla i niewielkie ilosci innych gazów. Mm... zadnych sladów szkodliwego promieniowania czy skazenia związkami ciezkich metali. Analiza bakteriologiczna co prawda dopiero sie zaczela, ale na razie tez nie widze zadnych problemów. Komputer wykryl w analizowanych bakteriach podobne do naszych struktury DNA i protein, ale nie stwierdzil zadnych zagrozen dla naszego zdrowia.

- Hmm. No cóz, bede chciala sama obejrzec te dane troche później, ale jezeli wyniki sa podobne jak na Ayentynie, sprawa drobnoustrojów nie powinna stanowic duzego problemu. No dobrze, Yuri, mysle, ze mozesz przygotowac sie do wyjscia. Ale lepiej wez ze soba filtr, tak na wszelki wypadek.

Numer dwa powinien wystarczyc, o ile wirusy Qasamy nie sa znacznie mniejsze od naszych.

- Dobrze - powiedzial Cerenkov i przerwal, jak gdyby sie zawahal. - Pani gubernator, skoro tamci

wyslali na nasze powitanie tak liczna delegacje, moze byloby lepiej, gdyby razem ze mna zesla na lad cala grupa?

Szesciu Qasaman tymczasem znajdowalo sie coraz blizej statku. Pyre obserwowal powiekszone przez kamere postacie, przesuwajac wzrok z twarzy na stalowoszare ptaki siedzace na lewym ramieniu kazdej z osob. Szczegolnie uwaznie przygladal sie pistoletom umieszczonym na biodrach w dziwnych olstrach.

- Pani gubernator - zwrócił sie do Telek. - Zalecam, zeby Cerenkov wyszedl sam, a nie z cala grupa.

- Wydaje mi sie, ze nie masz racji - odparla Telek i westchnela. - Uwazam, ze powinniśmy okazac im zaufanie.

Cerenkov nie czekal ani chwili dluzej.

- Marek, Decker, Joshua - powiedzial. - Zbiórka w pelnym rynsztunku przy glównej sluzie.

Uslyszawszy trzy potwierdzenia swojego rozkazu, niemal biegiem opuscil mostek.

- Almo! - zawolala Telek, kiedy Pyre odwrócił sie, by pobiec za nim. - Chcialabym, zebys tutaj zostal.

Pyre skrzywil sie, ale uznal, ze w takiej chwili nie moze kwestionowac jej polecenia.

- Michael, Dorjay, zajac pozycje po obu stronach sluzy - zawolal do interkomu.

Obaj potwierdzili przyjecie rozkazu i Pyre mógł ponownie pospieszyc w strone rufy.

Udalo mu sie minac krzatajacych sie przy sluzie ludzi, nie potracajac nikogo, i kiedy z poslizgiem zatrzymal sie obok Telek, umieszczone w swietlicy monitory przekazywaly wlasnie obraz wychodzacego ze sluzy Cerenkova.

Jezeli widok Qasaman byl dla pasazerów „Dewdrop” prawdziwym wstrzasem, to w identyczny sposob zareagowali tubylcy. Komitet powitalny zatrzymal sie jak wryty, a Pyre dostrzegl malujace sie na wszystkich twarzach zdumienie i niedowierzanie. Napial miesnie, spodziewajac sie najgorszego, ale pistolety Qasaman pozostaly w swoich olstrach. Jeden z ptaków wprawdzie zaskrzeczal i zaczal machac skrzydlami, ale sie uspokoil, kiedy jego wlasciciel uniósł reke i delikatnie poglaskal palcem jego szyje. Nagle Pyre sie zorientowal, ze Telek nachyla sie nad nim.

- Czy wierzysz w to, ze Hersh mial racje, kiedy mówil o Baliusanach? - zapytala go prawie szeptem.

- O tym, ze nic nie wiedzieli? - odparl takze półglosem. - Ani troche. Baliusanie musieli wiedziec, ze my i tamci nalezemy do tej samej rasy, z tym sie zgadzam... ale z pewnoscia by nam powiedzieli, gdyby nasze zadanie mialo polegac na uwolnieniu ludzi z niewoli Qasaman.

Telek chrzaknela. Pyre stwierdzil, ze Nnamdi i Christopher zapewne nie slyszeli niczego z tej rozmowy. Dalby wiele, by wiedziec, co wlasciwie ukrywaja przed nimi Baliusanie. Kobra skupil wiec cala uwage na monitorze i w napieciu czekal na pierwsze slowa Qasaman.

Przedstawiciele komitetu powitalnego doszli do siebie zdumiewajaco szybko, który to fakt Cerenkov uznal za bardzo dobry omen. Bez wzgledu na to, czy stojacy przed nim ludzie byli niewolnikami, czy panami, stalo sie jasne, ze nie mozna zaliczyc ich do dzikusów. To zas oznaczalo... wlasnie, co? Cerenkov nie byl tego pewien, ale uznal to za dobry znak.

Delegacja Qasaman podeszła jeszcze trochę i zatrzymała się o kilka kroków przed grupą zwiadowczą. Cerenkov zaczął unosić wyciągniętą przed siebie prawą rękę, ale musiał przerwać w pół ruchu, kiedy jeden z ptaków wydał z siebie głośny skrzek i gwałtownie zaczął machać skrzydłami. Cerenkov zaczął czekać, aż jego właściciel go uspokoi, a potem uniósł rękę na wysokość piersi, wyciągając otwartą dłoń palcami do góry.

- Witam was w imieniu ludu Aventyny - przemówił. - Przybywamy tu w zamiarach pokojowych. Nazywam się Yuri Cerenkov, a to są moi towarzysze: Marek Rynstadt, Decker York i Joshua Moreau. Z kim będzie miał zaszczyt rozmawiać?

Przez kilka następnych sekund wiszący mu na szyi translator tłumaczył jego słowa, a w tym czasie Cerenkov modlił się w duchu o to, by program translacyjny, który przekazali im Troftowie, nie zawierał błędów. Ostatnią rzeczą, na jaką mogli sobie pozwolić, było wtrącenie do słów ich powitania jakiegось nie zamierzonej zniewagi.

Ale jeżeli nawet translator nie przekazał jego słów wiernie, po twarzach Qasaman nie dało się tego poznać. Jeden wystąpił o pół kroku przed pozostałymi, wyciągnął rękę w geście naśladującym gest Cerenkova, i powiedział:

- Witamy was.

Cerenkov usłyszał to zdanie w słuchawkach swojego helmu o kilka sekund później. Tymczasem Qasamanin mówił dalej.

- Nazywam się Moff i witam was wszystkich w imieniu burmistrza Kimmerona z Sollas i całego ludu Qasamy. Wasz translator mówi naszym językiem całkiem niezle. Dlaczego pozostaje wciąż na pokładzie statku?

- Nasz translator jest maszyna - odpowiedział mu z wahaniem Cerenkov, nie będąc pewnym, na ile tubylcy są zaawansowani pod względem technicznym. Ciekaw był, czy zrozumieliby słowo: komputer, czy może też doszli do wniosku, że wszystko to i tak sprawa czarnej magii. - Każde słowo, jakie wypowiadam, dociera do niej za pośrednictwem tego mikrofonu, a maszyna porównuje je z tymi, które zna w waszym języku...

- Wiem, jak działają urządzenia tłumaczące - przerwał mu Moff. - Inni nasi goście także ich używali, ale my nie korzystamy z nich na Qasamie. Wasza maszyna stosuje wiele tych samych form fleksyjnych, jakie stosował translator tamtych istot.

Kryjąc się za tym stwierdzeniem pytanie było aż nadto oczywiste i Cerenkov musiał w ciągu ułamka sekundy podjąć decyzję, co odpowiedzieć. Uczciwość i szczerść wydały mu się najlepszym wyjściem.

- Jeżeli masz na myśli Troftów z domeny Baliu'ckha'spmi, to masz rację, zakupiliśmy ten translator od nich. To oni powiedzieli nam o waszej planecie, chociaż nie wspomnieli, że wy i my należymy do tej samej rasy. W jaki sposób znaleźliście się w tym miejscu, tak daleko od innych zamieszkałych przez ludzi światów, jeżeli wolno zapytać?

Moff popatrzył przez chwilę na „Dewdrop”, a potem przeniósł wzrok z powrotem na Cerenkova.

- Duży statek, chociaż o wiele mniejszy od tych, o jakich wspominają nasze legendy - stwierdził. - Ilu ludzi może nim podróżować?

Innymi słowy - pomyślał Cerenkov - chcesz wiedzieć, ilu jeszcze pozostaje na pokładzie. Ponownie doszedł do wniosku, że powinien udzielić szczerzej odpowiedzi... szczerzej z uwzględnieniem faktu, że obecności Justina nie wolno mu ujawnić.

- Na pokładzie znajduje się jeszcze siedmiu członków załogi i sześciu przedstawicieli naszej misji dyplomatycznej - powiedział Moffowi. - Z różnych względów przez jakiś czas tam zostaną.

- A co macie zamiar robić w tym czasie wy czterej? Obsesowość tego pytania zbiła nieco Cerenkova z tropu.

Spodziewał się, że zostanie poproszony o odbycie rozmów z przywódcami i dopiero od nich uzyska zgodę na wycieczkę po planecie... ale nie oczekiwał, że będzie zmuszony prosić o to już podczas pierwszego spotkania u burty statku.

- Chcielibyśmy poznać waszych ludzi - powiedział w końcu. - Podzielić się z nimi naszą wiedzą, gdyż może to i im, i nam przynieść korzyść, a może też rozpocząć negocjacje w sprawach handlowych. Mimo wszystko i wy, i my, mamy wspólną przeszłość.

Oczy Moffa swidrowały go na wylot.

- Nasza przeszłość jest pasmem walk z ludźmi i z przyrodą - odezwał się szorstko. - Powiedz mi, gdzie znajduje się Aventura, z której pochodzicie?

- O blisko czterdzieści pięć lat świetlnych od was - odparł Cerenkov, z trudem powstrzymując się przed uniesieniem ręki ku niebu. - Nie jestem pewien, w którą dokładnie stronę ani nawet tego, czy z tej odległości moglibyście zobaczyć nasze słońce.

- Rozumiem. Jakie są wasze związki z władcami Rajan Putry i Dynastii Agra?

Cerenkov poczuł, jak serce zaczyna mu bić nieco szybciej. Słowa te mogły stanowić pewną wskazówkę na temat tego, kiedy Qasamanie odłączyli się od Dominium Ludzi. On sam miał tylko mgliste pojęcie o czasach, w których istniały Dynastie - i zupełnie nie przypominał sobie, która nazywała się Rajan Putra - ale socjologiczna wiedza, jaką dysponował Nnamdi, powinna obejmować także chociaż trochę historii.

Ale nawet i to nie powiedziałoby mu, jakie zdanie na temat dynastii mieli Qasamanie... a jeżeli nie uda mu się znaleźć bezpiecznej, neutralnej odpowiedzi, wszyscy uczestnicy wyprawy będą mogli bez uprzedzenia zostać zaliczeni do kategorii „wrogów”.

- Obawiam się, że nie rozumiem twojego pytania - rzekł Moffowi. - My sami odłączyliśmy się dość dawno od głównego nurtu cywilizacji ludzi, a w tamtych czasach, o ile mi wiadomo, nie było żadnego rządu, który nazywałby siebie Dynastia.

Na czole Moffa pojawiła się drobna zmarszczka.

- Dynastia Agra głosiła wszystkim, że będzie trwała wiecznie - stwierdził.

Cerenkov się nie odezwał, za to Moff po chwili wzruszył ramionami.

- Może analiza waszych danych pozwoli nam się dowiedzieć, co wydarzyło się po naszym odlocie - powiedział. - Tak. Więc chcecie złożyć wizytę na naszej planecie. Ile ona ma trwać?

Tym razem Cerenkov wzruszył ramionami.

- To zależy wyłącznie od was. - Nie zamierzamy nadużywać waszej gościnności. Możemy też skorzystać z naszego zaopatrzenia, jeżeli chcecie.

Wzrok Moffa skierował się na przezroczystą bankę otaczającą głowę Cerenkova.

- Będzie wam trochę trudno jeść cokolwiek z tym urządzeniem na głowie, prawda? - zapytał. - A może macie zamiar powracać na swój statek za każdym razem, kiedy będziecie głodni?

- To nie będzie konieczne - upewnił go Cerenkov, potrząsając głową. - Zanim staniemy się głodni, nasza analiza składu waszej atmosfery powinna zostać ukończona. Nie spodziewam się, żeby w tutejszym powietrzu było coś niebezpiecznego dla nas, ale na wszelki wypadek wolimy być ostrożni.

- Oczywiście - rzekł Moff i spojrzał w prawo i w lewo, jak gdyby oczekiwał protestu ze strony towarzyszących mu Qasaman. Oni jednak się nie odzywali.

- Bardzo dobrze, Cerenkov - powiedział w końcu. - Ty i twoi towarzysze możecie udać się z nami do miasta. Dla własnego bezpieczeństwa musicie jednak wyrazić zgodę na wykonywanie moich poleceń i to bez zadawania jakichkolwiek pytań. Nawet w Sollas musimy się liczyć z pewnymi zagrożeniami, jakie spotyka się na Qasamie.

- Dobrze. Zgadza się - rzekł Cerenkov z nieznacznym tylko wahaniem. - Zdejemy sobie sprawę, jak groźna może być planeta dla odwiedzających ją obcych istot.

- To dobrze. Moim pierwszym życzeniem jest, byście pozostawili swoją broń na statku.

Stojący obok Cerenkova York niespokojnie się poruszył.

- Ale sam dopiero co powiedziałeś, że Qasama może być niebezpieczna - odezwał się Cerenkov, starannie dobierając słowa. Na wpełń świadomie spodziewał się tego zadania, ale nie miał zamiaru poddawać się, nie podejmując choć próby namówienia Moffa do zmiany stanowiska. - Jeżeli się obawiasz, że moglibyśmy użyć naszej broni przeciwko waszym mieszkańcom, to mogę cię zapewnić, że...

- Nasi mieszkańcy nie muszą obawiać się waszej broni - przerwał mu Moff. - To wy bylibyście narażeni na niebezpieczeństwa, gdybyście tego nie zrobili. Mojoki - wskazał na siedzącego mu na ramieniu ptaka - są wyszkolone w taki sposób, że reagują na każde użycie czy nawet tylko wyciągnięcie broni z wyjątkiem polowania i obrony własnej.

Zmarszczywszy brwi, Cerenkov przyjrzał się ptakowi. Stalowszary, podobny do dużego jastrzębia ptak, odwzajemnił jego spojrzenie, zdradzając przy tym niemal nadprzyrodzoną czujność. Jego szpony obejmujące gruby, specjalny naramiennik, były bardzo długie i ostre, a łapy nieproporcjonalnie wielkie. Bez wątpliwości był to ptak drapieżny, nawykły do polowania... a nasłuchawszy się opowiadań wielu sokolników, Cerenkov wiedział, że do takich ptaków powinno się podchodzić z dużym respektem.

- No, dobrze - ustąpił w końcu. - A zatem...

- Wtedy, kiedy wam powiem, i róbcie to pojedynczo - ostrzegł go Moff, zginając palce dłoni i zaczynając gładzić po szyi swojego ptaka. - Ty pierwszy, Cerenkov. Połóż dłoń na kolbie pistoletu,

powiedz „gotów”, a potem go wyciągnij. Tylko powoli.

Lasery zwiadowców znajdowały się w olstrach na biodrach, a spod górnych części skafandrów widac było tylko ich rekojesci. Siegnawszy do swojej, Cerenkov odpiął kciukiem przytrzymujący ją zatrzask bezpieczeństwa.

- Gotów - powiedział i zaczął, aż translator przeloży to słowo na język Qasaman.

Reakcja mojoków była natychmiastowa. Niemal w tej samej chwili wszystkie sześć ptaków wydało pojedynczy chrapliwy skrzek i rozłożyło skrzydła. Dwa sfrunęły nawet z ramion właścicieli i zatoczyły ciasny krąg pół metra nad głową Cerenkova, zanim z powrotem usiadły na swoich miejscach. Stojący z boku York zaklął pod nosem i przykucnął, a Cerenkov tylko przygryzł język i zmusił się do stania nieruchomo.

Zamieszanie wywołane reakcją ptaków dobiegło końca tak szybko, jak się rozpoczęło. Mojoki, chociaż nie złożyły skrzydeł, zamieniły się na ramionach Qasaman w żywe posagi. Poruszając się bardzo powoli, Cerenkov podszedł do otwartego wlotu „Dewdrop” i położył swój laser na podłodze służby. Jak gdyby na rozkaz, wszystkie mojoki wyraźnie się uspokoiły i Cerenkov mógł bez przeszkód dołączyć do pozostałych.

- Marek - odezwał się, pilnując, żeby głos mu nie drżał. - Teraz ty.

- Dobrze - odparł Rynstadt i chrząknął, a potem powiedział: - Gotów.

Tym razem mojoki zareagowały mniej nerwowo, a kiedy przyszła kolej na Yorka i Joshue, były już zupełnie spokojne. Widocznie bardzo szybko się zorientowały, że ich właścicielom nic nie grozi. Było jednak jasne, że nie straciły czujności.

- Dziękuję - odezwał się Moff, kiedy wszystkie cztery lasery znalazły się w służbie.

Uniósł ręce nad głowę, a Cerenkov dostrzegł kątem oka jakiś ruch na skraju wielobarwnego miasta. W ich kierunku nadjeżdżał dość duży pojazd podobny do odkrytego autokaru. Siedzieli w nim dwaj Qasamanie. Na ramionach obu tubylców było widac jakies wybrzuszenia. Cerenkov nie musiał czekać, aż pojazd znajdzie się bliżej, żeby wiedzieć, że okaza się także mojokami.

- Burmistrz Kimmeron już na was czeka - ciągnął tymczasem Moff. - Pojedziemy teraz do jego rezydencji.

- Dziękuję - powiedział Cerenkov. - Będzie nam bardzo miło się z nim spotkać.

Nabrał głęboko powietrza w płuca i odetchnął, starając się nie patrzeć w stronę mojoków.

Jeszcze z czasów swoich studiów Justin wiedział, że w Dominium Ludzi istniały społeczności, które przywiązywały dużą wagę do artystycznego ozdabiania swoich domów. Jego pierwszą myślą było to, że Qasamanie wywodzą się z jednej z takich społeczności, ale kiedy cała grupa zwiadowcza wieszono niespiesznie ulicami miasta, stopniowo zaczynał w to wątpić. Nie widział nigdzie malowideł ściennych ani też jakichkolwiek rysunków ludzi ani zwierząt, czy to realistycznych, czy stylizowanych. Różnobarwne plamy widniały na ścianach domów w mniej lub bardziej przypadkowych miejscach, chociaż ich rozmieszczenie w najmniejszym stopniu nie raziło jego artystycznego smaku. Zastanawiał się, czy Nnamdi zdoła w tym odnaleźć coś znaczącego.

Tymczasem Cerenkov chrzaknal, dając tym samym dowód, że umysł przywódcy grupy zwiadowczej zaprzatają inne sprawy niż zmysł artystyczny Qasaman.

- Wygląda na to, że wielu mieszkańców waszej planety chodzi z mojokami - zauważył. - Z mojokami i z bronią. Czy warunki życia w Sollas są aż tak niebezpieczne?

- Nie używamy broni często, ale kiedy to robimy, chodzi zawsze o sprawę naszego przetrwania - odpowiedział Moff.

- Wydaje mi się, że mojoki powinny stanowić dostateczną obronę - wtracił się York.

- Przed niektórymi zagrożeniami, tak, ale nie przed wszystkimi. Może podczas swojego pobytu w Sollas będziecie mieli okazję zobaczyć stado bololinów albo nawet polującego w obrębie miasta krisjawa.

- No cóż, jeżeli do tego dojdzie, proszę pamiętać o tym, że nie pozbawiliście nas broni - przypomniał mu Cerenkov. - Chyba że macie zamiar zaopatrzyć nas w swoją broń i mojoki trochę później.

Z tonu jego głosu można było się zorientować, że nie jest specjalnie zachwycony tą perspektywą, ale Moff postarał się rozwiąć jego obawy.

- Nie sądzę, żeby burmistrz pozwolił wam jako obcym na noszenie broni - powiedział. - A mojoki czują się w waszej obecności tak nieswojo, że z pewnością nie byłyby dobrą ochroną.

- Hmm - mruknął tylko Cerenkov.

Pozostający na statku Justin przeniósł wzrok z budynków na chodzących po ulicach ludzi. Upewnił się, iż wszyscy mieli na ramionach mojoki. Zobaczył, że zerwał się lekki wiatr, rozwiewając włosy ludzi, straszac pióra ptaków, i cicho szwizczać w jego uszach. To dziwne - pomyślał - móc słyszeć wiatr, ale go nie odczuwać.

Gdzieś w głębi duszy jeszcze dziwniejszym wydał mu się fakt, że może jest pierwszym w historii ludzkości człowiekiem niemal dosłownie wcielającym się w skórę własnego brata.

Gdzieś zza pleców dobiegł go nagle inny głos.

- Czy to ma być tylko wymówka? - zapytał Pyre.

- Nie sądzę - odpowiedział mu głos Telek. - Mojoki znajdujące się najbliżej nich wyglądają naprawdę na bardziej zaniepokojone od tych, które są nieco dalej. Moim zdaniem dlatego, że nasz zapach jest trochę inny od woni Qasaman.

- Zmiany genetyczne? - zapytał Pyre.

- Chyba nie. Bardziej prawdopodobne wydają mi się różnice dietetyczne. Masz coś, Hersh?

- Myślę, że udało mi się znaleźć okres, w jakim się odłączyli - rzekł Nnamdi. - Dynastia Agra była rządem sprawującym władzę na Regininie, który przybył tam z Ziemi, ze Środkowej Azji. Jego władza trwała od dwa tysiące dziewięćdziesiątego siódmego roku do dwa tysiące sto osiemdziesiątego, a później planeta przeszła formalnie pod zwierzchnictwo Dominium Ludzi.

- A co z tymi, jak im tam, władcami Rajan Putry? - zapytała Telek.

- W tej sprawie będziemy musieli przetrzasnąć nasze kompletne archiwa historyczne na Aventynie. Wiem jednak, że kiedy Reginine ogłoszono planeta otwarta, na którą mogli masowo przybywać inni ludzie, grupa jej dotychczasowych mieszkańców przeniosła się gdzie indziej. Może niektórzy z tych emigrantów znaleźli sobie własny świat i nazwali go Rajput.

- Hmm. Coś w rodzaju etnicznych separatystów?

- Pojęcia nie mam. Myślę jednak, że Qasamanie mogli przybyć tu albo jednym ze statków tamtej grupy, albo jako jeszcze inni emigranci. W każdym razie polecili o wiele dalej, niż zamierzali.

- O wiele dalej, to zbyt łagodnie powiedziane - parsknęła Telek. - Co robili Troftowie w tym czasie, kiedy tamci przelatywali przez systemy gwiazdne ich Zgromadzenia?

- Prawdopodobnie w ogóle nic o nich nie wiedzieli - odezwał się Christopher. - Naprawdę. Napędy gwiazdne wczesnych statków Dominium były urządzeniami niesamowicie niestabilnymi. Kiedy więc przekraczano prędkość krytyczną, osiągnęto od razu prędkości dziesięciokrotnie większe od tych, z jakimi my latamy dzisiaj.

- To właśnie powinno im bardzo pomóc - stwierdził Pyre.

- Tylko wtedy, gdyby nie chcieli się zatrzymywać - odparł nieco oschle Christopher. - Wychodzenie z nadprzestrzeni w tych warunkach zniszczyłoby im nie tylko cały napęd, ale i większość pokładowej aparatury elektronicznej. Wiadomo o tuzinach liniowców... liniowców z kolonistami, a nie sond czy statków patrolowych, które są wymienione w wykazach jako zaginione. Wygląda mi na to, że Qasamanie musieli mieć jednak wielkie szczęście.

- A może właśnie go nie mieli, zostali porwani przez innych i sprowadzeni tutaj siłą - wtracił się Nnamdi. - Pamiętajcie, że tej możliwości jeszcze całkiem nie wykluczaliśmy.

- Będziemy o tym pamiętać, jeżeli trafimy na jakiś ślad innej rasy - zapewniła go Telek. - Jednak nie wyobrażam sobie, żeby jakkolwiek rasa pozwoliła swoim niewolnikom na noszenie broni.

Dzięki bezpośredniemu sprzężeniu implantowanych czujników optycznych Joshuy z jego własnymi Justin ujrzał, że pojazd wiozący grupę zwiadowczą skręcił w jedną z tych szerokich ulic, jakie oglądali z orbity, więc czekał, kiedy Cerenkov zechce o nią zapytać. Przywódca grupy jednak postanowił nie wypytywać Qasaman o nic więcej, a przynajmniej nie w tej chwili. Justin doszedł do wniosku, że bardzo mu to odpowiada, gdyż przerwa w rozmowie pozwalała mu i przyglądać się ulicom miasta, i przysłuchiwać rozmowom w świetlicy.

- Czy program translacyjny zawiera jakieś sugestie na temat tego, czym mogą być bololiny albo krisjawy? - zapytał Pyre.

Justin prawie widział, jak gubernator Telek wzrusza ramionami.

- Okazami miejscowej fauny, jak sadze - powiedziała. - I to zapewne nie najprzyjemniejszymi... ta broń, która noszą przy sobie, nie wygląda na pistolety treningowe.

- Zgadza się. Dlaczego więc nie postawia wokół całego miasta muru, takiego, jakim otoczyli swoje wioski?

Przez chwile w swietlicy panowala cisza.

- Nie wiem - odezwala sie w koncu Telek. - Hersh?

- Moze mury wokól wioski nie maja uniemozliwic zwierzetom dostania sie do nich - odparl, ale z tonu jego glosu wynikało, ze sam nie bardzo w to wierzy. - Mozliwe, ze kazde z tych stworzen skacze lub lata zbyt wysoko, by tak niskie mury mogly je powstrzymac.

- To dlaczego wioski sa nimi otoczone? - domagal sie odpowiedzi Pyre.

- Pojecia nie mam - odcial sie Nnamdi.

- No juz, dajcie spokój - wtracila sie Telek. - Wszystkiego powinien sie dowiedziec Yuri, wiec nie przejmujcie sie i zostawcie to jemu. Zgoda?

Nastapila kolejna krótka cisza, w trakcie której znajdujacy sie w Sollas Joshua obrócił glowe, zeby przyrzec sie wyjatkowo atrakcyjnej kobiecie. Justin musial takze przyznac, ze byla bardzo piekna, ale sie zastanawial, czy uwage jego brata zwrócila jedynie jej uroda, czy tez fakt, ze jej mojok siedzial na prawym ramieniu, zamiast na lewym. Staral sie dojrzec, czy jej bron znajduje sie takze po przeciwnej stronie, niz u innych, ale zanim zdazyl to zrobic, Joshua odwrócił glowe w kierunku jazdy. Leworeczna? - zadal sobie pytanie Justin, postanawiajac w przyszłosci zwracac na to wieksza uwage.

Ze statku uslyszal glos Christophera.

- Hersh, czy dokonales juz tych szacunkowych obliczen, ile osób moze zyc na Qasamie? Zakladajac, rzecz jasna, ze wszyscy sa ludzmi i przyjmujac ogólnie znane wymagania odnosnie przestrzeni zyciowej, jaka musza miec ludzie?

- Och, mysle, ze liczba mieszkanców planety moze wynosic od piecdziesieciu do trzystu milionów osób - odrzekl Nnamdi. - To oznacza, ze w ciagu ostatnich trzech stuleci musieli sie mnozyc jak króliki, ale nie widze w tym nic dziwnego, jezeli to jeden z tych mlodych swiatów. Dlaczego pytasz?

- Czy mozliwe, ze przy tej liczbie ludnosci nie maja klopotów z odróżnianiem jednych od drugich, jezeli uzywaja tylko imion?

- Jak Moff, na przyklad? Masz racje. Zwlaszcza, ze ich przodkowie byli ludzmi poslugujacymi sie imionami i nazwiskami.

- Innymi slowy Moff nie powiedzial nam swojego nazwiska - stwierdzil Christopher. - A to znaczy, ze mojoki nie sa jedynymi istotami zachowujacymi sie wobec nas nieufnie.

- Ta-a - odezwal sie z gorycza Nnamdi. - No cóz... podejrzwosc wobec obcych nalezy do dziedzictwa niejednej spolecnosci ludzkiej.

- A moze to Troftowie, którzy tu byli przed nami, wprowadzili calkiem nowe zwyczaje - burknela Telek. - Duzo bym dala, zeby miec jakies nagranie z ich odwiedzin. Tak czy inaczej, sadze, ze powinniśmy przypomniec naszej grupie zwiadowczej, by zachowywala duza czujnosć.

Rozlegl sie cichy trzask, po którym Justin uslyszal glos pani gubernator przekazujacy zwiadowcom krótkie ostrzezenie za pomoca tego samego kanalu, na którym pracowal ich translator - a jej slowa odbily sie u niego slabym echem przekazanym mu przez sluchawki Joshuy i implantowane w jego

kosciach czujniki akustyczne. W tym czasie pojazd jechał coraz wolniej, a Justin przyglądał się obrazom mijanych przez zwiadowców domów, starając się odgadnąć, który mieści biuro burmistrza. Na szczęście rozmowy w świetlicy umilkły, kiedy naukowcy zajęli się oglądaniem tych samych widoków na normalnych ekranach, tak więc nie groziło mu, że coś przegapi, kiedy skupił całą uwagę na sygnałach z czujników implantowanych jego bratu. Wiele szczegółów technicznych tej implantacji pozostawiało dla niego wciąż niejasne, ale musiał przyznać, że specjaliści z Aventiny spisali się bardzo dobrze. Jeżeli okaże się konieczne zastąpienie Joshuy, będzie świadom tego wszystkiego, czego doznał i co przeżył jego brat podczas pobytu na Qasamie... a dysponowanie kompletem takich przeżyć mogło decydować o jego życiu albo śmierci.

Pojazd z grupą zwiadowczą stanął nagle przy krawężniku. Walcząc z chęcią zareagowania wszystkimi mięśniami na zatrzymanie się wozu, Justin leżał cicho na tapczanie, kiedy Joshua wysiadał na chodnik i szedł w ślad za Cerenkovem i innymi po kilku stopniach wiodących do jakiegoś domu.

Decker York był komandosem przez dwadzieścia lat, zanim przed osiemnastoma laty opuścił Dominium i poleciał na Aventine. W czasie służby dla Dominium przebywał na osmiu światach i widywał dziesiątki urzędników, począwszy od doradcy syndyka osady do samego przewodniczącego Najwyższego Komitetu Dominium Ludzi. Mogąc poznać powagę i zasięg władzy tych wszystkich dygnitarzy, wyrobił sobie poglądy, jak powinien wyglądać wyższy urzędnik i jakie wrażenie może sprawiać jego najbliższe otoczenie.

Wiedząc o tym, przeżył prawdziwy wstrząs, kiedy ujrzał burmistrza Sollasa, Kimmerona.

Należy zacząć od tego, że pokój, do którego zaprowadził ich Moff, w najmniejszym stopniu nie wyglądał na biuro. Na długo przedtem, zanim dwaj odziani w liberie i stojący po obu stronach masywnych wrót mężczyźni pociągnęli za uchwyty obu skrzydeł i je rozsunęli, dobiegały z niego dźwięki muzyki. Kiedy cała grupa wchodziła do środka, won wiszącego w powietrzu dymu ujawniła im, że w pokoju palono albo jakieś kadzidła, albo narkotyki. York zmarszczył nos, kiedy o tym pomyślał, ale na szczęście filtr jego helmu pochłaniał większą część tego dymu. Pomieszczenie, w którym się znaleźli, było oświetlone dość skąpo czerwonym i pomarańczowym światłem. Pokój był dość duży, ale zwisające w wielu miejscach zasłony sprawiały wrażenie, że znaleźli się w eleganckim, komfortowym labiryncie. Moff musiał skrećić dwa razy, zanim wraz z całą grupą zwiadowczą znalazł się w jego centralnej części...

I zanim oczom zdumionych ludzi ukazała się scena z ich własnej, chociaż bardzo odległej przeszłości. Na wysycelanym, miękkim tronie spoczywał mężczyzna, który chociaż nie był otyły, wyglądał tak, jak gdyby przez dłuższy czas unikał ciężkiej pracy. Przed nim ujrzeli grupę tancerzy w egzotycznych strojach, a za tronem stojących półkolem muzykantów - żywych muzykantów, a nie automaty. Na poduszkach rozmieszczonych w różnych miejscach na podłodze siedzieli mężczyźni i kobiety, zajęci na przemian do spoglądania na tancerzy, to na rzeczy, jakie znajdowały się na stojących przed nimi niskich stolach przeznaczonych najwyraźniej do pracy. Moff powiódł ich w stronę tronu, a York, mijając jeden z tych stolów, niby od niechcenia popatrzył na niego, zwracając szczególną uwagę na stojący między papierami przenośny komputer albo tylko terminal. Qasamscy technicy widocznie umieją jednak robić coś więcej niż pojazdy i pistolety.

Prawie wszyscy obecni w pokoju trzymali na ramionach mojoki. Nie mieli ich tylko tancerze.

Moff zatrzymał się o kilka kroków po jednej stronie tronu - a jeżeli siedzący na tronie mężczyzna zdziwił się na widok eskortowanej przez niego grupy, po jego twarzy nie można było tego poznać. Powiedział coś radośnie i tak głośno, żeby można go było usłyszeć mimo dźwięków muzyki.

- Ach... witamy - usłyszał York w słuchawkach głos z translatora. Jakis rosły Qasamanin uniósł w

następnej chwili reke, nakazując muzykantom i tancerzom cisze. - Nazywam się Kimmeron i jestem burmistrzem miasta Sollas. Witam was wszystkich na Qasamie.

Moff wskazał im kilka poduszek - dokładnie cztery, jak zauważył York - ułożonych na podłodze w jednym rzędzie przed burmistrzem. Cerenkov kiwnął głową i usiadł, a inni po chwili poszli w jego ślady. Moff i pozostali eskortujący ich Qasamianie jednak nadal stali.

- No, tak - odezwał się ponownie Kimmeron, pocierając o siebie dłonie obu rąk w dziwnym geście.
- Więc nazywacie się Cerenkov, Rynstadt, York i Moreau. To dobrze. Czego zatem tak naprawdę, pamiętajcie: naprawdę, od nas chcecie?

Cerenkov zawahał się przez chwilę, zanim zdecydował się na odpowiedź.

- Wygląda na to, że wiecie o nas bardzo dużo - rzekł w końcu. - Z pewnością zatem wiecie również, że przybyliśmy tu w celu nawiązania przyjaznych stosunków z braćmi, o których nawet nie wiedzieliśmy, że istnieją, i żeby zrobić wszystko, co w naszej mocy, by takie stosunki przyniosły nam wszystkim korzyść.

Na twarzy Kimmerona pojawił się chytry uśmiech, jeszcze zanim tłumacz skończył tłumaczyć słowa Cerenkova na język Qasaman.

- Tak, właśnie taki powód przedtem podałeś - powiedział. - Ale dlaczego wy, którzy nadal umiecie latać do gwiazd, sadzicie, że moglibyśmy mieć dla was coś wartego zachodu?

Ostrożnie, chłopie - pomyślał York pod adresem Cerenkova. - Prymitywni wcale nie muszą znaczyć naiwni. Ukradkiem popatrzył na Moffa i resztę eskorty, bardzo pragnąc znać qasamanski język gestów i ruchów ciała.

Cerenkov zdążył jednak już do siebie i jego odpowiedź była majstersztykiem pseudoszczeroci.

- Jak każdy, kto po raz pierwszy postawił stopę na nowym świecie, wasza ekscelencja musi wiedzieć, że każda planeta ma specyficzne rośliny i zwierzęta, a także, choć w mniejszym stopniu, bogactwa naturalne. Już same wasze środki farmakologiczne i żywność z pewnością bardzo się różnią od naszych.
- Wskazał ręką w stronę tancerzy i muzykantów. - A dla każdego, kto ceni sztukę i piękno w takim stopniu co pan, istnieją może nie tak oczywiste, ale niemniej obiecujące korzyści płynące z dwustronnej wymiany kulturalnej.

Kimmeron kiwnął głową, ale nie przestał chytrze się uśmiechać.

- Jasne, jasne - powiedział. - Ale jak byście postąpili, wiedząc, że przybyliśmy na Qasamie po to, żeby właśnie uniknąć takich kontaktów kulturalnych? Co byście wówczas zrobili?

- Wówczas, panie burmistrzu - odezwał się cicho Cerenkov - przepraszamy pana za naszą natarczość i poprosilibyśmy o zezwolenie na odlot.

Kimmeron popatrzył na nich w zamysleniu i na kilka chwil w pokoju zapadła głęboka cisza. York ponownie spojrzał na Moffa, bardzo pragnąc objąć palcami rekojęsc broni, której nie miał... aż w końcu Kimmeron poruszył się na tronie i przerwał te dzwoniące w uszach cisze.

- No tak - powiedział, machnąwszy niedbale ręką. - Na szczęście nie jesteśmy tu, na Qasamie, aż tacy negocjownicy. Nie jesteśmy, chociaż niektórzy z nas bardzo tego żalują.

W odpowiedzi na jego ruch na srodek pokoju wyszła grupa pieciu, kryjących się przedtem pod ścianami mezczyzn, którzy staneli za plecami zwiadowców. Po chwili także Moff przyłączył się do nich.

- Moff, proszę teraz odprowadzić naszych gości do ich kwatery, jeśli łaska - zwrócił się do niego Kimmeron. - Proszę dopilnować, by zatroszczono się o zaspokojenie wszystkich ich potrzeb, a jutro proszę zorganizować im wycieczkę po okolicy. Jeżeli nie ma pan nic przeciwko temu - dodał, kierując te słowa do Cerenkova - jeszcze dzisiaj wieczorem chcielibyśmy dokładnie was zbadać. Chodzi mi o bezpieczeństwo i panów, i naszych mieszkańców.

- Nie mam nic przeciwko temu - odparł Cerenkov. - Jeżeli jednak pan się tym martwi, mogę pana zapewnić, że z naszego zdobytego na Awentynie doświadczenia wynika, iż większość drobnoustrojów z jednej planety na ogół nie zagraża innym stworzeniom żyjącym na drugiej.

- Z naszego doświadczenia wypływają mniej więcej takie same wnioski - odrzekł Kimmeron, kiwnąwszy głową. - Niemniej nie zaszkodzi być przezornym. A więc do zobaczenia jutro, panowie.

Cerenkov wstał, a po chwili York i pozostali poszli w jego ślady.

- Z góry cieszymy się na możliwość spotkania się z panem jutro - powiedział Cerenkov, lekko schylając głowę w stronę burmistrza.

Odwróciwszy się, on i reszta grupy zwiadowczej ruszyli za Moffem, który wyprowadził ich z pokoju.

A teraz prosto do szpitala - pomyślał York, kiedy ponownie wyszli na skąpaną w słonecznym blasku ulicę i skierowali się do swojego pojazdu. Badania medyczne, prawdę mówiąc, nie bardzo go martwiły, ale założyłby się o wszystko, że oprócz przeprowadzających te analizy lekarzy będą przy nich obecni sąsiedzcy przedstawiciele wojskowych służb specjalnych. A jeśli przypadkiem odkryją, w jaki sposób funkcjonuje jego wyposażony w kalkulator zegarek, jego wieczne pióro i pierścionek z szafirem, który nosił na palcu... i czym się mogą stać, jeżeli złożyć je razem...

Cerenkov i Rynstadt wsiedli do pojazdu i przyszła kolej na niego, by to zrobić. Starając się nie okazywać swoich uczuć, wsiadł także i powiedział sobie, że nie ma się o co martwić. Podręczny pomocnik komandosa został przecież zaprojektowany w ten sposób, żeby nie można go było wykryć.

Mimo to trochę się jednak martwił, kiedy zatłoczony pojazd ruszył i zaczął jechać ulicami, mijając budynki pomalowane w różnobarwne plamy. Ale przecież martwienie się o to, co będzie, kiedy sprawy potoczą się w nieprzewidywany sposób, stanowiło zawsze jedno z zadań dobrego komandosa.

W pokoju, który przydzielono Joshui i Rynstadtowi, było od pół godziny mroczno i cicho. Wtedy dopiero Justin odłączył się wreszcie od końcówki centralnego systemu sprzeżenia sensorycznego statku i z zeszywniałymi od bezruchu mięśniami usiadł na swoim tapczanie. W świetlicy „Dewdrop” panowała także cisza, a jedyną przebywającą w niej w tej chwili osobą był drzemiacz Pyre. Justin przeszedł obok niego na palcach, starając się go nie obudzić, i skierował się w stronę wyjścia.

- Jeżeli jesteś głodny, w kacie, obok końcówki systemu zaopatrzenia w żywność znajdziesz tacę z jedzeniem - usłyszał nagle za plecami.

Zatrzymał się i odwrócił, żeby spojrzeć, jak Pyre, ziewnąwszy, prostuje się na krześle i przeciąga.

- Przepraszam, nie chciałem cię obudzić - powiedział i skierował się ku tacy, o której tamten wspominał.

- Nic nie szkodzi. I tak, prawdę mówiąc, nie pełnię teraz służby... chciałem tylko zaczekać, aż się odłączysz, żeby zapytać, jak się czujesz.

- Ja? Świetnie - odparł Justin. Usiadłszy obok Pyre'a, postawił sobie tacę na kolanach, a potem zaczął łapczywie jeść. - No więc... co o tym wszystkim sądzisz?

- Do diabła, skąd miałbym to wiedzieć - westchnął Pyre. - Nie wiem nawet, czy wszystko, co mówią albo robią, nie ma na celu zamydlenia nam oczu. Weźmy na przykład tego burmistrza. Czy rzeczywiście jest takim prymitywnym despota, czy może tylko takiego udaje, żeby nas wywieść

w pole? A może naprawdę w ten sposób załatwia się tutaj wszystkie ważne sprawy?

- Och, daj spokój - burknął Justin z ustami pełnymi smażonego balis. - Kto mógłby skupić uwagę w takim harmiderze?

- Uznajesz to za harmider, bo nie jesteś do tego przyzwyczajony - odparł Pyre. - Ta muzyka może wywierać kojący wpływ na ludzki umysł i ułatwiać logiczne myślenie.

Justin odtworzył w myślach widzianą wcześniej scenę. Zdecydował, że to było prawdopodobne - w końcu przecież pochyleni nad tamtymi biurkami ludzie naprawdę coś robili. A co z tymi operami?

- Muzyka uzupełniana niewielką dawką kojących narkotyków? - zapytał.

- To możliwe. Bardzo chciałbym pobrać próbkę tamtego powietrza do pobieżnej chociażby analizy - powiedział, ale po chwili westchnął. - I tak zresztą nie na wiele mogłoby mi to się przydać.

Justin skrzywił się. Wiedział, że członkom grupy zwiadowczej w trakcie szpitalnych badań stanowczo, chociaż uprzejmie odebrano dosłownie wszystkie analizatory i urządzenia rejestrujące obrazy. Po protestach Cerenkova uzyskano jedynie zapewnienie zwrócenia im całego sprzętu przed odlotem.

- Byłem wówczas sprzezony z czujnikami Joshuy, ale miałem wrażenie, że pani gubernator jest zła jak wszyscy diabli - powiedział.

- Jak wszyscy diabli, to łagodnie powiedziane. O mało nie dostała szalu - odrzekł Pyre, krecąc powoli głową. - Sądzę jednak, że chyba miała rację, mówiąc, iż to wszystko wygląda z każdą chwilą coraz gorzej. Yuri i jego ludzie nie mogą nam powiedzieć o niczym, co chcą zataić przed nimi Qasamanie, dopóki nie mają przy sobie swoich urządzeń. Moff kieruje nimi niczym ujeżdżonymi porongami, my zaś także nie możemy nic zrobić, dopóki wszyscy widzą nas jak na dłoni.

Justin popatrzył na niego podejrzliwie.

- Czy masz zamiar dojść do wniosku, że ktoś z nas powinien spróbować wymknąć się o północy i zrobić sobie jedno- lub dwudniowy spacer?

- Nie wiem, w jaki inny sposób moglibyśmy dowiedzieć się, na czym może polegać prawdziwe niebezpieczeństwo z ich strony - odrzekł Pyre, wzruszając ramionami.

- A jeśli nas na tym złapają?

- To będzie kłopot. Właśnie z tego powodu dowódca całej operacji powinien zostać ktoś, kto wie, co ma robić.

- Innymi słowy, którzy z Kobra albo Decker. Ponieważ z pewnością nas obserwują, a Decker jest nie tylko pilnowany, ale i bezbronny, niezłapanie nas na czymś takim zaczyna wyglądać na niemożliwe.

Pyre ponownie wzruszył ramionami.

- W tej chwili tak, jestem skłonny się zgodzić. Może jednak już wkrótce coś się zmieni. - Obdarzył Justina przeciągłym spojrzeniem. - A w takim razie... miałeś właściwie o tym nie wiedzieć, ale Decker nie jest bezbronny. Ma przy sobie składany, chowany w dłoni miotacz strzałek, zwany podrecznym pomocnikiem komandosów.

- Ma... co takiego? Almo, przecież powiedzieli, że nie wolno nam zabierać żadnej broni. Jeżeli go z tym przyłapiesz...

- Będzie miał poważne kłopoty - dokończył za niego Pyre. - Wiem o tym. Ale Decker nie chciał, by ludzie z jego grupy byli całkowicie bezbronni, a miotacz uszedł uwadze przeszukujących ich Qasaman.

- O ile ci wiadomo.

- Wciąż jeszcze go nie znaleźli. Justin westchnął.

- No, świetnie - powiedział z przekasem. - Mam tylko nadzieję, że w wojsku nauczyli go też cierpliwości, a nie tylko celności.

- Z pewnością go nauczyli - burknął Pyre i opierając się o blat stołu, wstał z lekkocią, która zawdzięczał tylko swoim implantowanym serwo-mechanizmom. - Mam zamiar przekimac się teraz parę godzin, a ty, jeżeli masz olej w głowie, zrobisz to samo po skończeniu ćwiczeń.

- Ta-a - ziewnąwszy, odparł Justin. - Zanim jednak to zrobisz, powiedz mi, czy Telek nie mówiła, kiedy zamierza wezwac Joshue do powrotu i kazac mi zajac jego miejsce?

Pyre zatrzymał się w pół drogi do drzwi, a kiedy się obejrzał, na jego twarzy było widać prawdziwy smutek.

- Prawde mówiac... nie zamierza niczego zmieniać i chce pozwolić Joshui tam zostać, przynajmniej na razie.

- Co takiego? - wykrzyknął Justin, wpatrując się w twarz Pyre'a. - O czymś takim nie było przecież nigdy mowy!

- Wiem o tym - przyznał Pyre, bezradnie wzruszając ramionami. - Mówiłem jej o tym, i to dość dobitnie. W tej chwili sytuacja grupy wygląda jednak na stabilną, a poza tym...

- Poza tym tak bardzo polubiła wizyjne sygnały Joshuy, że nie bardzo może się z nimi rozstać. Mam rację?

Pyre westchnął.

- Nie możesz mieć o to do niej żalu. Słyszałem, że bardzo chciała, żeby implantowano takie czujniki wszystkim członkom grupy, ale musiała zrezygnować z uwagi na zbyt wysokie koszty. Te miniaturowe zmiennościoczułościowe cacka, jak wiesz, są strasznie drogie. A teraz, kiedy całej grupie zabrano

wszystkie inne urządzenia, pozostały nam tylko czujniki Joshuy. To dzięki nim możemy widzieć, co się dzieje. - Uniósł dłoń w geście pojednania. - Posłuchaj, wiem dobrze, co teraz czujesz, ale postaraj się o niego nie martwić. Qasamanie przecież nie napadną teraz na nich bez istotnego powodu.

- Możliwe, że masz rację - rzekł Justin. Zamyslił się na chwilę, ale nie przychodziło mu do głowy nic więcej, co mógłby powiedzieć. - No cóż... w takim razie dobranoc.

- „...branoc”.

Pyre wyszedł, a Justin rozprostował na próbie mięśnie. Trzynastie godzin leżenia bez ruchu na tapczanie sprawiło, że naprawdę zdrewniały, ale zanim miał czas poczuć w nich jakieś klucie, przypomniał sobie ostatnie słowa Pyre'a. „Bez istotnego powodu...” Co mogłoby być takim powodem dla Qasaman? Wrogie zachowanie albo jakaś obraźliwa uwaga Cerenkova? Odkrycie, że domniemane połączenie foniczne ze statkiem zawiera zmienność częstotliwościowy kanał przekazujący także widoki, które tak bardzo starali się przed nimi ukryć? Nagłe użycie przez Yorka jego nielegalnej broni?

A może nawet potencjalny wypadek, na dokonanie którego Pyre widocznie już się zdecydował?

Wpatrzony w ciemny ekran, Justin oddał się ćwiczeniom z nieco większym zapalem, niż początkowo planował.

Rozdział dziewiąty

Ponieważ nie musieli tak szybko schodzić na ląd, a statek, na którym czekali, był dość przestronny i wygodny, pasażerowie „Menssany” nie myśleli o filtrach powietrza i hełmach, ale po prostu zaczęli na pokładzie, dopóki analizatory atmosfery nie upewniły ich, że powietrze na Chacie nie stanowi dla ludzi żadnej groźby.

Wielowiekowa tradycja przyznawała Jonny'emu, jako najwyższemu rangą dostojnikowi na pokładzie, zaszczyt bycia pierwszym człowiekiem, który postawi stopę na nowym świecie, ale Jonny już dawno temu przywykł przedkładać rozsądność nad zaszczyty. Honor ten przypadł więc w udziale jednemu z sześciu Kobr, który zszedł na ląd, by rozstawić wokół statku generatory pola silowego najeżone czujnikami. W tym czasie pasażerowie „Menssany” cierpliwie czekali, ale kiedy upłynęła godzina, a zwiadowca nie dostrzegł w pobliskim lesie żadnych drapieżników ani niczego podejrzanego w obrębie perymetru, dowódca grupy Kobr, Rey Banyon, uznał, że najbliższe sąsiedztwo nie stanowi zagrożenia także dla osób cywilnych.

Jonny i Chrys opuścili służbę statku na końcu grupy naukowców. Dla Jonny'ego był to powrót do czasów odległej przeszłości. Prawde mówiąc, Chata w niczym nie przypominała Aventyny, co można było stwierdzić już po pierwszych,

bardzo pobieżnych oględzinach jej krajobrazu i istniejących na niej form życia. Jednak już sam ten fakt

w porównaniu z dobrze znanymi mu warunkami życia na Aventynie, sprawiał, że i teraz, i przedtem, czuł się mniej więcej tak samo. Nowy, dziewiczy świat, nie tknięty przez człowieka...

- Zebrało ci się na wspomnienia? - odezwała się cicho stojąca u jego boku Chrys.

Jonny głęboko westchnął, ciesząc się prawie pikantnym aromatem dolatującym do nich wraz ze słabym wiatrem.

- Tak samo jak na Aventynie, kiedy przyleciałem tam po raz pierwszy - odparł, lekko krećc głową. - Byłem wówczas dwudziestopięcioletnim dzieciakiem, niemal przytłoczonym przez ogrom tego wszystkiego, na co się porywalismy. Myślałem, że dawno zapomniałem, jak się wtedy czułem... nie zdawałem sobie sprawy z tego, ile w ciągu ostatnich czterdziestu lat osiągnęliśmy.

- Tym razem będzie nam trochę trudniej - rzekła Chrys. Przykleknawszy na jedno kolano, delikatnie przesunęła palcami dłoni po miękkiej gestwinie splecionych, podobnych do winorośli pedów, pełniących tu widocznie funkcję trawy. - Chata może i znajduje się zaledwie o trzydziści lat świetlnych od Aventyny, ale my przecież nie mamy takich środków transportu, jakie ma Dominium. Nie widzę wielkiego sensu, by marnować nasze siły i środki tutaj, kiedy tak wiele rejonów Aventyny i Palatiny wciąż jeszcze pozostaje nie zamieszkałych. Zwłaszcza że...

- ...zwłaszcza że cała ta grupa planet jest odległa zaledwie o dziesięć czy piętnaście lat świetlnych od Qasamy? - dokończył za nią Jonny.

Chrys podniosła się, lekko westchnęła, a potem strzepnęła z palców kawałki zielonych roślin, które do nich przywarły.

- Słyszałam wszystkie te argumenty na temat stref bezpieczeństwa i groźby toczenia wojny na dwa fronty - powiedziała - ale to nie znaczy, że musi mi się to podobać.

Wiem tylko, że jedynym powodem, dla którego uważamy Qasamę za zagrożenie, jest fakt, że powiedzieli nam to Troftowie.

Jonny chciał odpowiedzieć, ale zanim zdążył, usłyszał dźwięk brzęczyka telefonu.

- Moreau - odezwał się, zbliżywszy do ust urządzenie.

- Tu Banyon, panie gubernatorze - usłyszał głos dowódcy Kobr. - Mamy obraz z satelity i chcielibyśmy prosić, żeby rzucił pan na niego okiem.

Obecność stojącej u jego boku i milczącej Chrys przypominała mu, że obiecał jej być w tej podróży tylko pasażerem.

- Czy pan i Shepherd nie możecie dać sobie z tym rady bez mnie? - zapytał.

- No cóż... sądzę, że moglibyśmy. Myślałem tylko, że dobrze byłoby znać pana zdanie na ten temat.

- O ile to nie jest coś pilnego... - odezwał się Jonny, ale przerwał, kiedy stwierdził, że Chrys zaczyna machać mu dłonią przed oczami.

- Co ty robisz? - zapytała go scenicznym szeptem. - Chodźmy tam i zobaczymy, o co chodzi.

„Gdybym żył tysiąc lat” - przebiegły mu przez głowę słowa popularnej piosenki.

- Zreszta, dobrze - powiedział Banyonowi. - Za chwile tam bede.

Znaleźli Banyona i Shepherdę na mostku „Menssany”. Obaj wpatrywali się z napięciem w monitory.

- To nie jest coś, co rzuciło się nam w oczy od razu - zaczął Banyon bez jakiegokolwiek wstępu, wskazując im ciemną plamę na największym ekranie. - Okazało się jednak, że to coś się porusza...

Jonny podszedł do ekranu i zaczął się przypatrywać uważnie. Zobaczył, że ciemna plama składa się z setek, a może i tysięcy pojedynczych punktów.

- Powiększenie nastawione na maksimum? - zapytał.

W odpowiedzi Shepherd kiwnął głową.

- Turbulencje atmosferyczne zniekształcają w tej chwili obraz, toteż możliwości komputera są drastycznie ograniczone - odparł.

- Powiedziałbym, że to stado jakichś zwierząt - odezwał się po chwili Jonny. - Domyslam się, że podążają w naszą stronę?

- Na razie trudno powiedzieć - rzekł Shepherd. - Dzieli je od nas mniej więcej sto kilometrów, ale wygląda na to, że skrzydło stada może nas nie ominąć.

Naciśnął jakiś klawisz i na innym ekranie zamiast obrazu widzianego w podczerwieni pojawił się rysunek, na którym ekstrapolacje różnych obszarów oznaczono odmiennymi kolorami. I rzeczywiście, ramię czerwonego trójkąta oznaczającego dziewięćdziesięcioprocentowe prawdopodobieństwo, że skraj stada zwierząt ich zahaczy, przebiegało przez punkt, który na rysunku oznaczał miejsce lądowania „Menssany”. Wyświetlane na skraju ekranu liczby wskazywały odległość stada od statku - sto sześć kilometrów - i prędkość stada wynosząca trochę powyżej osmiu kilometrów na godzinę.

- Mamy zatem trzynaście godzin, zanim tu się znajda - mruknął Jonny. - No cóż... możemy wystartować i przenieść się w inne miejsce, jeżeli okaże się to konieczne, ale naukowcy nie będą zachwyceni perspektywą ściągania na statek całej aparatury, jaką zdążyli już rozstawić. Uważam, że najrozsądniejszym wyjściem byłoby wysłanie na zwiad kilku Kobr, żeby obejrzyli to stado i sprawdzili, czy nie da się go powstrzymać albo przynajmniej skierować w inną stronę.

- Właśnie o tym myśleliśmy - odrzekł Banyon, ale urwał, jak gdyby się zawahał.

Jonny ujrzał na jego twarzy ten sam wyraz, jaki często widywał na twarzach swoich synów, kiedy bardzo im na czymś zależało.

- Aha, panie gubernatorze... czy nie chciałby pan polecieć z tymi Kobrami? Czuliśmy się znacznie pewniej, mając na pokładzie kogoś z tak dużym doświadczeniem...

Jonny spojrzał na Chrysa i uniósł brwi w niemym pytaniu. Patrzyła w tym czasie na ekrany, ale kiedy w końcu odwróciła głowę i spojrzała na niego, sprawiała wrażenie szczerze zaskoczonej faktem, że w ogóle o to pytał.

- Oczywiście - powiedziała. - Tylko bądź ostrożny.

- „Gdybym żył sto tysięcy lat...” - pomyślał. Odwrócił się w stronę Banyona i kiwnął głową.

- No, dobrze - powiedział. - Zobaczmy, co z tym wszystkim można zrobić.

To było rzeczywiście stado - ogromne stado - a Jonny'ego, który przedtem widywał takie tylko na tasmach, widok aż tylu dzikich zwierząt w jednym miejscu zarazem zadziwiał i trochę przerażał. Choć wszystkie te porosnięte brązowym, długim futrem czworonogi nie biegły, a tylko szły truchtem, odgłosy ich stapania zlewały się w nieustanny grzmot, słyszany w wiszącej nad nimi na wysokości dwustu metrów zamkniętej patrolowce. Płaskie, szerokie kopyta wznosiły w górę chmure pyłu, mimo że teren, po którym stapały, był porosnięty miękką, tłumiącą dźwięki miejscową odmianą trawy.

- Sądzę, że jednak będzie trzeba jeszcze raz przemyśleć nasze plany - stwierdził Banyon, kiedy wszyscy przyglądali się widokowi w dole.

Jeden z jego Kobr parsknął, a inny pozwolił sobie na nerwowy chichot. Jonny chwilę zaczekał, aż umilkną wszystkie te odgłosy świadczące o dużym napięciu, a później wskazał ręką na tylne okno.

- Może wyprzedzimy stado o kilka kilometrów, żeby stwierdzić, czy nie znajdzie się jakaś naturalna przeszkoda, przy której daloby się skierować je w inną stronę?

Banyon kiwnął głową i zawrócił patrolówkę, ale kiedy cichł loskot pozostającym za nimi zwierząt, Jonny spoglądał na krajobraz w dole z coraz większą rezygnacją. Kobry już wcześniej ustaliły, że między stadem a „Menssana” nie było żadnych naturalnych przeszkód, a teraz, kiedy się o tym upewnił, z każdą chwilą coraz bardziej wątpił, czy mogliby stworzyć sztucznie coś takiego, co sprawiłoby tak licznemu stadu chociażby najmniejszy kłopot.

Banyon doszedł zapewne do takiego samego wniosku.

- Obawiam się, że jednak będziemy musieli je spłoszyć - powiedział tak cicho, że Jonny z trudem go usłyszał.

- Tak wielkie skupiska zwierząt spotykało się kiedyś w wielu rejonach Ziemi i na Blue Haven - odparł Jonny. - Dalbym dużo, by wiedzieć, jak wówczas na nie polowano. Na pokładzie nie mamy silnych materiałów wybuchowych, a nie wiemy, jak mogą wyglądać drapieżniki, których się obawiają. Sądzę, że wobec tego pozostaje nam tylko broń soniczna i lasery, a to znaczy, że będzie trzeba podejść do nich bardzo blisko.

- Zasięg broni laserowej nie jest wcale taki mały... ach, rozumiem, co ma pan na myśli. Jeżeli nas nie zobaczą, w żaden sposób nie będą mogły wiedzieć, w którą stronę uciekać.

- Ani nawet się zorientować, że gina - dodał Jonny. Myślał później przez jakąś minutę, ale nic oczywistego nie przyszło mu do głowy. - No cóż... - powiedział w końcu. - Spróbujmy więc najpierw przestraszyć je patrolówką. Może to w jakiś sposób pozwoli nam rozwiązać cały problem.

Wyglądało jednak na to, że zwierzęta nie mają żadnych latających nieprzyjaciół. Całkowicie ignorując zataczającą kregi nad ich łbami patrolówkę, flegmatycznie kierowały się wciąż w tę samą stronę.

- Spróbujemy teraz czegoś bardziej drastycznego? - zapytał jeden z Kobr.

Banyon kiwnął głową.

- Obawiam się, że nie mamy innego wyjścia. Tylko nie za bardzo drastycznego. Oszczędzanie pracy biologom nie jest warte tego, żeby przy tej okazji ktoś z nas stracił życie.

- Lub został ranny - wtracił się Jonny. - Spróbujemy więc tylko...

Przerwał mu cichy brzęczyk pokładowego telefonu.

- Panie gubernatorze, odkryliśmy tu coś, co może mieć jakies znaczenie - odezwał się Shepherd, nie patrząc w stronę kamery. - Satelita ukończył właśnie badania makroskopowe... wygląda na to, że całe stado przemieszcza się w kierunku zgodnym z jedną z linii pola magnetycznego tej planety.

Banyon popatrzył na Jonny'ego, unosząc brwi do góry.

- Dotychczas sądziłem, że ptaki, owady i duchy są jedynymi stworzeniami wyposażonymi w zmysł umożliwiający im geomagnetyczną nawigację.

- Tak samo uważali dotychczas wszyscy biologowie „Messany” - odparł z przekasem Shepherd. - Przyznają jednak, że nie znają żadnych powodów, dla których nie miałyby go mieć także stworzenia większe.

- Jeżeli założyc, że naprawdę podążają w kierunku równoległym do linii pola, czy nasz obóz jest nadal zagrożony? - zapytał Jonny.

- Tak. Prawdopodobieństwo jest wówczas nawet o parę procent większe.

Jonny popatrzył pytająco na Banyona.

- Warto spróbować - mruknął tamten. - Kapitanie, czy ma pan na pokładzie statku jakies urządzenie zdolne do wytworzenia silnego pola magnetycznego?

- Jasne. Modulator napędu. Trzeba tylko zdjąć część jego ekranów, a wówczas rozproszone pole, jakie się przedostanie na zewnątrz, powinno wprowadzić w błąd zmysły zwierząt. Jeżeli, oczywiście, kierują się nimi w swej wędrówce.

- Warto spróbować - powtórzył nieco głośniejszym głosem Banyon. - Kapitanie, ile czasu potrzeba panu na usunięcie tych osłon magnetycznych?

- Już nad tym pracujemy. Myślę, że nie powinno zająć nam to więcej niż godzinę.

Lagodnie pofalowany teren nawet przez kogoś obdarzonego najbujniejszą wyobraźnią nie mógł być nazwany pagórkowatym, ale mimo to grzmot kopyt można było usłyszeć znacznie wcześniej, niż dało się ujrzeć stado. Stojący nieco z boku szeregu Kobr Jonny, słysząc, jak z każdą chwilą hałas przybiera na sile, i mając nadzieję, że wszystko potoczy się zgodnie z planem, otarł pot z dłoni. Wprawdzie ich plan przewidywał, że gdyby się nie udało, zawsze mogli laserami przeciwpancernymi zamienić przynajmniej część tej gromady w stos dymiących szczątek... ale Jonny wciąż nie mógł zapomnieć o tym, z jakim trudem przyszło mu kiedyś na Aventynie usmiercenie tak samo roślinozernej gantui.

- Przygotujcie się - usłyszał w słuchawkach głos Banyona i spojrzał na krazaca nad stadem patrolówkę. - Za chwilę je zobaczycie - ciągnął głos. - Czekać na sygnał kapitana...

I nagle ujrzeli ciemna masę pierwszej linii zwierząt wylaniająca się zza niewielkiego wzniesienia niczym czoło morskiej fali na mieliznie.

Nie kierowała się prosto w stronę Kobr, a zwierzęta były, prawdę mówiąc, o wiele mniejsze niż gantuje, ale ich liczba i fakt, że spoglądało się na nie z ziemi, sprawiały, że widok był równie przerażający. Jonny zacisnął mocno zęby i stłumił w sobie chęć odwrócenia się i rozejrzenia za kryjówką... ale gdy pierwszy szereg zwierząt zaczął schodzić w dolinę, usłyszał, jak jakiś inny głos w jego słuchawkach rzucił rozkaz:

- Teraz!

Odpowiedzią była salwa z przeciwpancernych laserów wszystkich Kobr mierzona nie w zwierzęta, ale w sterty glazów mozolnie zniesionych w tamto miejsce, a znajdujących się teraz o jakieś pięćdziesiąt metrów przed stadem. Bardzo specyficznych glazów... gdyż jeśli geolodzy „Menssany” mieli rację co do ich właściwości...

Okazało się, że mieli. Mieszanina trudno- i łatwotopliwych mineralów zawarta w każdym z tych glazów mogła przetrwać w strumieniu laserowego światła tylko przez sekundy lub dwie, po czym rozpadała się z głośnym hukiem, słyszonym dobrze nawet mimo grzmotu kopyt. Jeden po drugim kamienie rozpryskiwały się z ognistymi bryzgami na wszystkie strony niczym sztuczne ognie, sprawiając właściwie tylko duży huk. To jednak wystarczyło. Kiedy czoło stada zatrzymało się, a później sklebiło, Jonny mógł niemal wyczuć, jak zwierzęta tracą poczucie dotychczasowego kierunku marszu. W chwili później ich wahanie przemieniło się w ucieczkę... ale w nieco zmienionym kierunku, określanym teraz dla nich przez pole magnetyczne modulatora „Menssany”, która w tym celu musiano posadzić w innym miejscu, oddalonym o kilka kilometrów od pierwszego. Skrzydło stada minęło szereg Kobr, a kiedy w godzinę później „Menssana” wystartowała i czworonogi mogły podjąć wędrowkę w tę samą co poprzednio stronę, ich nowy szlak powinien wiesć teraz o dobry kilometr w bok od miejsca, w którym ludzie rozbili swój pierwszy obóz.

Tak miało to wyglądać w teorii. Zostało na szczęście aż nadto dużo czasu, żeby upewnić się, że tak samo będzie wyglądało w praktyce.

Patrolówka zaczęła podchodzić do lądowania, a wszystkie Koby pospieszyły do miejsca, w którym miała osiąść.

- Dobra robota - odezwał się w słuchawkach Jonny'ego głos Banyona. - Możemy wracać.

Ostatnie chmury zniknęły tuż przed zachodem słońca i ukazało się usiane gwiazdami niebo. Jonny i Chrys, spacerując wokół statku po wewnętrznej stronie perymetru, na zmianę nazywali gwiazdozbiory, które mogli rozpoznać, i starali się dopasować nazwy bardziej zniekształconych do ich awenturkowskich odpowiedników. W końcu, kiedy zabrakło im nazw, po prostu zaczęli przechadzać się w milczeniu, ciesząc się chłodnym i czystym powietrzem nadchodzącej nocy. Jonny włączył wzmacniacz słuchu, toteż wychwycił dobiegający ich z oddali loskot stada wcześniej niż Chrys, i kiedy stwierdził, że hałas się nie nasila, wiedział, że ich plan się powiódł.

- Stado płaskokopytnych czworonogów? - zapytała Chrys, starając się przebić wzrokiem mroki nocy.

- Tak - odrzekł, kiwnąwszy głową. - Nie zbliża się do nas ani trochę. Jest co najmniej kilometr stąd... może nawet dwa.

Pokreśliła głową.

- To dziwne - powiedziała. - Pamiętam, jak kiedyś w szkole podczas lekcji biologii nasz nauczyciel starał się udowodnić, że żadne zwierzę lądowe większe od kondorynki nie mogłoby nigdy rozwinąć zmysłu magnetycznego, o ile na jego planecie nie panowałyby pole o nieprawdopodobnie dużej sile. Bardzo chciałabym, żeby teraz tu był i mógł sobie obejrzeć te bydleta.

Jonny zachichotał.

- Ja zaś przypominam sobie, że kiedyś czytałem coś na temat tej starej teorii, zgodnie z którą wszystkie miejscowe rośliny i zwierzęta żyjące na różnych światach Dominium są zmutowanymi potomkami zarodników czy bakterii przyniesionych na nie z ziemi przez słoneczne wiatry. Pamiętam, że wciąż się o to sprzeczano, kiedy odkryto istnienie Troftów i Minthistów. Nie wiem, co zrobiliby zwolennicy tej teorii, gdyby dowiedzieli się o Aventinie. O ile, rzecz jasna, nie zmienili wcześniej zdania. Domyslałem się, że możliwość wystawienia się na publiczne posmiewisko jest jedną z tych ryzykownych sytuacji, z jakimi muszą się liczyć naukowcy.

- Wiesz, zawsze zastanawiał mnie ten uniwersalny kod genetyczny - rzekła w zamysleniu Chrys. - Dlaczego wszystkie formy życia, jakie spotykamy, mają tę samą budowę DNA i protein? Uważam, że to nielogiczne.

- Nawet wówczas, gdyby się miało okazać, że jest to jedyna struktura zapewniająca istnienie życia?

- Tej teorii także nigdy nie lubiłam. Wydaje mi się do pewnego stopnia arogancka.

Jonny wzruszył ramionami.

- Prawde mówiąc, i mnie nie bardzo się podoba. Słyszałem kiedyś o teorii Troftów, zgodnie z którą jakaś kosmiczna katastrofa, która wydarzyła się przed trzema czy czterema miliardami lat, pozbawiła spora część wszechświata wszelkiego życia, a przy tej okazji zniszczyła pierwsze inteligentne istoty próbujące swych sił w podróży międzygwiazdnych. Wszystkie glony i bakterie, które na różnych światach ten kataklizm przetrwały, wywodziły się z tego samego pnia, ale później ewoluowały niezależnie od siebie.

- Musiałoby to być coś niesamowitego.

- Sądzę, że mogłoby to być coś w rodzaju wybuchu łańcucha supernowych albo ostateczny kolaps centralnej czarnej dziury jakiejś galaktyki.

- Aha... Prościej byłoby przyjąć, że to Bóg urządził celowo wszystko w taki sposób.

- Z pewnością życie kolonisty jest łatwiejsze, jeżeli może spożywać miejscowe okazy flory i fauny - zgodził się z nią Jonny.

- Ale twierdzenie odwrotne nie zawsze jest prawdziwe. Jonny spojrzał na nią z ukosa, ale nie miała urazonej miny.

- Doceniam to, że pozwoliłaś mi dzisiaj polecieć razem z nimi - powiedział, kiedy już poruszyła ten temat. - Dobrze wiem, że w czasie tej podróży miałem trzymać się od wszystkiego z daleka...

- Nie mogłaś przecież nie pomóc, kiedy cię poprosili - przerwała. - Poza tym nie wyglądało mi na to, że będziesz narazony na jakies niebezpieczeństwa. Byles?

- Nie. Oslaniała mnie przecież załoga patrolówki, a oprócz niej reszta ludzi na statku. Niemniej będę się starał poprawić podczas dalszej drogi.

Zachichotała i lekko uscisnęła jego ramię.

- Nie przejmuj się, Jonny - powiedziała. - Naprawdę. Nie chciałabym, żebyś siedział z założonymi rękami, kiedy możesz się im na coś przydać. Tylko bądź ostrożny.

- Zawsze jestem - zapewnił ją, rozmyślając, skąd wzięła się u niej ta odmiana. To była Chrys, która tak dobrze znał, kiedy się pobierali: zawsze popierająca go w tym, co robił dla dobra innych. Co się stało, że się zmieniła? Czy w ten sposób reagowała na zmianę otoczenia, które przypominało jej dawne czasy walki o ujarzmienie Aventyny?

Nie wiedział. Ale podobała mu się ta zmiana... i miał mnóstwo czasu, żeby w ciągu pozostałej części drogi wymyślić sposób na to, żeby taka została, kiedy w końcu powróca.

Rozdział dziesiąty

Zgoda na pozbycie się hełmów i filtrów nadeszła z „Dewdrop” tuż przed ich wieczornymi badaniami medycznymi. Joshua, zanim udał się na spoczynek, stwierdził, że jego węch bez trudu przyzwyczał się do egzotycznych woni, jakich nie brakowało w powietrzu Qasamy. Kiedy jednak następnego dnia rano opuszczali przydzielone im kwatery, cała grupa nie zdążyła zrobić trzech kroków, a Joshua doszedł do wniosku, że chyba powinien zmienić zdanie.

Nowy zapach wydawał się mieszaniną woni aromatycznego pieczonego ciasta, niezbyt wonnego dymu i czegoś, czego przy najlepszych checiach nie potrafił określić.

Wyglądało na to, że nie był jedynym, który zwrócił na to uwagę.

- Co tu tak dziwnie pachnie? - zapytał Moffa Cerenkov, kilka razy pociągnawszy nosem.

Moff zaciągnął się powietrzem i powiedział:

- Czuję zapach piekarni znajdującej się za rogiem, dymy z rafinerii boru i spaliny z rur wydechowych samochodów.

- Rafinerii boru? - odezwał się zdziwiony Rynstadt. - Tu, w samym sercu miasta?

- Tak. A dlaczegoż by nie? - zapytał Moff.

- No cóż... - Rynstadt zmieszał się nieco. - Sądziłem, że takie zakłady przemysłowe byłoby bezpieczniej budować z dala od miejsc gęsto zaludnionych. Na wypadek, gdyby doszło do awarii. Moff pokreślił

głowa.

- Nie mamy tu awarii, które mogłyby mieć groźne konsekwencje - powiedział. - A wszystkie urządzenia są najbezpieczniejsze właśnie tam, gdzie znajdują się teraz.

- Ciekawe - mruknął Cerenkov. - Czy nie można byłoby obejrzeć tej rafinerii?

Moff zawahał się przez chwilę, ale później kiwnął głową.

- Myślę, że nikt nie miałby nic przeciwko temu - powiedział. - Proszę za mną.

Minawszy pojazd, który czekał już na nich przy krawężniku, ruszył przed siebie, a za nim podążyło czterech Aventinian i pięciu eskortujących ich Qasaman. Okazało się, że rafineria znajduje się o dwa domy dalej w niepozornym budynku wzniesionym między dwiema wyjątkowo szerokimi alejami Sollas.

Joshua nigdy w życiu nie widział żadnego zakładu przemysłu przetwórczego. Ogromna liczba zbiorników, rur i krzatających się między nimi Qasaman sprawiała na nim wrażenie raczej chaosu niż wyniku celowej działalności. Rynstadt jednak - a także, choć w mniejszym stopniu, York - byli tym miejscem zachwyceni.

- Bardzo to wszystko pomysłowo urządzone - stwierdził Rynstadt, rozglądając się ciekawie po głównej hali. - Jeszcze nigdy nie słyszałem o metodzie ekstrakcji boru za pomocą schłodzonego babelkującego gazu. Jaki to gaz, jeżeli wolno zapytać?

- Doprawdy, nie mam pojęcia - odparł Moff. - Pewnie coś w rodzaju katalizatora, jak sadze. Czy jesteś specjalista w tej dziedzinie chemii?

- Nie, właściwie nie - rzekł Rynstadt. - Interesuje się różnymi rzeczami... moja praca jako nauczyciela wymaga, żebym wiedział to i owo na każdy temat.

- A więc jesteś ekspertem w dziedzinie nauk ścisłych. Rozumiem.

W tonie głosu, jakim Moff to powiedział, było coś, co Joshui nie bardzo się podobało, tak jak gdyby wiedza, jaka dysponował Rynstadt, przeczyła deklaracji o pokojowym charakterze misji.

- Jak sądzisz, Marek, czy ta metoda mogłaby znaleźć zastosowanie na Aventinie? - zapytał go, mając nadzieję, że Rynstadt zrozumie kryjaca się w tym pytaniu aluzję.

Zrozumiał.

- Jestem tego niemal pewien - powiedział natychmiast, kiwnawszy z przekonaniem głową. - Bor odgrywa w wielu galeziach naszego przemysłu dużą rolę, a chociaż stosowane metody jego ekstrakcji nie są drogie, nie wątpię, że przyda się nam coś jeszcze tańszego. Moff, może będzie można porozmawiać na ten temat bardziej szczegółowo trochę później, czy to z burmistrzem Kimmeronem, czy też z kims innym z przywódców planety.

- Przekazę twoje życzenie - odparł Moff neutralnym tonem, ale Joshua wyczuł, że wyraźnie się odprezyl.

Rozmowa z tymi ludźmi to jak stapanie po polu minowym - pomyślał.

- No cóż, myślę, że widzieliśmy już chyba wszystko - odezwał się żywo Cerenkov. - Jeżeli mam być

szczerzy, Moff, nadal chciałbym obejrzeć te galerie, o której mówiłeś nam wczoraj, a może też jedno z waszych targowisk.

- Oczywiście - przytaknął Moff. - Wracajmy do samochodu i jedźmy.

- No i co? - zapytała Telek.

Christopher wyprostował się na krześle, oderwał wzrok od monitora, przed którym siedział, i ponad nim popatrzył na panią gubernator.

- Jak dotąd nie znalazłem ani jednej wzmianki na temat takiej metody rafinacji boru - oznajmił. - Z drugiej strony wiem, że naszej bazy danych na ten temat w żadnym razie nie można uważać za kompletną.

- Jasne, jasne. Ale czy sądzisz, że wynaleźli całkiem nowy sposób, czy tylko chcą wprowadzić nas w błąd na temat tego, co właściwie robią w tej fabryce?

Odezwiał się sygnał interkomu, więc Pyre nachylił się nad ekranem, przestając zwracać uwagę na toczącą się za jego plecami rozmowę.

- Tak? - zapytał. To był kapitan F'ahl.

- Właśnie stwierdziliśmy coś, co może was zainteresować, bo może jakos się z tym wszystkim wiąże - powiedział. - Pamiętacie te szerokie ulice w Sollas i w innych miastach? Okazuje się, że w każdym przypadku biegną równolegle do linii pola geomagnetycznego Qasamy.

O zawilosciach rafinacji boru natychmiast zapomniano.

- Mógłby pan to powtórzyć? - zapytał Christopher, podchodząc do interkomu.

F'ahl powtórzył swoje oświadczenie.

- Domysla się pan, z jakiego powodu, kapitanie? - zapytała Telek.

- Z żadnego, w którym miałbym jakiś sens - odparł F'ahl. - Nie trzeba przecież ustalać kierunków ulic w mieście po to, żeby móc orientować się w stronach świata, a natężenie tutejszego pola jest zbyt słabe, żeby miało wywierac istotny wpływ na linie energetyczne czy inne urządzenia.

- Chyba że od czasu do czasu nagle rośnie - zastanowił się Christopher. - Nie, nawet i wówczas nie miałoby to żadnego sensu.

- Może to ma jakiś związek z ich systemem komunikacji na duże odległości? - zasugerowała Telek. - Może przesyłają modulowane sygnały wzdłuż linii tego pola czy coś w tym rodzaju.

Siedzący w kacie świetlicy Nnamdi poruszył się na krześle i spojrzał na nich z wyraźną irytacją.

- Byłoby lepiej, gdybyście dali sobie w końcu spokój z pomysłem, że Qasamanie muszą dysponować jakimś systemem łączności dalekosieżnej - burknął. - Stwierdziliśmy przecież, że w Sollas istnieje przewodowa sieć telekomunikacyjna i energetyczna, to wszystko, czego moim zdaniem im potrzeba.

- A jak utrzymują łączność między miastami, nie mówiąc już o łączności z tymi wszystkimi rozrzuconymi

po całej okolicy wioskami? - odciela sie Telek. - Daj spokój, Hersh, może system izolowanych od siebie miast-panstw ci się podoba, bo lubisz egzotyke, ale jako wytrawny polityk oświadczam ci, że nie jest stabilny. Ci ludzie posiadają kalkulatory czy nawet komputery, mają pojazdy, bron maszynowa i coś, co może korzystać z tych pasów startowych, na których usiedliśmy. Nie sadzę, by mogli zapomnieć o podstawach fal elektromagnetycznych czy jednolitej administracji.

- Tak? W jaki więc sposób wyjaśni pani istnienie murów wokół wiosek?

- A jak ty wytłumaczysz ich brak wokół miast? - zapytała Telek, potraszając z irytacją głową. - Nie możemy zakładać, że wioski są zamieszkałe przez prymitywów, toczących ze sobą ciągłe wojny, podczas gdy w miastach mieszkają ludzie cywilizowani, którzy tego nie robią.

- Możemy, jeżeli między wioskami a miastami nie istnieje żadna łączność - upierał się przy swoim Nnamdi. - Albo jeżeli wiesniacy należą do całkiem innej rasy. Zwróciłem uwagę, że na razie ani Moff, ani Kimmeron, nie powiedzieli nic o tych wioskach.

Telek wyczuła, że i Pyre na nią patrzy.

- Dobrze by było jednak rozstrzygnąć tę wątpliwość - odezwał się, kiedy spojrzała w jego stronę.

Westchnęła.

- No dobrze, może macie rację - powiedziała z rezygnacją.

Sięgnawszy po mikrofon sprzężony z kanałem translatora, przesłała grupie zwiadowczej zwiśle polecenie. Pyre ponownie zwrócił uwagę na ekrany, czekając, kiedy Cerenkov zechce zapytać o to Moffa.

Nie musiał czekać długo. Pojazd zbliżał się właśnie do skrzyżowania z jedną z wąskich ulic, a kiedy ja mijal, implantowane kamery Joshuy ukazały rozmieszczone po obu jej stronach zapewne na stałe budki i domki. Na umieszczonych na wysokości bioder wystęпах pod otwartymi oknami rozłożono oferowane towary. Wokół budek kreciły się dziesiątki ludzi, oglądając wystawione na sprzedaż rzeczy lub prowadząc ożywione rozmowy ze sprzedawcami.

- To główne targowisko w tej części Sollas - odezwał się Moff, kiedy ich pojazd zatrzymał się przy krawężniku szerokiej ulicy obok innych zaparkowanych w tym miejscu samochodów. - Jeszcze osiem bardzo podobnych do tego mamy w innych dzielnicach miasta.

- Nie wygląda mi to na skuteczny sposób dokonywania zakupów - stwierdził Rynstadt, kiedy wysiedli z pojazdu i udali się w stronę targowiska. - Nie wspominając już o niewygodach w zimie czy w dni deszczowe.

- Ulice można chronić w czasie złej pogody - rzekł Moff, pokazując im coś w górze. Joshua popatrzył w tamtą stronę, a Pyre ujrzał umieszczone na ścianach budynków na wysokości drugiego pietra dwa długie rzędy unoszonych jak zwodzone mosty części dachu. - A jeśli chodzi o skuteczność, wolimy patrzeć na to z punktu widzenia manifestacji naszej wolności i obywatelskich swobód. Brak tych swobód był jedną z przyczyn, dla której nasi przodkowie zdecydowali się na emigrację i przybyli na Qasame. A kiedy już o tym mowa, nie powiedzieliście mi, dlaczego wasi przodkowie zrezygnowali z zasady dynastycznego sprawowania rządów.

- Do diabła - burknęła Telek, sięgając po mikrofon. - Postaraj się nie mieszać do tego polityki, Yuri -

polecila. - Powiedz, ze chodzilo tylko o zadze przygód czy o cos w tym rodzaju.

- Przybylismy na Aventine z różnych powodów - odezwał się Cerenkov do Qasamanina. - Zadzca przygód, poznania nowych swiatów, niezadowolenie z naszego dotychczasowego zycia... mysle, ze to byly te najwazniejsze.

- Zadnej presji natury politycznej?

- Moze niektórzy emigrowali, kierujac się takimi racjami, ale nic nie wiem na ten temat - odpowiedzial dyplomatycznie Cerenkov.

- Powiedz to pierwszym Kobrom - mruknal do siebie sluchajacy jego słów Pyre.

- Spokój! - uciszyla go Telek.

Grupa zwiadowcza wraz z eskorta w mieszala się tymczasem w tłum robiacych zakupy Qasaman. Siedzacy na ramieniu jednego z nich mojok nagle glosno skrzeknal, a Rynstadt na ten dzwiek odskoczyl odruchowo w bok. Pyre także podskoczyl na swoim krzesle: zdazyl juz niemal zapomniec o istnieniu tych wszechobecnych przeklętych ptaków.

- Czy wszystkie towary pochodza z Sollas i z najblizszych okolic miasta? - zapytal Moffa Cerenkov, kiedy mijali stragan z lezacymi na nim starannie opakowanymi bochenkami chleba.

- Nie, prowadzimy handel z innymi miastami, a także z wioskami - odparl tamten. - Wiekszosc swiezyc owoców i miesa pochodzi z wioski znajdujacych się na wschód od miasta.

- Aha - rzekl Cerenkov, kiwnal głowa i kontynuowal ogladanie targowiska.

- Zadowolony? - zapytal Nnamdiego Christopher. Tamten spiorunowal go wzrokiem.

- To wcale jeszcze nie oznacza, ze wiesniacy sa ludzmi - odparl z uporem. - Albo ze maja takie same prawa jak mieszkancy miast.

- Almo?

Pyre odwrócił się w strone tapczanu, na którym spoczywal Justin.

- Co sie stalo? - zapytal.

- Ja... cos slysze... jakis pomruk... przekazywany mi przez Joshue.

Chlopak urwal, a na jego twarzy odmalowal się wysilek, z jakim staral się oderwac czesc uwagi od sygnalów z czujników swojego brata, by mówic.

- Wydaje mi się... chyba staje się coraz glosniejszy. Christopher doskoczyl do pulpitu sterowniczego i usilowal teraz okreslic dzwiek, jaki wzmacniacze sluchu Justina odbieraly dzięki czujnikom implantowanym jego bratu.

- Kapitanie, to moze nadlatywac jakis samolot - rzucil Pyre w strone mikrofonu interkomu.

- Panuje nad sytuacja - odpowiedzial spokojnie F'ahl. - Na razie jeszcze nic nie widac.

W następnej chwili Pyre podskoczył niemal do sufitu świetlicy, kiedy z głośników monitora wydobył się ogłuszający ryk.

- O, rany! - wykrzyknął Christopher, sięgając do pokrętła siły głosu, które przed chwilą zdążył ustawić na maksimum.

Ryk zmienił się w nieco cichszy loskot... a kiedy Pyre popatrzył na ekran, ujrzał, jak Qasamanie niemal biegiem opuszczają stragany i podążają ku szerokim alejom, ograniczającym z obu stron targowisko.

- Co się dzieje? - zapytał Cerenkov Moffa, kiedy ujrzał, że i eskortujący ich dotychczas mężczyźni kierują się w tę samą stronę, co wszyscy zebrani na targowisku. Po chwili do pierwszego dźwięku dołączył się drugi, a Pyre zwrócił uwagę, jak w pośpiechu usuwano z szerokich ulic samochody, wprowadzając je zapewne do wąskich ulic.

- Do miasta przedostało się stado bololinów - wyjaśnił Moff Cerenkovowi. - Trzymajcie się na uboczu... nie macie przy sobie broni.

Telek schwyciła za mikrofon.

- Nie przejmujcie się tym poleceniem. Joshua, postaraj się znaleźć w takim miejscu, z którego będziesz mógł wszystko dobrze zobaczyć. Decker, może lepiej idź z nim.

Dwaj mężczyźni udali się w ślad za Moffem. Qasamanie najwyraźniej nie przejmowali się specjalnie tym, co się miało zdarzyć... a jednak, kiedy Pyre spojrzal uważniej, dostrzegł, że tego samego nie dało się powiedzieć o mojkach. Każdy ptak w zasięgu wzroku Joshuy strząsał pióra, rozwijał skrzydła, jak gdyby chciał przygotować się do lotu, a także wykazywał inne oznaki podniecenia.

Kiedy Joshua i York precyzyjnie się przystanęli w trzecim rzędzie stojących wzdłuż szerszej ulicy gapiów, loskot można było usłyszeć całkiem wyraźnie.

- Gotów - dobiegło ich słowo znanej komendy usłyszane w świetlicy dzięki czujnikom Joshuy.

W następnej chwili jeden ze stojących w pierwszym rzędzie Qasaman wyciągnął pistolet i uniósł lufę, najwyraźniej przygotowując się do oddania strzału. Po sekundzie to samo słowo powtórzyło kilkunastu innych i wkrótce cały pierwszy rząd Qasaman uczynił to samo. Pyre zauważył, że stojący po drugiej stronie szerokiej alei tubylcy także trzymają broń gotową do strzału.

- Decker, możecie znaleźć się w krzyżowym ogniu - zawołał do mikrofonu trzymany wciąż przez Telek, nie przejmując się, że w ten sposób może zagłuszać polecenia, jakie wydawała. - Uważajcie, żeby się wam nic nie stało.

Loskot przerodził się w ogłuszający huk... i po chwili ujrzeli pierwszą falę zwierząt.

Pyre w tej samej chwili zrozumiał, dlaczego Qasamanie uznawali za celowe nie rozstawiać się z bronią. Przerazał go nie tylko widok stada zwierząt gnających samym środkiem miasta, ale fakt, że każde pojedyncze stworzenie mogło być bardzo groźne dla człowieka. Bololiny mierzyły ponad dwa metry długości, były bardzo ciężkie i wyglądało na to, że kopytami mogły kruszyć skały. Z masywnych łbów wystawały dwa paskudnie wyglądające rogi, a wzdłuż grzbietów biegły szerokie pasy z wystającymi z nich ostrymi, trzydziestocentymetrowej długości kolcami, jakich nie powstydzilby się zaden nawet najbardziej wybredny awentynski kolczasty lampart. W zasięgu wzroku znajdowały się setki takich

zwierząt, tłoczac się fala za falą, a do miasta napływały wciąż następne... i kiedy Pyre odruchowo zastygł w pozycji właściwej do przyjęcia walki, Qasamanie otworzyli ogień ze swoich pistoletów.

Christopher wypłul z siebie słowo, które brzmiało jak przekleństwo, a i Pyre, chociaż mógł się domyslić, czego należy oczekiwać, poderwał się, słysząc odgłosy tych strzałów. Dominium przestało posługiwać się taką bronią palną już dawno, zastępując ją bardziej skutecznymi laserami czy ręcznymi wyrzutniami ładunków rakietowych, ale ten postęp widocznie nie dotarł na Qasame. Pistolety stojących przed Joshua tubylców trzaskaly niczym wybuchające miniaturowe granaty... a niektóre bololiny ze stada zatrzymywały się nagle w biegu i padały na ziemię.

Pyre, który właśnie spoglądał na jednego z tych czworonogów, kiedy zwierze zostało trafione, i dzięki temu był pierwszą osobą w świetlicy, która dostrzegła płowego, dosyć dużego ptaka, unoszącego się z grzbietu zastrzelonego bololina.

Okazał się niemal o połowę większy od mojoka, lecz chociaż bardzo szybko poszybował w górę, Pyre dostrzegł, że podobnie jak mojok, wygląda na drapieżnika. Przedtem musiał się chować we wgłębieniu posrodku lasu kolców na grzbiecie bololina... W chwili później na pojawienie się ptaka zareagował wzrok Joshuy kiedy Moreau popatrzył w górę, Pyre ujrzał aż kilkanaście krazących w powietrzu ptaków. Zapewne tak jak pierwszy odłączyły się od ginących zwierząt.

A z obu stron, kierując się w ich stronę, nadlatywała gromada mojoków.

- Oszalaly - odezwał się na ich widok Christopher tak cicho, że tylko z trudem można było usłyszeć go w huk strzałów. - Tamte są od nich o wiele większe...

- I sprawiają wrażenie drapieżników - burknęła Telek. - Co tutaj mi się nie zgadza. Drapieżniki na ogół nie atakują innych drapieżników. Joshua! Nie spuszczaaj oka z obu stad tych ptaków.

Obraz znieruchomiał, a Pyre przyglądał się z chorobliwą fascynacją, jak jeden z mojoków nadleciał z góry i od tyłu nad większego ptaka, rozczapierzywszy szpony. Zderzył się z nim... mocno schwycił... i przez kilka długich sekund trzymał, wykonując przy tym dziwne ruchy. Jego ofiara wrywała się, chcąc się oswobodzić - nadaremnie - a kiedy zrezygnowała i zaczęła lecieć prosto...

Mojok rozwinał skrzydła, wypuścił ptaka ze szponów i odleciał. Nie usiłując ścigać ofiary, zatoczył leniwie kilka kregów i zaczął obniżać się ku tłumowi Qasaman.

- Co, do ciężkiej cholery, tu się dzieje? - mruknęła Telek. Nawet Pyre nie mógłby wyrazić tego bardziej dobitnie. Joshua skierował wzrok z powrotem na ulicę. Stado bololinów już zniknęło i mimo zasłony opadającego kurzu można było zobaczyć ze dwadzieścia zabitych, w mniejszym lub większym stopniu zmasakrowanych zwierząt. Jeden z Qasaman - Pyre zorientował się, że był nim Moff - wyszedł na środek ulicy i uważnie rozejrzał się na boki. Później umieścił pistolet w olstrze i powrócił na chodnik. Pozostali Qasamanie, jakby tylko na to czekali, także schowali broń - niemal wszyscy równocześnie. Po chwili tłum zaczął się rozchodzić.

Telek ścisnęła mikrofon w dłoni jeszcze mocniej.

- Yuri i pozostali, dowiedźcie się wszystkiego, co się da, na temat tego, co się stało. Zwłaszcza dziwnego zachowania ptaków.

Pyre powtórzył ten rozkaz, chociaż nieco ciszej. Zrobił to, chociaż wątpił, żeby grupie zwiadowczej było potrzebne takie ponaglenie.

Joshua z pewnością nie potrzebował, żeby Telek przypominała mu o czymś tak oczywistym. Plonąc z ciekawości, nie mógł się wprost doczekać, kiedy Moff precyzyjnie się przez tłum rozchodzących się ludzi i kiedy będzie mógł zadać mu pierwsze pytanie:

- W jaki sposób te zwierzęta tak łatwo przedostały się do miasta?

Moff zmarszczył brwi i zaczął spoglądać to na niego, to na Yorka.

- Powiedziałem wam, żebyście trzymali się od tego z daleka.

- Przepraszamy. Co robiły te... bololiny, tak je nazywacie? Co robiły w samym środku miasta?

W tym czasie dołączyli do nich Cerenkov i Rynstadt, a także większość qasamskiej eskorty.

- Bololiny od czasu do czasu wędrują - odezwał się niechętnie Moff. - Gromadzą się wówczas w stada i biegają. Sami chyba przyznacie, że nie ma siły, która mogłaby powstrzymać takie stado. Budujemy więc nasze miasta w ten sposób, żeby zwierzęta, o ile to możliwe, mogły przedostać się na drugą stronę bez wyrządzania szkody.

York popatrzył na leżące na ulicy szczatki bololinów.

- To znaczy bez wyrządzania wam szkody - powiedział.

- Za chwilę pojawia się ekipy, które zabiorą je do przetworni - odparł Moff. - Nie zmarnuje się ani mięso, ani skóry.

- Czy nie byłoby rozsądniej oddzielić kilka sztuk od stada i przed zabiciem zapędzić do jakiejś zagrody? - dociekał York. - Pozwalać, żeby zostały tak stratowane, nie wpływa korzystnie ani na stan mięsa, ani skóry.

- O co chodziło podczas bitwy mojków i tamtych innych ptaków? - zapytał Joshua, zanim Moff miał czas odpowiedzieć. - Czy mojki zawsze polują w taki sposób, nawet jeśli nie zamierzają żywić się swą zdobyczą?

- Żywić?... Ach, o to chodzi.

Moff wyciągnął rękę i pogłaskał nią swojego mojoka po szyi.

- Tarbiny nie są ich pożywieniem. Mojkom są potrzebne w celach rozrodczych. Cerenkov - powiedział, odwracając się od Joshuy plecami. - Bedziemy musieli zakończyć zwiedzanie targowiska, o ile mamy zdążyć do galerii sztuki w tym czasie, który wyznaczono wam na zwiedzanie. Jeżeli chcesz, będziemy mogli powrócić tu kiedy indziej.

- Oczywiście - odparł Cerenkov, lecz zanim udał się w ślad za Moffem w kierunku pojazdu zaparkowanego teraz w jednej z wąskich przecznic, obrzucił przeciągłym spojrzeniem szczatki zabitych bololinów. - Czy takie sytuacje zdarzają się tu często?

- Czasami. W ostatnich dniach jakby trochę częściej. Widocznie większość tych zwierząt nagle postanowiła przenieść się w inne miejsce. Nie ma jednak najmniejszych powodów do niepokoju. Prawdopodobieństwo, że znajdziecie się w pobliżu ulicy, która biega, jest bardzo małe, a gdyby

nawet sie tak stalo, zawczasu ostrzega was syreny rozmieszczone na dachach domów w różnych punktach miasta. Pospieszcie sie, nie mamy zbyt duzo czasu.

Rozmowy umilkly. Kiedy kierowali sie w strone wozu, Joshua trafil lokciem Yorka i troche zwolnil. York poszedl w jego slady, a gdy Moff i pozostali oddalili sie o kilka kroków, Joshua siegnal do zawieszzonego na szyi mikrofonu translatora i zakryl go kciukiem.

- Spedziles wiele lat na różnych swiatach - powiedzial cicho, zwracajac sie do niego. - Czy zdarzylo ci sie kiedyś widziec samca i samice tego samego gatunku, które tak bardzo różniłyby sie od siebie?

York nieznacznie wzruszył ramionami i także položyl dlon na mikrofonie.

- Widzialem i mówiono mi o różniących sie jeszcze bardziej od tych... ale nigdy nie slyszalem o parzeniu sie, które wygladalo by na tak bezpardonowy atak. Niemal jak... do diabla, nie moge tego okreslic w inny sposób... niemal jak gwałt.

Joshua poczul, ze po plecach przechodza mu ciarki.

- Tak to wygladalo, prawda? Mojoki zaatakowaly je jak kondorynki pikujace na króliki.

- A tarbiny robily, co mogly, zeby sie ich pozbyc. Mówie ci, Joshua, tu dzieje sie cos wstretnego.

Idacy przodem Moff obejrzał sie za siebie. Starajac sie, by wygladalo to naturalnie, Joshua opuscil reke i przyspieszył, a idacy u jego boku York uczynil to samo. Joshua wiedzial, ze bedzie trzeba wymyslic jakis sposób, by przekazac te informacje Cerenkovowi tak, zeby Moff sie nie dowiedzial... gdyz jesli zachowanie mojoków podczas parzenia mialo stanowic dowód istnienia jakiejś waznej miejscowej reguly biologicznej, dobrze byloby wiedziec o tym jak najwcześniej.

Bylo tez jasne jak słońce, ze pozostali, unieruchomieni na pokladzie „Dewdrop”, nie beda mogli zrobic nic, by im pomóc.

- Nie - rzekla stanowczo Telek i pokrecila glowa. - Zdecydowanie sie sprzeciwiam. To szalenstwo.

- To nie jest szalenstwo - odparl Pyre. - To mozliwy do wykonania i praktyczny sposób. Nie istnieje zaden inny, w jaki mozna byloby zdobyc potrzebne dane.

Popatrzył na ekran monitora na widniejaca na nim mape

Sollas i czerwona plame, bedaca komputerowym oszacowaniem miejsca, w którym znajdowalo sie teraz stado bololinów.

- Mamy najwyzej pietnascie minut, zeby skorzystac z pojawienia sie tego stada - dodal.

- Znajdziesz sie tam sam, w nie znanym ci terenie i otoczony najprawdopodobniej wrogimi ci ludzmi - burknela Telek, niemal ze zloscia zaginajac kolejne palce. - Bedziesz mial ograniczone mozliwosci komunikowania sie ze statkiem i absolutnie zadnych z tubylcami, jesli sie z nimi spotkasz. Poza tym najpewniej nie bedziesz mial zadnej szansy, by wrócić tak, zeby cie nie spostrzegli. A to znaczy, ze gdyby ci sie cos stalo, zmusisz mnie do wybierania miedzy twoim zyciem a interesem calej wyprawy.

- A jezeli nie pójde, moze juz nigdy sie nie dowiemy, dlaczego samce mojoków gwalca swoje samice - odrzekl cicho Pyre. - Ani dlaczego tarbiny podrúzuja na grzbietach bololinów. A jezeli juz o nich mowa,

dlaczego bololiny tak trudno utrzymać z daleka od miast.

Telek popatrzyła na Christophera i Nnamdiego.

- No, co? - zapytała, domagając się odpowiedzi. - Odezwijcie się. Powiedzcie mu, że jest szalony.

Obaj naukowcy wymienili spojrzenia, a Christopher niechętnie wzruszył ramionami.

- Pani gubernator, przybyliśmy tu, żeby dowiedzieć się wszystkiego, co możliwe - powiedział, nie patrząc ani na Telek, ani na Pyre'a. - Przyznaje, że to niebezpieczne... ale Almo ma rację, że bololiny zapewne już nigdy nie znajdzie się tak blisko statku.

- A poza tym jest Kobra - dodał Nnamdi.

- Kobra. - Pani gubernator niemal wypluła to słowo. - Czy to znaczy, że uodpornił się na nieszczęśliwe wypadki i ukaszenia jadowitych węży?

Przez chwilę w świetlicy panowała cisza, kiedy Telek przeniosła wzrok na ekran monitora z widoczną na nim mapą Sollas.

- Mamy przygotowane pakiety ratunkowe ze wszystkim, co potrzebne do przetrwania - odezwał się cicho Pyre. - Jeden taki pakiet wystarczy na tydzień; może zabrać dwa. Weźmie ze sobą urządzenie do łączności laserowej. Będzie mógł go używać, nie wychodząc z lasu, tak żeby nie dostrzegli tego Qasamanie. Widziałem też kiedyś, jak posługiwano się polowym analizatorem biologicznym, i jestem pewien, że umiałbym pobrać dla pani próbki czy nawet samemu dokonać analizy, gdyby okazało się to konieczne. Co więcej, mógłbym zabrać kilka składanych, przenośnych zamrażarek, gdyby chciała pani mieć turbina, żeby zbadać go dokładniej.

Telek pokręciła głową, nie odrywając jednak wzroku od ekranu.

- Jesteś dowódcą Kobra - powiedziała w końcu. - Rób, co uznajesz za konieczne.

Nie było to entuzjastyczne poparcie, ale Pyre musiał zadowolиться tym, co uzyskał. Stado bololinów znajdowało się już tylko o kilka minut drogi od ich statku.

- Michael, Dorjay, przygotujcie dwa pakiety ratunkowe i sprzęt łączności laserowej do służby luku towarowego - rozkazał.

Obaj potwierdzili przyjęcie polecenia, a Pyre wybiegł ze świetlicy do kabiny, żeby przebrać się w kombinezon bardziej odpowiedni do zejścia na ląd. Polowy analizator biologiczny, o którym mówił, był umieszczony w schowku w pobliżu luku towarowego. Pyre wiedział, że będzie mógł go stamtąd zabrać tuż przed wyjściem. Sam luk towarowy znajdował się po przeciwległej burcie statku, niewidocznej od strony miasta. Pyre sądził, że powinno to umożliwić mu zejście na ląd tak, aby kadłub statku zasłaniał go przed widokiem Qasaman. Później pozostanie mu tylko liczyć na to, że bololiny naprawdę wędrują po szlakach biegnących wzdłuż linii pola magnetycznego... i że pasy startowe lotniska są tak zakurzone, jak na to wyglądają.

W trzy minuty później był już przy służbie luku towarowego. W następnej minucie, obładowany jak juczne zwierze, opuścił służbę i trzymając się kadłuba „Dewdrop”, zaczął kierować się ku rufie. Tetent kopyt bololinów mógł teraz słyszeć nawet bez włączonego wzmacniacza słuchu. Szybki rzut oka na pas startowy upewnił go, że zwierzęta naprawdę nie zamierzają zbaczac ze swojego szlaku, dzięki czemu

skraj stada powinien minac statek w odleglosci mniej wiecej piecdziesieciu metrów. Zobaczyl tez, ze za pierwszymi zwierzetami zaczyna sie juz unosic kurz, gestniejacy z kazda chwila i przyslaniajacy mu widok lezacego w oddali miasta. Nabrawszy gleboko powietrza w pluca, Pyre popatrzył na skraj lasu i przygotowal sie do biegu.

Pierwsza fala bololinów z loskotem mijala wlasnie statek. Pyre zaczekal, az przebiegnie obok niego kilka nastepnych zwierzat, a potem odepchnal sie od kadluba i pobiegl, kulac sie, zeby w jak najmniejszym stopniu zwracac na siebie uwage. Czujac, jak różne przedmioty ekwipunku obijaja sie o plecy i nogi, biegl po luku majacym doprowadzic go na odleglosc metra od skraju stada pedzacych i sapiacych czworonogów.

Kiedy tam dotarl, od razu zrozumial, ze najblizszym zwierzetom wcale sie to nie spodobalo. Dwa czy trzy odlaczyly sie od reszty i z pochylonymi lbami usilowaly natrzec na niego rogami, ale nawet nie poslujac sie zaprogramowanymi odruchami, Pyre poruszal sie szybciej i zwinniej niz ciezkie, rozpedzone stwory, totez zdolal je wyminac bez najmniejszego trudu. Znacznie bardziej dokuczliwe - i nieoczekiwane - okazaly sie ich dwumetrowe, gietkie jak biczem ogony, których wczesniej nikt jakos nie zauwazyl. Gdyby pierwsze chlasniecie takim biczem wyladowalo nie na jego plecaku, a gdzie indziej, bez watpienia pozostawiloby bolesna prege albo nawet gleboka cieta rane. Tym razem wladze nad ciałem Pyre'a musial przejac nanokomputer, pozwalajac mu zachowac równowage podczas biegu.

Do skraju lasu pozostalo mu juz tylko kilkanascie metrów i kiedy pedzace stado znalazlo sie bardzo blisko, Pyre skrecil w bok i mknal dotad, az rzuciwszy za siebie blyskawiczne spojrzanie, stwierdzil, ze widzi tylko zielen.

Przystanal i przez dluzsza chwile tkwil bez ruchu z wlaczonymi wzmacniaczami wzroku i sluchu. Obracal sie powoli, by jak najlepiej zapoznac z nowym otoczeniem. Stopniowo tetent kopyt bololinów cichl, dzieki czemu Pyre mógł slyszec przeróżne cwierkania, szczebioty i piski ptaków, owadów i Bóg wie jeszcze jakich stworzen. Miedzy drzewami i pod krzakami dostrzegal jakies mniejsze czworonogi, a raz wydalo mu sie, ze slyszy odglosy polowania jakiegos o wiele wiekszego zwierza.

Z wolna zaczelo mu switac w glowie, ze moze to nie byl najrozsadniejszy pomysl, jaki mu kiedykolwiek przyszedl na mysl.

Nie pozostawalo jednak nic poza dokonczaniem tego, co zaczal, i wywiazaniem sie z obietnicy, jaka zlozyl gubernator Telek. Postawiwszy swój ekwipunek obok pnia duzego drzewa, upewnil sie, ze jego wzmacniacz sluchu jest nastawiony na maksimum, po czym zabral sie do pracy.

Rozdzial jedenasty

- Jezeli gdziekolwiek istnieje swiat idealnie nadajacy sie do kolonizacji, jest nim z cala pewnoscia ten - odezwal sie z satysfakcja kapitan Shepherd.

Patrząc na szarobrazowy krajobraz, Jonny musiał przyznać mu rację. Jakkolwiek był powód, że w tym zakątku przestrzeni nie istniało nic oprócz cząstek kwasów nukleinowych, było jasne, że Kubha stanowi tego najlepszy przykład. Na planecie nie spotykało się niczego poza najbardziej prymitywnymi formami życia: jednokomórkowymi roślinami i stworzeniami oraz co najwyżej kilkoma setkami bardziej złożonych organizmów. Był to więc stan prawie całkowitej pustki, gotowej na przyjęcie każdego ekologicznego wzorca, jaki zechce narzucić planecie grupa pierwszych osadników.

Rzecz jasna, każdego wzorca, który mógłby przetrwać panujące tu upały.

Młody biolog z ogromnym trudem wspinał się na szczyt pagórka, na którym stali Jonny i kapitan Shepherd. Do piersi ostrożnie przyciskał pojemnik wypełniony po brzegi pobranymi przed chwilą próbkami.

- Dzień dobry panom - powiedział i kiwnął głową, zdmuchując przy tej okazji krople potu z czubka nosa. - Zapewne chcieliby panowie rzucić okiem na wstępne wyniki

testów porównawczych, zanim przekaże je do bazy danych komputera.

Jonny postarał się ukryć uśmiech, kiedy on i Shepherd pochylili się nad próbkami, żeby spojrzeć na mieszaniny miejscowych i awentynskich komórek. Tak jak przedtem na Chacie i Fusonie, tak teraz na Kubhie naukowcy nie szczędzili staran, żeby przekonać kapitana Shepherd'a o potrzebie poświęcenia na pobieranie i badanie próbek większej ilości czasu, a usiłowanie zainteresowania go wynikami było jednym z bardziej subtelnych sposobów osiągnięcia zamierzonego celu. Rzecz jasna, z góry skazanym na niepowodzenie. Rada stanowczo oświadczyła, że ma to być tylko wstępna wyprawa rozpoznawcza, a Shepherd był znany z tego, że zawsze bardzo poważnie traktował wydawane mu rozkazy.

- Ciekawe - rzekł kapitan i pokiwał głową, zwracając próbki biologowi. - Lepiej niech pan zostawi je w zamrażarce, jeżeli chce pan mieć więcej czasu na zbieranie następnych. Odlatujemy mniej więcej za dwie godziny.

Przez twarz biologa przemknął cień niezadowolenia.

- Tak jest - powiedział i odszedł w stronę „Menssany”.

- Wie pan o tym, że jest pan bezdusznym formalistą całkowicie pozbawionym zadziwy przygód? - zapytał go na wpół żartobliwie Jonny.

Wargi Shepherd'a lekko drgnęły.

- Tak o mnie powiadają. Rada jednak nakazała mi dokonanie krótkiego zwiadu, a ja mam zamiar ten rozkaz wykonać. Poza tym chciałbym być z powrotem, kiedy wróci „Dewdrop”, tak na wszelki wypadek, żeby...

- Cześć, Chrys - przerwał mu Jonny i odwrócił się, kiedy do nich podeszła, by ją powitać. Jego wzmacniacz słuchu uchwycił odgłosy jej cichych kroków, a ostatnia rzecz, jaką Jonny zamierzał zrobić, było przypomnienie żonie o „Dewdrop” z dwoma ich synami na pokładzie przebywającej teraz na obcej, niegospodniej ziemi. - Co o tym wszystkim sądzisz? - dodał, gestem pokazując krajobraz.

- Jak na mój gust, zbyt tu pusto - powiedziała, krećcąc głową. - Zawsze bałabym się, że tu straszny. Poza tym nie usmiechałoby mi się smażenie się w tym upale.

Uwaznie popatrzyła na Jonny'ego

- A co ty o tym sadzisz? - zapytala.

- Cos pieknego - odparl jak najbardziej powaznie. - Ten upal nie tylko pomaga na mój artretyzm, ale takze przyspiesza bicie serca i krazenie, tym samym chociaz troche kompensujac moja anemie.

- Czy to znaczy, ze chce pan zamienic anemie na atak serca? - burkнал Shepherd. - Wspaniale. Czy nie bylyby jednak lepiej spedzic czas do startu na pokladzie, panie gubernatorze?

- Mojemu sercu nic nie bedzie - sprzeciwil sie Jonny. - Wszystko wskazuje na to, ze pozyje jeszcze dwa lata po mojej smierci.

- Jasne, z pewnoscia - odrzekl Shepherd i kciukiem pokazal w strone „Menssany”. - Prosze na poklad, panie gubernatorze. Niech pan uwaza to za rozkaz.

Przez chwile Jonny'ego kusilo, zeby demonstracyjnie uznac sie za osobe nie podlegajaca kapitanskim rozkazom. Czul sie o wiele lepiej od chwili, kiedy znalazl sie na swiezym powietrzu - zwlaszcza w miejscu, w którym nie czyhalo na niego nic majacego kly, pazury, szczeki albo zadla. W ciagu kilku ostatnich godzin przed odlotem bardzo chcial móc nacieszyc sie tym nowym swiatem. Pamietal jednak o tym, co obiecal Chrys...

- No dobrze, niech bedzie - mruknal w koncu. - Prosze jednak pamietac, ze protestowalem.

Odwróciwszy sie, razem z Chrys zszedl ze wzgórze.

- Przynajmniej w tym wypadku rada nazwala ja we wlasciwy sposób - odezwala sie Chrys, kiedy znalezi sie na równym terenie i mogli zwolnic kroku.

- Nazwala co we wlasciwy sposób? Kubhe?

- Uhm. Wiesz, te piec gwiazd Poludniowego Krzyza asgardzkiego gwiazdozbioru...

- Wiem, w jaki sposób nadawano tym planetom nazwy - przerwal jej Jonny.

- No cóz, tak sie sklada, ze tamta Kubha jest najcieplejsza z tamtych planet, a ta Kubha jest najgoietsza z tych, przynajmniej na razie. To musi byc jakis omen.

Jonny obruszył sie.

- Nie przypisujmy ani radzie, ani wszechswiatowi az takich zaslug - powiedzial.

Twarz Chrys pojasniala w usmiechu.

- Hej, rozchmurz sie - rzekla, ujmujac go pod reke. - Na razie wszystko idzie bardzo dobrze. Szczescie Jonny'ego Moreau nadal cie nie opuszcza, chociaz postanowiles sie wybrac tylko na wycieczke.

- Mhm. Jezeli nie liczyc takich drobiazgów jak obecność jadu zmijownika w analizatorze kwasu nukleinowego...

- To juz naprawione - powiedziala. - Udalo sie nam to zrobic zaledwie przed dziesiecioma minutami.

Wlasnie dlatego moglam wstac od biurka i wyjsc, zeby zaciagnac cie na poklad, choc kopiesz i wrzeszczysz.

Pokrecil glowa z udanym rozdrazzeniem.

- Granie roli beztroskiego pasazera wychodzi ci jeszcze gorzej niz mnie.

- A ty jestes tym zachwycony. No, przyznaj, ze mam racje.

- Dlaczego? I tak przeciez odeslesz mnie do mojego pokoju - odparl, starajac sie nasladowac glos rozkapryszonego pieciolatka. - A zawsze mi mówilas, ze chcesz, zebym w pogodne dni bawil sie na powietrzu.

Szturchnela go pod zebro.

- Przeszan sie wyglupiac. Napadów zlego humoru dzieci mialam powyzej uszu juz dawno temu.

Uchwycil jej reke i przelozyl w taki sposob, by Chrys objela go nia w pasie. Przez chwile szli, nie mówiac do siebie ani slowa.

- To bylaby idealna planeta do kolonizacji, prawda? - zapytala w koncu półglosem. - Tym trudniej bedzie nam odmówic.

- Troftom? Kiwnela glowa.

- Rada z pewnoscia zapragnie tego swiata, a prawdopodobnie takze innych. A jesli zechce je posiasc, bedzie musiala sie zgodzic na wypowiedzenie wojny Qasamanom... bez wzgledu na to, czy to rozsadne, czy glupie.

Jonny skrzywil sie. Myslal mniej wiecej o tym samym od czasu, kiedy zobaczyl pierwsza z tych pieciu planet.

- Pozostaje nam tylko miec nadzieje, ze raport „Dewdrop” okaże sie tak bezsporny, ze w kwestii podjecia decyzji w tej sprawie nasze stanowisko nie bedzie musialo byc brane pod uwage.

- Raport „Dewdrop” opracowany przez Lizabet Telek? - rzekla Chrys i fuknela. - Chyba zartujesz. Tak bardzo zalezy jej na tych swiatach, ze juz teraz uwaza je za swoja wlasnosc. Jezeli zas chodzi o Qasaman i ich umiejetnosc walki, w jej raporcie beda wygladali jak sparalizowane porongi.

- No, nie wiem, czy potrafi dzialac az tak podstepnie - sprzeciwil sie lagodnie Jonny. - Majac na pokladzie Alma, Justina i Joshue, zapewne nie bedzie mogla tak bardzo sie mijac z prawda.

Mimo to - pomyslal, kiedy minal Kobre pilnujacego wejscia do sluzы „Menssany” i znalazl sie w klimatyzowanym, niemal lodowato zimnym wnetrzu statku - moze nie zaszkodzi zlagodzic o stopien czy dwa wymowy naszego raportu. Na przyklad podkreslic stada plaskokopytnych czworonogów na Chacie czy plujace jademy wezowniki na Fusonie. Kazda planeta ma przeciez swoje wady... a naszym zadaniem jest tylko przedstawic je we wlasciwym swietle.

I miec nadzieje, ze rada nie potraktuje ich zbyt powaznie. Jak zwykle, chlodne powietrze statku juz zaczynalo fatalnie wplywac na jego dreczone artretyzmem stawy, przypominajac mu przy kazdym ruchu, ze ostatnio zaniedbal troche zazywanie lekarstw. Z pewnoscia nie zniósłby, gdyby bez istotnego powodu

zrezygnowano ze swiata tak idealnego jak Kubha.

Czy warto toczyc o niego wojne... no cóz, tej decyzji nie musial jeszcze podejmowac.

Rozdział dwunasty

Zwiedzanie Sollas i jego najbliższych okolic trwało pełne sześć dni, w czasie których Cerenkov nie mógł wyjść z podziwu, w jaki sposób Qasamanie potrafili zająć im tyle czasu, nie pokazując właściwie niczego ciekawego.

A przynajmniej niczego, co miałyby jakiegokolwiek istotne znaczenie. Spędzili wiele godzin na zwiedzaniu galerii sztuki, muzeów i parków, a wieczory zajmowały zazwyczaj koncerty i pokazy tańca w sali widowiskowej przydzielonego im domu, a także długie rozmowy z burmistrzem Kimmeronem lub z innymi wysoko postawionymi osobistościami. Mimo wielokrotnych, chociaż bardzo uprzejmych prośb Cerenkova, nie pokazano przybyszom niczego przypominającego ośrodki łączności czy komputerowego przetwarzania danych. Nie pozwolono im też zapoznać się z możliwościami zakładów przemysłowych miasta.

A tymczasem takie zakłady musiały istnieć. Czasami gościom udawało się zobaczyć wiodące do miasta drogi, a panujący na nich niewielki ruch upewnił ich, że nie wszystkie potrzebne mieszkańcom Sollas rzeczy sprowadzono spoza miasta.

- Muszą znajdować się pod ziemią - stwierdził pewnego wieczoru Rynstadt, kiedy wszyscy czterej zwiedzający odpoczywali w świetlicy łączącej obie przydzielone im sypialnie. - I to największe rafinerie, przedsiębiorstwa produkcyjne, zakłady przerabiania odpadów i tak dalej. Może istnieje nawet cała sieć podziemnych tuneli, którymi transportują te wszystkie wytworzone rzeczy.

- Z wyjątkiem niewielkich fabryk takich jak tamta rafineria boru, która udało się nam zobaczyć pierwszego dnia? - wtracił Cerenkov, wzruszając ramionami. - To możliwe. Powiedziałbym nawet, że prawie pewne. Wydaje mi się jednak, że nie jest to najlepsze rozwiązanie.

- To zależy od tego, co sobie postawili za cel - wtracił się Joshua. - Pod względem estetycznym miasto jest czyste i piękne. Z pewnością przyjemnie w nim mieszkać i odpoczywać, zwłaszcza jeżeli ktoś musi pracować przez cały dzień pod ziemią.

- A może - odezwał się cicho York - po prostu nie chcieli, żeby ważne ośrodki przemysłowe mogły być łatwo dostrzeżone?

Cerenkov poczuł, jak zaciska żeby, i z trudem zmusił się do zachowania spokoju. Nie mówiąc tego na głos, York sugerował, że nawet w tej chwili Qasamanie podsłuchują, o czym mówią ich goście, i dlatego kierowanie rozmowy na tematy wojskowe może być niebezpieczne. Z drugiej strony, unikanie rozmów na tak oczywiste tematy jak obronność mogło wyglądać jeszcze bardziej podejrzanie. Dopóki więc

York za bardzo nie ujawnia swoich profesjonalnych zainteresowań...

- O czym myślisz? - zapytał. - Ze umieścili wszystko pod ziemią, żeby chronić swoją bazę produkcyjną przed atakiem?

- Albo przed zauważeniem - powtórzył York. - Przypomnij sobie, co zakładaliśmy na początku. Ze są to potomkowie emigrantów, a może uchodźców, uciekających przed rzeczywistymi lub urojonymi prześladowaniami. Zapędzili się dalej, niż zamierzali, a później osiedli na Qasamie, ponieważ napędu umożliwiającego loty międzygwiazdowe ich statku nigdy nie dało się już naprawić.

- Czy sądzisz, że po drodze mogli natknąć się na jakiś statek Troftów? - zapytał Joshua. - Kiedy odlatywali, Dominium zapewne nie wiedziało nic ani o nich, ani o Minthistach. Gdybym ja po raz pierwszy zobaczył taki statek obcych istot, zmykałbym tak długo, aż skończy mi się paliwo.

York kiwnął głową.

- Domyslam się, że i oni zrobili to samo. Wydaje mi się, że odlecieli na taką odległość od Dominium, na jaką pozwalały im zbiorniki paliwa ich statku. - Popatrzył na Cerenkova. - Przypuszczam, że od samego początku zaczęli budować swoje miasta pod ziemią, a zdecydowali się przenieść ich część na powierzchnię dopiero wówczas, kiedy zabrakło im miejsca pod powierzchnią i nie pojawił się nikt, kto chciałby ich zniszczyć.

- A później się okazało, że zbudowali je na samym środku szlaku, po którym wędrują stada bololinów - westchnawszy, powiedział Cerenkov. - Z pewnością ktoś zaplanował to niezbyt mądrze.

- To jeszcze nie wyjaśnia, skąd wzięły się tamte wioski - odezwał się w zamysleniu Rynstadt. - Może jutro dowiemy się o nich czegoś więcej. Zakładając, że nie odwołają tej wycieczki.

Cerenkov wzruszył ramionami.

- O ile mi wiadomo, Moff i reszta zamierzają wywieźć nas z miasta z samego rana...

Przerwał, kiedy z oddali dobiegł ich dobrze im znany dźwięk syreny alarmowej. York skrzywił się.

- Znów bololiny. Myślę, że na ich miejscu wolalbym jednak pozostać pod ziemią, dopóki nie wymyślilibym sposobu, żeby trzymać te przekleste stworzenia z daleka od miasta.

Dobrze chociaż, że o tej porze ulice są wyludnione - pomyślał Cerenkov. - A przynajmniej powinny być. Ciekaw jestem, ilu ludzi ginie przez nie każdego roku.

- Sądzę, że musieli mieć jakiś inny powód - powiedział. - Może Moff któregoś dnia pusić parę i zechce nam to wyjaśnić.

Pierwszy raz w ciągu całego tygodnia jestem na tyle blisko, że mogę któregoś zabić - pomyślał Pyre - a to przekleste stado musiało wybrać się na wędrowkę nocą.

Z jego punktu widzenia sprawa, rzecz jasna, nie wyglądała tak źle. Dzięki wzmacniaczom wzroku mógł widzieć wszystko tak dobrze jak w pochmurne popołudnie, a z pomocą urządzeń powiększających obraz potrafił nastawić celownik na jakiegokolwiek pojawiającego się nad budynkami miasta tarbina. Po uchwyceniu go przez system naprowadzania na cel, mógł śledzić wybranego ptaka, dopóki nie znajdzie się nad lasem, a tam zestrzelić go bez obawy, że ktoś zauważy błysk lasera.

Problem polegał na tym, że o tej porze większość Qasaman przebywała w domach. Oznaczało to, że tylko niewiele bololinów padnie od kul na ulicach miasta, a w związku z tym niewiele zapłodnionych przez mojoki tarbinów nadleci, żeby mógł na nie zapolować. Mruczac do siebie coś pod nosem, Pyre zacisnął w myślach kciuki i czekał na pojawienie się stada.

W końcu się doczekał, a wówczas się okazało, że jego pragnienia zostały spełnione, choć w dość nieoczekiwany sposób. Po drugiej stronie lotniska - mniej więcej o pół kilometra i na północny wschód od miejsca, w którym się znajdował - nagle w wysokim, smukłym budynku, który załoga „Dewdrop” na własny użytek ochrzciła mianem wieży kontrolnej, otworzyły się jakieś drzwi, oświetlając grupę wychodzących na pas startowy Qasaman. Po chwili tuż przy wyciągniętych dłoniach pojawiły się błyski światła, a kiedy kilka mojków poderwało się w powietrze, do uszu Pyre’a doleciały odgłosy strzałów. Czekal więc cierpliwie, znów zwróciwszy uwagę na stado. Po kilku następnych chwilach zaczęły pojawiać się tarbiny.

Możliwość naprowadzania na wiele celów równocześnie nie była standardową cechą wyposażenia wzmacniaczy wzroku Kobr od czasu wojny z Troftami, ale grupa Pyre’a została w nie wyposażona i wprawiała się w ich używaniu przed odlotem na Qasame, tak że Pyre nauczył się daryć dużym szacunkiem nie tylko zalety, ale i wady tych urządzeń. Po uchwyceniu w celownik jednego lub kilku tarbinów, jego nanokomputer i serwomotory miesi automatycznie pilnowały, żeby pierwsze strzały z laserów trafiły w zamierzone cele - i to nawet, gdy w pobliżu znajdował się jakiś drapieżnik, z którym powinny się rozprawić wcześniej. Pyre od czasu opuszczenia „Dewdrop” napotkał co najmniej dwadzieścia takich zwierząt - większość była podobna do ziemskiego psa albo małpy - ale żadne nie odważyło się go zaatakować. Ryzyko jednak istniało zawsze i Pyre musiał się z tym pogodzić. Nasłuchując więc, czy nie usłyszy jakichś podejrzanych dźwięków, uruchomił system naprowadzania na cel i czekał.

Nie musiał czekać długo. Tak jak przedtem, mojoki zaatakowały od góry, bez trudu radząc sobie z tarbinami, które próbowały uniknąć swojego losu. Tarbiny poderwały się jednak na tyle wcześnie, że większość nadleciała nad skraj lasu, jeszcze zanim ich mojoki zdążyły się od nich oderwać. Pyre nastawił celownik na dwa tarbiny, kiedy dopiero zbliżały się do skraju lasu, a później, tknięty jakimś przekornym impulsem, namierzył także jednego z trzymających je mojków. Ptaki zanurkowały między galezie drzew, oderwały się od siebie... a Pyre, wyciągnawszy ręce, trzykrotnie wystrzelił z laserów małych palców dłoni.

Trzy ptaki spadły na lesne poszycie. Zaszleściły uschnięte liście. Pyre podskoczył do nich i schylił się, by je podnieść, a potem szybko odbiegł na bok, nie chcąc dać się stratować zbliżającemu się stadu. Starając się trzymać przez cały czas z boku, przebiegł wraz z nim kilkaset metrów. Później, stanawszy na prawej nodze, uniósł poziomo lewą, zatoczył nią niewielki luk i wystrzelił z umieszczonego w niej przeciwpancernego lasera.

Pnie rozbłysły, odbijając światło, a trafiony bololin zwałił się na ziemię. Jego tarbin poderwał się i poszybował w niebo, ale nie zdążył przelecieć nawet dziesięciu metrów, kiedy trafił go następny strzał z lasera Pyre’a.

Po kilku minutach stado bololinów minęło go i zniknęło w mroku, a później stopniowo nastąpiła głucha cisza. Podniósłszy ostatniego tarbina, Pyre udał się ze zdobyczą w głąb lasu, gdzie ukrył składane zamrażarki. Wyciągnął je ze schowka i w środku umieścił zabite ptaki. Po chwili, kucnąwszy pod pniem jakiegos dużego drzewa, postanowił zaczekać, nie spuszczać oka z zabitego przez siebie bololina.

Czekał tak przez godzinę, aż w oddali całkowicie ucichły odgłosy krzataniny grupy Qasaman,

zbierających zabite zwierzęta. W tym czasie Pyre słyszał także, jak jeden zbliżył się do skraju lasu i zaczął pogwisdywać, szukając zapewne mojoka, którego zastrzelił Pyre. Zaden Qasamanin nie odważył się jednak o tak późnej porze zagłębić między drzewa i zaden nawet nie zbliżył się do miejsca, w którym czekał Kobra.

W końcu, kiedy wszyscy odeszli, Pyre mógł zacząć się przeniesieniem zabitego bololina w pobliże „Dewdrop”. Dzięki serwowatorom wspomagającym siłę mięśni nie było to bardzo trudne, ale aż czterokrotnie próbował uchwycić zwierzę w taki sposób, żeby nie stracić przy tym równowagi. Trochę czasu zmarnował też, szukając odpowiednio szerokiej ścieżki między drzewami, i kilkakrotnie się zastanawiał, jak, u diabła, te bestie radzą sobie z tym problemem.

W końcu jednak dotarł do miejsca, w którym zamaskował urządzenie do łączności laserowej. Włączył je i włożył słuchawki.

- Pyre do „Dewdrop” - mruknął. - Jest ktoś w domu?

- Tu porucznik Collins - usłyszał prawie natychmiast. - Sądzę, że gubernator Telek i wszyscy inni są wciąż w świetlicy. Proszę chwilę zaczekać, zaraz pana połączę.

- Świetnie - odparł Pyre.

Po chwili usłyszał w słuchawkach głos Teleka.

- Almo? U ciebie wszystko w porządku?

- Jak najbardziej. Mam tu ze sobą zabitego bololina i dwie zamrażarki pełne mojoków i tarbinów. Chce pani, żebym rozstawił aparaturę, czy woli pani zaczekać, aż dostarczę je sam na statek?

- Masz tarbina? To wspaniale! Zapłodnionego czy nie?

- Mam i takiego, i takiego. Właśnie z tego powodu dysponuję nadprogramowym bololinem.

- Aha. Rozumiem. No cóż... sądzą, że powinnam zacząć od bololina, zanim dobierze się do niego jakiś padlinożerca. Czy umiałbyś podłączyć połowy analizator do urządzenia łączności laserowej?

- Oczywiście.

Rozstawienie połowego analizatora i podłączenie jego systemu sterowania do gniazda telemetrycznego urządzenia laserowego zajęło mu tylko kilka minut. W czasie, kiedy był tym zajęty, Telek włączyła swój pokładowy pulpit kontrolno-sterujący, wyposażony w monitory.

- U mnie wszystko gotowe - powiedziała. - A teraz odsun się trochę na bok.

Zdalnie sterowany automat analizatora, przypominający trochę duża, podwójna rozgwiazda z wystającymi z przodu licznymi chwytakami i manipulatorami, podpełzł do boku bololina i zatrzymał się w miejscu, w którym u ziemskich zwierząt znajdowało się zazwyczaj serce. Z jednego ramienia wysunął się ostry skalpel, który rozciął ciemną skórę na boku zwierzęcia. Pyre upewnił się tylko, że rejestrujące kamery analizatora zostały dobrze przymocowane do pni sąsiednich drzew, a później oddalił się i zaczął zataczać kregi wokół miejsca akcji. Ani on, ani Telek nie mogli dopuścić do tego, żeby w tej sekcji zwłok przeszkodził im jakiś padlinożerca czy zablakany Qasamanin... a poza tym Pyre nie bardzo chciał być świadkiem tego, co się dzieje.

Minely trzy godziny, zanim powrót automatu na ziemi zasygnalizował, że operacja dobiegła końca... pozostałe po niej szczatki w najmniejszym nawet stopniu nie przypominały bololina. Starając się patrzeć w inną stronę, Pyre ponownie włożył słuchawki.

- Pyre - powiedział do mikrofonu.

- O, dobrze, że znów jesteś.

Jeżeli Telek była zmęczona, po jej głosie nie można było tego poznać.

- Nie chciałbys teraz otworzyć jednej z tych zamrzązek i wydostać z niej tarbinę? Myślę, że byłoby lepiej zacząć od tego niezapłodnionego.

- Jest pani pewna, że woli pani dokonywać tej operacji tutaj? - zapytał ją z powątpiewaniem.

- Dysponując tym automatem, mogę zrobić to równie sprawnie tam, jak w laboratorium - zapewniła go Telek. - A bardzo zależy mi na uzyskaniu odpowiedzi, zanim będziemy musieli odlecieć. A przynajmniej upewnij się, że wiem, o co powinien pytać Yuri.

- Pani tu rozkazuje - odparł.

Odszukał właściwe urządzenie, otworzył je, wyjął ze środka zamrożonego ptaka i ułożył go na ziemi na kawałku wolnego miejsca. Automat nasunął się na niego, a Pyre zajął się znów patrolowaniem lasu.

Powracał jeszcze dwukrotnie: po raz pierwszy, żeby zastąpić leżące szczatki zapłodnionym tarbinem, i powtórnie, by ułożyć mojoka. Za każdym razem zastanawiał się, jak długo jeszcze Telek będzie mogła przeprowadzać tak delikatne operacje bez snu czy chociażby krótkiego odpoczynku. Ona jednak najwyraźniej była w swoim żywiole. Kiedy światelko sygnalizujące prace automatu w końcu zgasło, niebo na wschodzie zaczęło lekko jasnieć.

- No, i co? - zapytał Pyre, kiedy zaczął zbierać i składać części analizatora.

- Nie jestem jeszcze pewna - powiedziała z namysłem Telek. - Dane wydają mi się dość przekonujące... to raczej ja nie wiem, czy mogę w nie uwierzyć. Wygląda mi na to, że mojoki i tarbiny należą do dwóch całkiem różnych gatunków ptaków... a mojoki nie tyle zapładniają je, co zaszczepiają.

- Co robia?

- No cóż... jedyny zewnętrzny organ płciowy mojoka przypomina organiczną igłę od strzykawki. Funkcjonuje zaś w taki sposób, że wstrzykuje płyn nasienny, który zamiast kompletnych komórek spermowych zawiera same jadra, bardzo podobne zresztą do tych, jakie mają wirusy. Te jadra... wciąż jeszcze są to wstępne dane, ale wygląda na to, że wnikają w niektóre komórki na grzbiecie tarbiny i zamieniają je w embriony mojoków.

Pyre przez cały ten czas wpatrywał się w rozwłócone po ziemi szczatki mojoka. W brzasku budzącego się dnia było widać, że zaczynają się już interesować nimi pierwsze owady i robaki.

- To... to wstretne - powiedział w końcu.

- Też jestem tego zdania - westchnął, zgodziła się z nim Telek. - Ale im dłużej o tym myślę, tym

bardziej to wszystko układa się logicznie. W ten sposób mojoki powierzają zarówno karmienie, jak i ochronę swoich młodych innym ptakom, prawdę mówiąc, całkiem odmiennym gatunkowo, i w ten sposób nie muszą się troszczyć o potomstwo.

- Ale co sprawia, że tarbinom chce się z tym wszystkim żyć, skoro w końcu i tak embriony mojoka je zabija? - sprzeciwił się Pyre. - I co z nauką, jaką większość młodych ptaków musi otrzymać od rodziców?

W słuchawkach usłyszał głos Christophera.

- Zapewne masz na myśli zachowanie się owadów. Jeden gatunek składa jaja w organizmie drugiego, który później staje się pożywieniem dla larw, kiedy te się wylęgają. W tym jednak przypadku młody mojok nie musi zabijać swojego nosiciela. Jeżeli zwrócisz uwagę na to, w jaki sposób układają się fałdy skóry i mięśnie na grzbiecie tarbina, będziesz wiedział, że może ona zostać rozdarta i później zasklepią bez wyrządzania ptakowi krzywdy i bez uszczerbku dla jego zdolności lotu.

- Rzecz jasna, jeżeli przyjąć, że mojok się wykluje, zanim stanie się zbyt duży - dodała Telek. - A jeżeli chodzi o naukę po wykluciu, mózg mojoka ma chyba większą proporcję bogatej w sieć nerwową części „pierwotnego programowania” niż mają zwierzęta ziemskie czy awentynskie, które zdarzyło mi się badać. To, rzecz jasna, na razie tylko przypuszczenia, qasamanska biochemia nie musi być analogiczna do naszej...

- A poza tym zwegliłeś część tkanki mózgowej, kiedy zestrzeliwałeś tego ptaka - wtracił się Christopher.

- Zamknij się, Bill - ofuknęła go Telek. - Tak czy inaczej, jest bardzo prawdopodobne, że młode mojoki po prostu rozrywają skórę na grzbiecie tarbina, a później odlatują każdy w swoją stronę i wiją sobie gniazda w lesie.

- Albo na ramionach Qasaman - rzekł Pyre i zmarszczył brwi, jak gdyby nagle przyszedł mu do głowy jakiś pomysł. - Na ramionach Qasaman... w taki sam sposób, w jaki tarbiny podróżują na grzbietach bololinów?

- Więc i ty dostrzegłeś to podobieństwo, prawda? - ucieszył się Christopher. - Najciekawszy w tym wszystkim jest fakt, że i tarbiny mają takie same organy płciowe w kształcie igieł jak mojoki.

- Tak samo zresztą jak bololiny - dodała Telek. - Chociaż Bóg jeden wie, jakie zwierzęta mogą być gospodarzami ich embrionów. Może obdarzają się nimi nawzajem, koniec łańcucha musi przecież funkcjonować w inny sposób.

- Każdy ma swoją rolę, co przed nim ucieka - cytował fragment starego powiedzenia Pyre.

- „...i swojego zająca, którego się boi” - dokonała za niego Telek. - I tak w nieskończoność. Jesteś trzecią osobą, która dziś w nocy zwróciła na to uwagę. Ja byłam pierwsza.

- Mhm. No cóż... czy nasza grupa zwiadowcza w dalszym ciągu wybiera się dziś na wycieczkę?

- Tak. Myślę, że powiadomimy ich o wynikach badań, kiedy się tylko zbudzą. Może Yuri będzie mógł wycisnąć z Moffa jeszcze trochę informacji.

Telek przerwała, a Pyre usłyszał stłumione ziewnięcie, przy którym aż trzasnęły stawy jej szczęki.

- Lepiej teraz wskakuj do spiwora i troche sie zdrzemnij, Almo - powiedziala - sadze, ze w tych okolicznosciach mozesz darowac sobie badanie tej nadrzecznej fauny, o którym mówiliśmy wczoraj... na jakis czas mam dosc danych, którymi musze sie zajac.

- Nie bede sie sprzeciwial - odrzekl Pyre. - Odezwe sie, kiedy sie obudze.

- Tylko postaraj sie, zeby cie nikt nie zauwazyl. Dobrej nocy... a moze raczej dobrego poranka.

- Tego samego pani zycze.

Wylaczywszy urzadzenie do komunikacji laserowej, Pyre poswiecil kilka nastepnych chwil na staranne zamaskowanie i jego, i elementów polowego analizatora. O kilkanascie metrów od tego miejsca roslo drzewo, w galeziach którego mial kryjówke. Drzewo bylo dosc grube i wysokie, a najnizsze galezie wyrastaly z pnia na wysokosci mniej wiecej pieciu metrów. Wspomagany przez serwomotory skok wyniósł go tam, a po wspieciu sie o kilka galezi wyzej Pyre dotarl do swego schronienia. Skladal sie na nie jednoosobowy wodoodporny spiwór-hamak zawieszony pod jedna z grubszych galezi i otoczony plecionka zrobiona z cienszych witek, sklejonych w konstrukcje przypominajaca klatke. Pyre czul sie co prawda troche dziwnie, kiedy musial tam zasypiac, ale uznal ja za najprostszy sposób zapewnienia sobie ochrony przed atakiem drapieznika, bez wzgledu na to, jak mocno by spal i jak cicho chcialby zblizyc sie do niego ów drapieznik.

Znalazszy sie w srodku, starannie zamknal wejscie klatki i z glebokim westchnieciem wsunal sie do hamaka. Przez minute rozwalal, czy nie nastawic alarmu, ale ostatecznie zrezygnowal. Jesliby dzialo sie cos zlego, ci na „Dewdrop” zawsze mogli sie z nim skontaktowac za pomoca tkwiacej mu w uchu awaryjnej minisluchawki. Gdyby zas bardzo dokladnie skupili strumien swiatla lasera, bylo malo prawdopodobne, zeby dostrzegl go nawet najbystrzejszy obserwator z wiezy kontrolnej po drugiej stronie lotniska.

Wieza kontrolna. Jego zapadajacy w sen umysl na chwile sie rozbudzil, kiedy Pyre przypomniał sobie grupe ludzi wybiegajacych z tego rzekomo opuszczonego budynku na lotnisko, zeby postrzelac do bololinów. Niewatpliwie ich obecność klóčila sie z funkcja, jaka oni przypisywali wiezy - od czasu ladowania „Dewdrop” nie pokazal sie ani jeden samolot. Jezeli wiec Qasamanie nie byli tam po to, by kierowac ruchem na lotnisku, co wlasciwe tam robili? Obserwowali statek gwiazdny przybyszów? To calkiem mozliwe. Dopóki jednak tylko obserwowali, nikomu to nie przeszkadzalo.

Zamknawszy oczy, Pyre postaral sie nie myslec o tajemniczych nie dajacych znaku zycia obserwatorach i po chwili zapadł w gleboki sen.

Rozdzial trzynasty

Na czas wyprawy do odleglych wiosk Moff zrezygnowal ze znanego im odkrytego pojazdu i zastapil

go niewielkim autokarem. Powodu tej decyzji nie trudno było się domyslić; zaledwie o kilometr od Sollas droga zaczęła prowadzić obok lasów, które widzieli, będąc na orbicie, albo przez nie.

- To zwykły środek bezpieczeństwa - powiedział im w pewnej chwili Moff, tłumacząc zmianę środka lokomocji. - Odkryte pojazdy są rzadko atakowane, nawet przez krisjawy, ale jednak od czasu do czasu to się zdarza.

Joshua wzdygnął się, kiedy o tym pomyślał, a potem po raz setny zaczął się zastanawiać, jaki diabeł opętał Pyre'a, że wybrał się sam do lasu - i co opętało Telek, że mu na to pozwoliła. Do szalu doprowadził go fakt, że ci z Dewdrop tak niewiele mówili im o wszystkim, co wiązało się z wyprawą Kobry. Uważał to za bardzo podejrzane. On i Justin podczas podróży z Aventyny często dyskutowali o powodach, dla których Pyre znalazł się na pokładzie statku, ale tej zagadki nie udało się im rozwiązać. Nigdy przedtem nie zastanawiał się, że może Telek chciała pozwolić, żeby zginął, eliminując tym samym przeciwnika, którego poglądy polityczne różniły się od jej własnych. Teraz jednak rozważał tę możliwość całkiem serio i im dłużej o tym myślał, tym mniej mu się to wszystko podobało.

Te problemy, przynajmniej na razie, nie były jednak największym powodem jego zmartwień. Pyre przekonująco udowodnił, że umie sobie radzić w qasamanskiej głuszy, a poza tym sensacyjne odkrycia biologiczne, jakich on i Telek dokonali w nocy, były zbyt fascynujące, by wolno mu było je lekceważyć. Wykształcenie Joshuy obejmowało tylko najbardziej podstawowe wiadomości z zakresu nauk biologicznych, ale nawet dla niego było jasne, że ekologia Qasamy bardzo różni się od czegokolwiek, co widział na światach Kobr, lub o czym słyszał w Dominium. Mógł tylko zgadywać, jakie ta odmiennosc może mieć znaczenie. Pozostali członkowie grupy zwiadowczej, rzecz jasna, także nie mieli szansy porozmawiania ze sobą na ten temat. Qasamianie nie mogli nawet podejrzewać, że przybysze coś wiedzą. Joshua dostrzegał jednak w oczach swoich kolegów te same trapiące ich wątpliwości. Spoglądając przez okno na jaskrawą zielen liści mijanych drzew, niecierpliwie czekał, aż Cerenkov zacznie ostrożnie wypytywać Moffa o rzeczy, o które poleciła dowiedzieć się Telek.

Cerenkov był jednak bardziej cierpliwy czy może tylko umiał utrzymać swoją ciekawość na wodzy trochę dłużej, gdyż zaczął, aż niemal cała pięćdziesięciokilometrowa podróż dobiegnie końca, zanim zdecydował się skierować rozmowę na te tory.

- Dostrzegam dosyć dużo małych ptaków latających między drzewami - odezwał się, wskazując na las.
- Nie widziałem jednak żadnych tak dużych jak mojoki czy ich samice, które zwiezie tarbinami. Czy wija gniazda w głuszy, czy też wychowują swoje młode w gąszczu kolców na grzbietach bololinów?

- Nie muszą ani wic gniazd, ani wychowywać młodych - rzekł Moff. - Młode mojoki rodzą się od razu z wszystkimi niezbędnymi im do przeżycia umiejętnościami.

- Naprawdę? A czy tarbiny nie muszą siedzieć w gnieździe przynajmniej przez czas potrzebny na wyklucie się pisklecia z jaja?

- Nie znoszą żadnych jaj. Młode mojoki rodzą się od razu jako żywe ptaki. W tym sensie zresztą większość podobnych do ptaków stworzeń nie jest ptakami w konwencjonalnym rozumieniu tego słowa.

- Aha.

Joshua niemal fizycznie czuł, jak Cerenkov stara się znaleźć takie pytanie, które nie ujawniłoby, że wie, iż Moff świadomie ich oszukuje.

- Interesuje mnie także związek, jaki istnieje między tarbinami a bololinami - powiedział w końcu. - Czy

tarbiny sa tylko pasożytami, czyms w rodzaju pasazerów na gape, czy tez moze daja cos bololinom w zamian?

- Nie, ich wzajemne stosunki sa oparte na wiekszym równouprawnieniu - odparl Moff. - Tarbiny czesto pomagaja bololinom broniec sie przed drapieznikami. Powszechnie sie tez sadzi, ze w locie wyszukuja im miejsca, gdzie rosnie najlepsza trawa.

- Sadzilem, ze bololiny wola wedrowac wzdluz linii pola magnetycznego planety - wtracil sie Rynstadt. - Czy moga zbaczac z drogi za kazdym razem, kiedy zechca zatrzymac sie na popas?

Moff obdarzyl go przeciągłym spojrzeniem.

- Oczywiście. Linie pola magnetycznego pomagaja im tylko w wędrowkach na północ do miejsc, w których sie parza, i z powrotem. W jaki sposób sie tego domysliles?

- Pomógł nam w tym widok szerokich ulic w Sollas - odezwal sie szybko Cerenkov, zanim zdazyl to zrobic Rynstadt. - Kierunki wszystkich tych ulic sa zgodne z kierunkami linii pola, a inne ulice sa zbyt wazkie, zeby któras moglo biec chocby male stado. Domyslalam sie, ze pytanie Marcka ma zwiazek z pewnym faktem, na który zwróciliśmy uwage w Sollas, kiedy zobaczyliśmy pedzace ulica stado. Otóż wszyscy mieszkancy stali wówczas u samych wylotów wazkich przecznic, jakby swietnie wiedzieli, ze zwierzeta nie zbocza z drogi ani troche. Jeden z naszych kolegów na pokladzie statku zastanawial sie nawet, czy istnieje cos, co nie pozwala zwierzetom zboczyć o włos z wybranej przez nie linii.

- Nie, rzecz jasna, nic takiego nie istnieje - odparl Moff. - W przeciwnym razie wiele rozbiloby sobie lby o sciany domów zamiast biec szerokimi alejami. - Tym razem w spojrzeniu, jakim obrzucil Cerenkova, kryla sie jawna podejrziwosc. - W jaki sposób wasz towarzysz na statku mógł wiedziec, gdzie stali mieszkancy miasta?

Serce Joshuy na chwile zamarlo. Qasamanie zadnym gestem ani slowem nie dali po sobie poznac, ze moga cos wiedziec o jego implantowanych czujnikach, ale poczul sie nagle tak, jak gdyby calej eskorty zwrócily sie w jego strone. W ulamku sekundy powrócil do czasów dzieciństwa, kiedy jego matka bez zadnego trudu umiala mimo jego niewinnej miny dostrzec, ze znów cos nabroil.

Cerenkov jednak nie przestal panowac nad sytuacja.

- To zadna tajemnica. My mu o tym powiedzielismy - oznajmil tonem, w którym dzwieczalo zdziwienie. - Opisalismy mu, co widzimy, kiedy ty i twoi ludzie polowaliscie na bololiny. Naszych kolegów interesowalo tez dziwne zachowanie mojóków... a przynajmniej wydalo im sie bardzo dziwne to, co wówczas moglem powiedziec im na ten temat. Czy bylo cos w rodzaju godowego tanca albo zachowania, które przeoczylem?

- Wyglada na to, ze za bardzo interesujecie sie mojókami - odrzekl Moff, swidrujac Cerenkova ciemnymi oczyma.

Ten tylko wzruszyl ramionami.

- Czy widzisz w tym cos zlego? Musisz przyznac, ze zwiazek Qasaman z nimi nie ma sobie równego w historii cywilizacji. Nie slyszalem o zadnym innym spoleczenstwie, w którym ludzie dysponowaliby tak wszechstronnym srodkiem zapobiegawczym. I to srodkiem obronnym, nie zaczepnym, jak noszona przez waszych obywateli bron palna. Nie watpie, ze musialo to doprowadzic do wyeliminowania wszystkich przejawów agresji, poczawszy od ulicznych bójek, a skonczywszy na wojnie na wielka skale.

Joshua zmarszczył brwi, kiedy sobie to uzmysłowil. Tak bardzo zajął się obserwowaniem drobiazgów i szczegółów qasamanskiego życia, że zupełnie przeoczył wzór, w jaki się układają. Cerenkov nie popełnił jednak tego błędu... a jeżeli jego wniosek był słuszny, może Troftowie mieli naprawdę o co się martwić. Cywilizacja ludzka mająca tyle silnej woli, by przełamać odwieczny nawyk polowania silniejszego na słabszego, musiała się nauczyć współpracy zamiast rywalizacji... i stać się potencjalną groźbą dla swoich sąsiadów bez względu na stopień rozwoju technicznego.

Tymczasem odezwał się znów Moff.

- Czy sadzisz, że osiągnęliśmy to dzięki naszym małym mojom? - zapytał, gładząc pióra na szyi ptaka.
- Nie uważasz, że to zasługa naszych ludzi i ich filozofii życia?

- Oczywiście, że tak - wtracił się znów Rynstadt. - Historia zna jednak wiele cywilizacji ludzkich, które długo i głośno mówiły o wolności i sprawiedliwości, a niczego właściwie nie zrobiły dla swoich obywateli. Wy, a zwłaszcza pierwsze pokolenie, które zaczęło oswajać mojomki, udowodniście, że ludzkość jest zdolna do wcielania w życie tych ideałów. Już samo to osiągnięcie sprawia, że kontakty między naszymi światami powinny okazać się korzystne, przynajmniej z naszego punktu widzenia.

- A zatem wasz świat nadal boryka się z wojnami? - zapytał Moff, zwracając się do Rynstadta.

- Na razie udaje się nam ich unikać - odparł wymijająco tamten. - W przeszłości zetknęliśmy się jednak z normalną ludzką agresją i trochę wysiłku nas kosztowało, zanim zdaliśmy się z nią uporać.

- Rozumiem. - Przez chwilę jechali w milczeniu, a później Moff wzruszył ramionami. - No cóż, jak pewnie się przekonacie, i my nie całkiem pozbyliśmy się agresji. Różnica polega tylko na tym, że nauczyliśmy się kierować ją na zewnątrz, ku zagrożającym nam niebezpieczeństwom, a nie do wewnątrz, na wasnie i walki między ludźmi.

To rzeczywiście niebezpieczne - pomyślał Joshua i po chwili, kiedy wszelkie rozmowy w autokarze umilkły, zobaczył odbicie tej samej myśli w oczach Cerenkova.

Po kilku następnych minutach ujrzeli przed sobą wioskę Huriseem.

Joshua pamiętał, że na pokładzie statku sprzeczano się, czy ciemne kregi wokół wioski naprawdę są murami, ale teraz, zbliżając się do osady, nie miał najmniejszych wątpliwości. Wzniesiony z ogromnych kamieni czy betonowych bloków i pomalowany na czarno mur otaczający Huriseem przywodził mu na myśl mroczny okres w historii cywilizacji Ziemi, na której toczono wówczas liczne, chociaż lokalne wojny. Widok muru w tym miejscu wydawał mu się przykrym zgrzytem, zwłaszcza po tym, co powiedział Moff zaledwie kilka minut wcześniej.

Usłyszał, jak siedzący obok niego York cicho chrząknął.

- Zaledwie trzymetrowej wysokości - mruknął. - I żadnych blanków ani strzelnic.

Moff jednak go usłyszał.

- Jak mówilem, nie prowadzimy tu wojen - powiedział (trochę cierpko - pomyślał Joshua). - Zadaniem tego muru jest nie dopuścić do wioski bololinów i innych o wiele groźniejszych od nich lesnych drapiezników.

- To dlaczego nie zbudowano wioski zgodnie z tym samym wzorem, co Sollas? - zdziwił się Cerenkov.
- W przypadku bololinów zdaje to egzamin całkiem dobrze, a nie widziałem żadnych drapiezników, które mogłyby chcieć się tam przedostać.

- Drapiezników nie widzi się w okolicach Sollas, bo mieszka tam zbyt wielu ludzi, a poza tym między miastem a lasem istnieje dość duża otwarta przestrzeń. Tutaj takie rozwiązanie byłoby nieskuteczne.

A więc wytnijcie część lasu rosnącego najbliżej wioski - pomyślał Joshua. Może jednak wycinanie lasów byłoby zbyt kłopotliwe.

Autokar w tym czasie jechał drogą wiodącą wzdłuż muru, aż dotarł do jego południowo-zachodniego skraj, gdzie w murze ujrzeli także pomalowane na czarno wrota. Widocznie nie tylko oczekiwano ich, ale i obserwowano, gdyż kiedy się do nich zbliżali, wrota zaczęły się otwierać. Autokar wjechał do środka, a Joshua obejrzał się za siebie i zobaczył, że wrota po chwili się zamknęły.

Ponury mur i otaczające wioskę lasy przygotowały podświadomość Joshuy na widok kilkunastu prymitywnych chat z dachami krytymi słomą, był więc trochę rozczarowany, kiedy wysiadł z autokaru i ujrzął ulice i domy niewiele różniące się od tych w Sollas. Z boku czekało już trzech mężczyzn, którzy podeszli do przybyszów, kiedy z autokaru wysiadł ostatni członek qasamskiej eskorty.

- Witam pana, burmistrzu Ingliss - odezwał się Moff i kiwnął głową. - Pozwoli pan, że przedstawię panu naszych gości z Aventyny: Cerenkova, Rynstadta, Yorka i Moreau.

Podczas gdy burmistrz Kimmeron z Sollas wyglądał na jowialnego, burmistrz Ingliss potraktował ich ze śmiertelną powagą i lodowatą uprzejmością.

- Witam w Huriseem - powiedział i także lekko kiwnął głową. - Jak słyszałem, chcielibyście dowiedzieć się czegoś więcej na temat życia mieszkańców naszych wiosek na Qasamie. Jeżeli wolno zapytać, jakiemu celowi ma to służyć?

A więc podejrzliwość Qasaman nie ogranicza się tylko do dużych miast - pomyślał Joshua. W pewien sposób był tym faktem rozczarowany jeszcze bardziej niż brakiem w Huriseem krytych słom dachów.

Cerenkov wygłaszał w tym czasie starannie przygotowane przemówienie na temat korzyści płynących ze wzajemnych kontaktów handlowych i kulturalnych, a Joshua mógł rozejrzeć się po okolicy. W Huriseem nie było wysokich, pięciopiętrowych i wyższych domów, jakie widział w Sollas; nie było też różnobarwnych abstrakcyjnych malowideł na ich murach, ale poza tym wioska sprawiała wrażenie przeniesionego skądś indziej kawałka dużego miasta. Nawet obecność muru nie raziła go teraz już tak bardzo i patrzył na niego przez dłuższą chwilę, zanim zdał sobie sprawę, że jego wewnętrzna ściana pomalowana w barwny wzór przypominający ulice, budynki i nawet fragmenty lasu. Dlaczego więc zewnętrzna ściana pomalowana jest na czarno? - pomyślał i w nagłym ośnieniu, zrozumiał. - Czarny to kolor pni drzew. Rozpedzonemu bololinowi wioska musi jawić się jako ogromne drzewo i dlatego stara się ją ominąć. To zaś oznaczało...

Sięgnawszy do szyi, zasłonił ręką mikrofon wiszący na niej tłumacza.

- Odkryłem - mruknął cicho. - Malowidła na ścianach domów w Sollas mają sprawiać wrażenie, że to kępy drzew w lesie... te same barwy i tak dalej. Wszystko po to, żeby bololiny nie wystraszyły się i biegły prosto.

Czekał na odpowiedź tak długo, że aż zaczął się zastanawiać, czy ktokolwiek na pokładzie „Dewdrop”

czuwa przy odborniku. W koncu uslyszal glos Nnamdiego.

- To ciekawe. Dziwaczne, ale calkiem mozliwe. Mysle, ze w duzym stopniu zalezy od tego, jak dobry wzrok maja bololiny. Gubernator Telek wciaz spi, ale powiem jej o tym, kiedy sie obudzi, a wóczas zobaczymy, czy bedzie wiedziala cos wiecej na ten temat.

- Swietnie - rzekl Joshua - ale czy w tym czasie ty nie potrafisz wymyslic jakiegos socjologicznego uzasadnienia, dlaczego tubylcy moga chciec, zeby stada bololinów przeciagaly centralnymi ulicami Sollas?

- Ten mur zadaje klam oswiadczeniu Moffa, ze po prostu nie moga powstrzymac ich od tego - stwierdzil po namysle Nnamdi. - Zaczekaj chwile... odwróc glowe troche w lewo, dobrze?

Joshua poslusznie obrócił glowe o kilka stopni w zadana strone.

- O co chodzi? - zapytal.

- O ten obramowany na czerwono napis w poblizu bramy. - Nic takiego nie widzialem w zadnym miejscu w Sollas. Poczekaj, uruchamiam translator wizualny...

Joshua przez kilka chwil stal nieruchomo, chcac, by jego czujniki przekazaly na statek wyrazny obraz.

- W porzadku - uslyszal glos Nnamdiego. - Napis glosi: Terminy polowan na krisjawy w tym miesiacu to ósmy i dwudziesty drugi o dziesiatej. Jak wiem, dzisiaj mamy ósmy, o ile prawdziwe sa dane, które uzyskalismy wczesniej. Ciekaw jestem, dlaczego zwracaja sobie glowy umieszczaniem takich ogloszen, skoro maja do dyspozycji tyle innych srodków komunikacji.

- Moze mala wioska nie posiada takiej samej sieci lacznosci kablowej jak Sollas - zasugerowal Joshua.

Wszystko wskazywalo na to, ze Joshua i Qasamanie koncza grzecznościowe rozmowy wstepne. Burmistrz Ingliss wskazywal wlasnie w strone odkrytego pojazdu bardzo podobnego do tego, którym przez caly tydzien poruszali sie po ulicach Sollas. - Spróbuje sie dowiedziec - dodal i opuscil reke.

Odsloniwszy w ten sposob mikrofon, uslyszal po chwili glos z translatora.

- ...mogli zwiedziec obszary zajete pod uprawy troche pózniej - mowil Ingliss. - W tej chwili wielu naszych mieszkanców jest zajetych polowaniem, nie mogliby wiec nam ich pokazac.

- Czy poluja na krisjawy? - zapytal Joshua. Ingliss popatrzyil na niego i kiwnal glowa.

- Tak, oczywiscie - odrzekl. - Tylko krisjawy i bololiny sa warte tego, zeby wyprawiac sie na nie w duzych grupach, a uslyszelibyscie sygnal alarmowej syreny, gdyby chodzilo o stado bololinów.

- Tak, Moff raz czy dwa wspominal nam o krisjawach - rzekl Cerenkov. - Odnioslem wrazenie, ze sa niebezpieczne, ale poza tym nie wiemy nic wiecej na ich temat.

- Niebezpieczne? - zapytal Ingliss i glosno zarechotal. - Wyjatkowo grozne. Maja ponad dwa metry dlugosci i metr wysokosci, a ich ostre, karbowane kly moga rozerwac czlowieka na strzepy doslownie w ciagu kilku sekund. Sa tak niebezpieczne, ze stwarzaja zagrozenie i dla naszych obywateli, i dla ich zwierzat.

- Przypominają mi trochę kolczaste lamparty - zauważył ponuro Rynstadt. - Nasze awentynskie drapieżniki, z którymi musimy walczyć od chwili, kiedy po raz pierwszy wylądowaliśmy na Awentynie.

- U nas nie zawsze działo się tak jak teraz - odrzekł Ingliss, potrząsając głową. - Nasze stare legendy głoszą, że krisjawy były na początku dość łagodne. Staraly się unikać naszych osad i zapewne godziły się też, żebyśmy jak i one polowali na bololiny. Zaczęły atakować nas dopiero znacznie później, kiedy doszły do wniosku, że chcemy pozostać tu na stałe.

- Albo gdy się zorientowały, że mięso ludzkie nadaje się na pokarm - zasugerował York. - Czy stało się to nagle, czy stopniowo?

Ingliss wymienił spojrzenia z Moffem, ale tamten tylko wzruszył ramionami.

- Tego nie wiem - powiedział. - Rejestry z tamtych pierwszych lat są bardzo niekompletne. Awaria, która nas tu unieruchomiła, zniszczyła większość elektronicznych urządzeń rejestrujących dane, a późniejsze zapiski historyczne nie zawsze zachowały się do naszych czasów.

W słuchawkach odezwał się znów głos Nnamdiego.

- Nie porzucajcie tego tematu, Yuri i pozostali - powiedział. - Jeżeli krisjawy naprawdę wykazują jakies ślady inteligencji, chcielibyśmy to wiedzieć.

- Pytałem o to, bo gdyby naprawdę „zorientowały się”, że chcecie osiedlić się tu na stałe, może są obdarzone jakas, chociażby szczątkową, inteligencją.

- Nasi biologowie także zastanawiali się nad tą hipotezą - odrzekł Moff - ale uznali ją za bardzo mało prawdopodobną.

- Krisjawy nie wykazują na przykład żadnej zdolności uczenia się - dodał Ingliss. - Obywatele naszych wiosek, a także niektórych miast, od czasu do czasu urządzają na nie polowania, w których uczestniczy do kilkudziesięciu mieszkańców i zaproszonych przez nich gości. A jednak krisjawy niczego się nie nauczyły i nadal podchodzą blisko naszych siedzib.

Joshue oślniło nagle zrozumienie.

- Ach, to dlatego umieszczacie przy wrotach muru ogłoszenia o terminach polowań na krisjawy - powiedział. - Po to, żeby wiedział o nich każdy, a nie tylko mieszkańcy wioski.

Ingliss kiwnął głową.

- Zgadza się. Stwarza to naszym ludziom możliwość doskonalenia strzeleckich umiejętności. Mile widziani są wszyscy, którzy chcieliby wziąć udział w łowach. Poza tym skóry upolowanych zwierząt stanowią bardzo cenne trofeum, a wielu naszych obywateli uważa mięso krisjawów za smaczniejsze od mięsa bololinów. Gdybyście zjawili się tu o godzinę wcześniej... ale nie, rzecz jasna, nie macie mojków. Nie widzę także u was żadnej broni.

- Wygląda na to, że liczba żyjących jeszcze zwierząt z każdym dniem szybko maleje - burknął York.

- To prawda - zgodził się z nim Ingliss, kiwnawszy głową. - A przynajmniej w gęsciej zaludnionych rejonach Qasamy. Może z moich słów wynikało, że naprawdę jest ich tak wiele i są takie groźne. Prawde mówiąc, pięćdziesięcioosobowa grupa może mówić o dużym szczęściu, jeżeli uda się jej

upolowac jedna lub dwie sztuki. W czasach, w których Huriseem była mała osada, można było stanąć na szczycie muru i zabijać jednego krisjawa co godzinę.

- Macie szczęście, że w ogóle ktos z was przeżył - stwierdził York.

Ingliss wzruszył ramionami. Gest ten był wykonany w nieco wolniejszym tempie niż jego awenturki odpowiednik.

- Już mówiłem, że zdaliśmy się tu zadomowić, zanim krisjawy zaczęły naprawdę nam zagrażać. A poza tym proces adaptacji mojków jako naszych osobistych strażników był wówczas dość zaawansowany. Zabrzmi to może jak ironia, ale jednym z głównych powodów była właśnie obawa przed atakami krisjawów.

- Myślę, że na dzisiaj wystarczy historii starożytnej - wtracił się Moff. - Nie mamy dużo czasu, jeżeli chcecie zapoznać się z życiem mieszkańców wioski, powinniśmy zacząć jak najszybciej.

Przez chwilę Joshua miał wrażenie, że twarz Moffa przybrała jakiś dziwny wyraz. Qasamanin odwrócił się jednak szybko w stronę otwartego pojazdu czekającego za plecami Inglissa i jego dwóch towarzyszy, a Joshua pomyślał, że pewnie mu się tylko wydawało.

Rozglądając się ciekawie, udał się wraz z innymi do pojazdu.

Minęło dosłownie kilkanaście lat od czasu, gdy gubernator Telek dokonywała tak szczegółowych celowniczych badań laboratoryjnych jak zeszłej nocy - a nigdy przedtem nie robiła tego za pomocą manipulatorów zdalnie sterowanego automatu. Kiedy powlóczyć nogami, pojawiła się około południa w świetlicy Dewdrop, wyglądała bardziej na umarłą niż żywą.

- Co ciekawego? - zapytała Nnamdiego, kierując się od razu w stronę stojącego w kacie dozownika z kahve.

- A co pani tutaj robi? - odparł tamten, unosząc brwi i spoglądając na nią ponad ekranem monitora. - Powinna być pani teraz w łóżku albo sporządzać raport.

- Powinnam dowodzić wyprawą - burknęła w odpowiedzi, przynosząc filiżankę z parującym napojem do stołu i ciężko siadając na krześle stojącym obok Nnamdiego. - Będzie mogła wypocząć w przyszłym roku. Christopher wciąż jeszcze śpi?

- Tak. Zostawił na mostku wiadomość, żeby obudzić go około czwartej.

Christopher nie robił właściwie nic więcej, tylko obserwował i od czasu do czasu komentował. Zdumiewające, jak bardzo może zmęczyć człowieka kibicowanie - pomyślała kwasno, ale po chwili skupiła uwagę na monitorze.

- Czy to może ta wioska, którą obiecał pokazać im Moff? - zapytała.

- Tak, Huriseem. Ten postawny gość w lewej części ekranu jest burmistrzem i nazywa się Ingliss. Obraz przedstawia wiejską wersję targowiska podobnego do tego, jakie widzieliśmy w Sollas. Z wyjątkiem, rzecz jasna, bololinów.

- A zatem wioska jest otoczona murem?

- I to solidnym. A Joshua doszedł niedawno do ciekawego wniosku na temat tych abstrakcyjnych malowideł na ścianach budynków w Sollas.

Telek słuchała jednym uchem, kiedy Nnamdi przedstawiał jej pomysł Joshuy, który sadził, że miasto miało wydawać się bololinom kępami różnobarwnych drzew rosnących w lesie. Reszta uwagi poświęcała smakowi i aromatom kahve, a także pozornemu chaosowi widocznemu na ekranie. Obserwując nieco mniejsze targowisko wioski, po raz pierwszy zauważyła na straganach wystawiane nie tylko towary, ale i reklamy usług. W jednym ze straganów, obsługiwanym zapewne przez przedsiębiorcę budowlanego, ujrzała na stojącym w glebi stole próbki cegieł i desek, a na ekranie umieszczonego na przedniej ladzie komputera widniało coś, co przypominało rysunek techniczny jakiegoś domu. Dlaczego więc nie handluje za pomocą komputera? - pomyślała Telek. - Tak bardzo cenia sobie osobisty kontakt z klientem? To możliwe.

Kiedy Nnamdi skończył referować jej pomysł Joshuy, wzruszyła lekko ramionami.

- Może ma rację. Sprawdź później i zobacz, czy uda mi się uzyskać komputerową estymację czułości wzroku bololinów. Uważam to jednak za głupie, żeby pomagać w ten sposób zwierzętom pedzić w poplochu ulicami miasta.

- Mniej więcej to samo powiedział Joshua - rzekł Nnamdi, kiwnąwszy głową. - Czy w tym wszystkim może być coś, czego nie dostrzegliśmy? Jakis wzajemny związek między ludźmi i bololinami?

- Nie sadzę, byśmy w ciągu zaledwie tygodnia dowiedzieli się wszystkiego o Qasamanach - odezwała się oschle. - To raczej niemożliwe. O co właściwie ci chodzi?

Nnamdi wykonał nieznaczny ruch ręką.

- No cóż... Sam tego jeszcze dobrze nie wiem. Może istnieje jakiś związek symbiotyczny podobny do tej, w jakiej żyją ludzie i mojoki.

- Jeżeli chcesz znać moje zdanie, nazwałabym mojoki raczej ulubieńcami niż symbiontami, ale jeżeli wżyc pod uwagę związek między bololinami a tarbinami, sadzę, że możesz mieć trochę racji.

Telek zmarszczyła brwi i popatrzyła przed siebie, usiłując przypomnieć sobie wszystkie formy symbiozy, z jakimi spotkała się w karierze zawodowej.

- Przychodzi mi do głowy tylko jedna możliwość - powiedziała. - Polowania na bololiny pozwalają Qasamanom wyladować nadmiar agresji. Mówiąc krótko, pozwalają im zachować spokój.

- Och, ich agresja wcale się nie wyladowuje, a tylko kieruje na inne tory - parsknął Nnamdi, pokazując obraz na ekranie monitora. - Przeczyła pani scenę wyprzedazy towarów w sklepie z kosztownościami w poprzednim domu. Ci goście pusciliby z torbami niejednego handlowca Troftów.

- Hmm. Może to logicznie kierować ją na takie tory, jeżeli mieć na uwadze, że obecność mojoków uniemożliwia im wzajemne walki. Na to i może jeszcze na politykę...

Przerwała tak nagle, że Nnamdi spojrział na nią.

- Co się stało? - zapytał.

- Nie jestem pewna - odparła, sięgając po mikrofon. - Joshua, obróć się powoli o trzysta sześćdziesiąt

stopni, dobrze?

Obraz na ekranie zaczął powoli się przesuwac, kiedy Joshua wykonywał otrzymane polecenie, zatrzymując się od czasu do czasu, gdyż udawał, że patrzy na stragan czy na coś innego... ale kiedy w końcu wykonał pełny obrót, podejrzenie Telek przerodziło się w nieuchronną pewność.

- Moff zniknął - powiedziała półgłosem do Nnamdiego.

- Co takiego?

Zmarszczywszy brwi, przysunął krzesło do stołu i nachylił się nad monitorem, jak gdyby miało mu to w czymś pomóc.

- To niemożliwe. Moff nie pójdzie nawet do łazienki, zanim się nie upewni, że grupa zwiadowcza stoi w takim kacie, z którego nie może się nigdzie ruszyć.

- Wiem o tym. Yuri, pozostali - nie ma Moffa. Czy któryś z was wie, dokąd poszedł, albo widział go, jak odchodził?

Przez chwilę panowała cisza. Później zobaczyła na samym skraju ekranu, że Cerenkov unosi rękę i zakrywa mikrofon tłumacza.

- Nawet tego nie zauważyłem, pani gubernator - powiedział. - Wokół nas kreci się tylu ludzi, że...

- Może właśnie dlatego wybrał to miejsce - przerwała mu Telek. - Czy ktoś z was zwrócił uwagę, czy Moff powiedział lub zrobił coś dziwnego?

Usłyszała cztery zaprzeczenia.

- No cóż. Starajcie się wszyscy go wypatrywać, ale tak, żeby to nie zwróciło nikomu uwagi, a kiedy się pojawi, spróbujcie zapamiętać wyraz jego twarzy.

Wylaczyła mikrofon i przez dłuższą chwilę siedziała w milczeniu, wpatrując się w ekran monitora.

- Jak pani sądzi, co to może oznaczać? - zapytał ją w końcu Nnamdi.

- Może nic. Mam nadzieję, że nic. Myślę jednak, że będę musiała przejrzeć taśmy z nagraniami tego, co robili dzisiaj rano, i przekonać się, czy sama nie zauważyła czegoś dziwnego w postępowaniu Moffa. Nie spuszczaaj oka z ekranów i daj mi znać, gdyby działo się coś niezwykłego.

Sięgnawszy po filiżankę z kahve, podeszła do wyłączonego monitora w kacie świetlicy i wystukała na klawiaturze polecenie wyświetlenia potrzebnych danych.

- Czy nie powinniśmy zaalarmować kapitana i Alma? - zapytał Nnamdi.

- Kapitana tak, ale niech nie przywiązuje do tego zbyt dużej wagi. Co do Alma... nie, na razie nic mu nie mów. Będzie mnóstwo czasu, by dowiedział się o tym, kiedy zorientujemy się, o co w tym wszystkim chodzi.

- Dobrze.

Telek skupiła uwagę na ekranie. Panujący na nim półmrok był przerywany jaskrawymi, krótkimi błyskami światła - qasamanskiego odpowiednika sygnału pobudki. Zarysy pokoju gwałtownie przesuwały się po ekranie, kiedy Joshua obracał się z boku na bok, a w końcu usiadł.

- Wstawaj, Marek - odezwał się do Rynstadta, leżącego na drugim łóżku. - Dzisiaj dzień pełen mocnych wrażeń.

- I co w tym niezwykłego? - zapytał tamten zaspanym głosem.

Sięgnawszy na osłep po filiżankę z kahve, Telek usiadła wygodniej i wpatrzyła się w ekran.

Rozdział czternasty

Błękit nieba nad Tacta zawierał trochę więcej czerwieni niż ten nad Chata czy Fusonem. Jonny zwrócił na to uwagę, kiedy przyglądał się skrajowi lasu odległemu zaledwie o piętnaście metrów od perymetru „Menssany”. Eksperci zdążyli dojść do wniosku, że zabarwienie to było skutkiem pyłów wyrzucanych do atmosfery przez liczne czynne wulkany zaobserwowane podczas okazywania Tacty. Dla przyszłych mieszkańców stanowiłoby to pewne zagrożenie, ale prawdopodobnie udało się je zmniejszyć przez umiejętny wybór miejsca pod przyszłe osady. Pogoda i klimat planety ulegały jednak zbyt szybkim i dużym zmianom - bez względu na rejon, w którym można byłoby założyć przyszłą kolonię ludzi - tak że Jonny, rozważwszy to wszystko, zdecydował, iż powinien umieścić Tactę na czwartym, dość odległym miejscu na liście pięciu planet.

Innymi słowy, Junca znalazłaby się w tej klasyfikacji na szarym końcu.

Spoglądając ponownie na skraj lasu, zobaczył siedzącego na jednej z grubszych gałęzi drzewa i patrzącego na niego dużego ptaka.

Z niedowierzaniem przyjął fakt, iż ani jego wzmacniacze wzroku, ani wzmacniacze słuchu nie ostrzegły go o tym, że nadlatuje. Dopiero w następnej chwili usiadł sobie, że zapewne ptak siedział nieruchomo na gałęzi od czasu, kiedy Jonny opuścił pokład statku. Nie dostrzegł go dlatego, że ptak się nie ruszał, a barwa upierzenia nie różnił się od tła lasu.

- Masz szczęście - mruknął Jonny w stronę dziwnego ptaka. - Nie ja decyduje o zbieraniu próbek fauny.

Obejrzał się usłyszawszy odgłos kroków za plecami. To była Chrysa, a na jej twarzy malował się lekki grymas niezadowolenia.

- Masz chęć być znowu politykiem? - zapytała. Jonny przeniósł wzrok z jej twarzy na krzaczki, jaka miała miejsce w chronionej przez pole przestrzeni między nimi a statkiem.

- O co chodzi? - zapytał, spoglądając znów na nią. Machnęła niecierpliwie ręką.

- O to samo, o co kłóca się od chwili, w której musieliśmy zmykać z Juncy - powiedziała. - Naukowcy chcą poświęcić oszczędzony tam czas na ponowne dokładniejsze zbadanie Kubhy lub Fusonu.

- A Shepherd pragnie skrócić wyprawę o te dwa dni i lecieć do domu, kiedy tylko zakończy badanie Tacte - dokończył za nią Jonny i ciężko westchnął. Miał już dość tych ciągłych kłótni, zwłaszcza że pierwsza odmowa Shepherd'a powinna rozstrzygnąć ten problem dawno temu. - Co więc chcesz, żebyśmy zrobił?

- Ja nie chcę, żebyś cokolwiek robił - odparła. - To Rey ma pewnie nadzieję, że mógłbyś wtrącić do ich sporu kilka właściwie dobranych uwag.

Innymi słowami, Banyon chciał, żeby spiorunował naukowców i zapędził ich z powrotem do laboratoriów. Jonny nie miał najmniejszych wątpliwości, jaki był pogląd Kobra na tę sprawę - to oni musieli dbać o bezpieczeństwo wyprawy, a zarazem wykonywać najcięższe prace, chcieli więc wracać do domu jak najszybciej. Podzielali te opinie zwłaszcza ci czterej, którzy wciąż jeszcze przebywali w pokładowym ambulatorium, lecząc rany odniesione podczas pośpiesznego odlotu z Juncy.

Z pewnością byłby to najprostszy sposób, żeby zakończyć ten spór raz na zawsze. Jonny Moreau, Kobra, emerytowany gubernator, miał na statku większy autorytet i władzę niż ktokolwiek inny na pokładzie, nie wyłączając kapłana Shepherd'a. Już otwierał usta, by odpowiedzieć, ale jeszcze raz popatrzył na minę Chrysa.

Była wściekła. Starła się to ukryć, ale Jonny znalazł ją zbyt dobrze, żeby tego nie zauważyć. Zmarszczki w kącikach zwichniętych oczu, nieznacznie zacisnięte usta, napięte mięśnie policzków i szyi - wściekłość, nie było wątpliwości. Wściekłość i rozgoryczenie.

W ciągu ostatnich kilku lat widywał ten sam wyraz jej twarzy aż za często.

W chwili, w której zdał sobie z tego sprawę, wiedział, jak powinna wyglądać jego reakcja na problemy uczestników wyprawy „Menssany”.

- No cóż, Rey i pozostali mogą zapomnieć, że tu jestem - powiedział. - Jeżeli Shepherd jest zbyt uprzejmy, żeby zapędzić naukowców kopniakami na pokład, musi pogodzić się z ich zrzeczeniem. Ja spędzam tu tylko wakacje.

Oczy Chrysa na chwilę się rozszerzyły, ale zanim na jej ustach pojawił się niesmiały uśmiech, Jonny ujrzał, jak rozluźniają się mięśnie jej twarzy i całego ciała.

- Zacytuje mu dokładnie twoje słowa - oświadczyła.

- Zrób tak. Ale przedtem rzuc okiem na niego - dodał, kiedy już miała odwrócić się i skierować z powrotem do obozu. - Wygląda mi na to, że zaczynamy zwracać na siebie uwagę miejscowych gapiów.

Ptaka nadal siedział nieruchomo i cicho na galezi.

- Dziwne - odezwała się Chrysa, spoglądając na ptaka przez szkła składanej lornetki. - Kształt dzioba wskazuje na drapieżnika, a nie na zwykłego owado- czy roślinozercę. Dowodzą tego także łapy.

Jonny powiększył czułość swojego wzmacniacza wzroku. Teraz, kiedy zwróciła mu na to uwagę,

stwierdził, że łapy ptaka rzeczywiście przypominają szpony kondorynki.

- Co w tym niezwykłego? - zapytał. - Skatalogowaliśmy przecież kilka gatunków gryzoni i mniejszych ptaków, które mogą mu służyć za pożywienie.

- Wiem... ale dlaczego siedzi nieruchomo i nic nie robi? Dlaczego nie poluje albo nie zajmie się czymś innym?

Jonny zmarszczył brwi. Ptak siedział jak posąg na niższej gałęzi, jak gdyby się obawiał, że może stracić jedyną osłonę, jaką zapewnia mu ściana lasu.

- Może jest ranny - odezwał się cicho. - Albo tylko się kryje przed jakimś większym drapieżnikiem.

Popatrzyli na siebie, a Jonny zobaczył w oczach Chrysa odbicie tej samej myśli, która i jemu przyszła do głowy. I zobaczył też, że wcale nie podobalo się jej to bardziej niż jemu.

- Przed... nami? - wypowiedziała w końcu głosno to, o czym myśleli oboje.

- Nie widzę niczego innego, przed czym mógłby się tu ukrywać - powiedział, spojrzawszy na puste niebo.

- Przed jakimś zwierzęciem ziemnym?... Nie. Każde zwierze nie większe od kota mogłoby bez trudu pochwycić go na tak małej wysokości - rzekła Chryś, przenosząc spojrzenie na ptaka. - Ale... skąd może wiedzieć, że...

- Musi być obdarzony inteligencją - stwierdził Jonny, nie zdając sobie sprawy z tego, jak bardzo zaczyna w to wierzyć, dopóki nie wypowiedział tych słów na głos. - Musi wiedzieć, że jesteśmy obcymi inteligentnymi istotami umiejącymi wytwarzać narzędzia. Zachowuje konieczne środki ostrożności. A może tylko czeka, aż podejmiemy jakieś próby nawiązania z nim kontaktu?

- W jaki sposób?

- Nie wiem... Może powinienem podejść do niego trochę bliżej.

Uścisk dłoni Chrysa na jego ramieniu był zdumiewająco silny.

- Sądziś, że to bezpieczne?

- Jestem Kobra, nie pamiętasz? - burknął, czując, że zaczyna się trochę denerwować. Kontakt z nieznanym... wróciła mu pamięć o nawykach nabytych w ciągu szkolenia. Reguła pierwsza: Nie rób nigdy niczego, nie informując o tym innych. Starając się nie wykonywać gwałtownych ruchów, sięgnął do pasa po zawieszony tam telefon. - Doktor Hanford? - zapytał, wymieniając nazwisko jedynego zoologa, który powinien przebywać teraz w pobliżu i którego widział przy statku kilka minut wcześniej, kiedy podeszła do niego Chryś.

- Tu Hanford.

- Mówi Jonny Moreau. Jestem w tej chwili w południowo-wschodnim rejonie perymetru. Proszę przyjechać do mnie, ale cicho. I proszę też zabrać ze sobą jednego Kobrę.

- Zaraz będę.

Jonny umiescił telefon na poprzednim miejscu i czekał. Ptak także czekał, chociaż zaczął zdradzać pewne oznaki zniecierpliwienia. Może jednak Jonny'emu tylko się tak wydawało.

Hanford pojawił się w kilka minut później, idąc na lekko ugiętych nogach dużymi krokami, stanowiącymi dość dobry kompromis między szybkością a nakazem zachowania ciszy. Tuż za nim szli Banyon i Kobra o nazwisku Porris.

- Co się stało? - zapytał teatralnym szeptem zoolog, kiedy zatrzymał się u boku gubernatora.

Ten skinął głową w stronę siedzącego ptaka.

- Proszę powiedzieć, co pan o tym sądzi.

- Chodzi panu o te krzaki?

- Nie, o siedzącego tam ptaka - odezwała się Chrys, pokazując mu go lekko wyciągniętą ręką.

- Jakiego... Aha - rzekł Hanford i wyciągnął lornetkę. - Tak. Widzieliśmy już kilka podobnych, chociaż zawsze w znacznie większej odległości. Nie sądzę, by któryś znalazł się przedtem tak blisko...

- A zatem, są bardzo płochliwe? - przynaglił go Jonny. - To znaczy, w normalnych okolicznościach?

- Mhm - burknął w zamysleniu Hanford. - Tak. Ten zaś wydaje się bardzo odważny, prawda?

- Może nie rusza się z miejsca, bo się nas boi? - odezwał się Banyon.

- Jeżeli się nas boi, tym bardziej powinien odlecieć - odrzekł Hanford, potrząsając głową.

- Nie, proszę pana - sprzeciwił się Banyon, pokazując ręką. - Znaleźliśmy się zbyt blisko niego. Jeśli odleci, będzie świetnie widoczny na tle nieba, a co więcej, będzie w ruchu. Już jeden z tych powodów wystarczy aż nadto, żeby przywabić jakiegoś drapieżnika. Miejsce, w którym siedzi, nie jest dobrze wybrane, ale pozostawanie w nim jest jego jedynym rozsądnym wyjściem.

- Jeżeli nie brać pod uwagę faktu, że jest ptakiem, a my w sposób oczywisty nie jesteśmy - oznajmił Hanford. - Kiedy odleci, z naszej strony mu nic nie grozi.

- Chyba - odezwał się cicho Jonny - że w jakiś sposób rozumie, iż moglibyśmy użyć broni.

Na chwilę zapadła cisza.

- Nie - przerwał ją w końcu Hanford. - Nie, to niemożliwe. Niech pan spojrzy chociażby na jego czaszkę. Nie ma w niej miejsca na duży, konieczny do posiadania inteligencji mózg.

- Rozmiary czaszki jeszcze o niczym nie świadczą... - zaczął Porris.

- Ale liczba komórek, tak - przerwał mu Hanford. - A rozmiary komórek taktanskich organizmów i cała biochemia są zbyt podobne do naszej, żeby takie założenie mogło okazać się nieprawdziwe. Nie, on z pewnością nie jest formą życia obdarzoną czuciem. Jest tylko sparalizowany strachem tak bardzo, że nie wie, iż mógłby odlecieć, kiedy zechce.

- Biedroneczko, biedroneczko, lec do nieba - mruknęła cicho Chrys.

- No cóż, zmarnował swoją jedyną szansę - odezwał się żywo Hanford. - Porris, czy wiesz, gdzie trzymamy nasze siatki krepujące?

Zaczął odwracać się w kierunku „Menssany”...

A ptak poszybował w powietrze ze swojej galezi.

Chrys gwałtownie nabrała powietrza w płuca, zaś stojący przy niej Banyon odruchowo wyciągnął ręce w pozycję gotową do strzału.

- Nie strzelaj! - powstrzymał go Jonny. - Pozwólmy mu odlecieć.

- Co takiego? - wrzasnął Hanford. - Strzelaj do niego, człowieku, strzelaj!

Banyon jednak powoli opuścił ręce.

Ptak odleciał. Ale nie prosto w niebo, jak Jonny mógł oczekiwać, ale poziomo, tuż nad koronami drzew i krzaków. I... zygzakiem. Zygzakiem, jak gdyby...

Zniknął za niewielkim wzniesieniem, a Jonny odwrócił się i ujrzał utkwione w sobie spojrzenie Banyona.

- Manewry mające na celu uniknięcie trafienia - odezwał się tamten niemal szeptem.

- Dlaczego go nie zastrzeliliście? - warknął Hanford, uchwyciwszy Jonny'ego jedną ręką za ramię i zwinawszy ze złości drugą dłoń w zacisniętą pięść. - Dalem przecież wam, Kobrom, wyraźny rozkaz...

- Panie doktorze - przerwał mu Jonny - ten ptak nie ruszał się z miejsca tak długo, dopóki nie zaproponował pan, żeby go pochwycić.

- Nic mnie to nie obchodzi. Powinnście byli... Hanford nagle przerwał, jak gdyby dopiero teraz dotarło do niego znaczenie słów Jonny'ego.

- Myśli pan, że...? - zapytał. - Nie. Nie. Nigdy w to nie uwierzę. W jaki sposób mógł wiedzieć, o czym rozmawiamy? Nie, to niemożliwe.

- Oczywiście, że tego nie mógł wiedzieć - odezwał się ponuro Banyon. - Wiedział jednak, że musi odlecieć, a kiedy to zrobił, poleciał zygzakiem i poziomo. W taki sposób, jak gdyby chciał uniknąć trafienia go z broni wroga.

- A poza tym zaczął, że pan, doktorze, odwróci się do niego plecami - dodała Chrys i lekko się wzdrygnęła. - Pan, który dał rozkaz, żeby go pochwycić. Jonny... to wszystko nie może być tylko zbiegiem okoliczności.

- Może przedtem miał do czynienia z istotami inteligentnymi - powiedział z namysłem Jonny. - Może byli tu już Troftowie, kiedy zapoznawali się z panującymi tu warunkami. W ten sposób mógłby dowiedzieć się czegoś na temat broni palnej.

- Może wszystkie takie ptaki są tylko jednostkami w jakiejś większej, zbiorowej świadomości - odezwał się niespodziewanie Porris. - W ten sposób pojedynczy osobnik nie musi być bardzo

inteligentny.

- Teoria o zbiorowej inteligencji powędrowała na smietnik przed dwudziestoma laty - stwierdził Hanford, ale ton jego głosu wskazywał, że nie był tego tak bardzo pewien. - Poza tym to jeszcze nie tłumaczy, w jaki sposób mógł znac nasz język na tyle dobrze, żeby wiedzieć, że miałem zamiar sprowadzić ze statku siatkę krepujaca.

Jonny nagle uzmysłowił sobie, że nadal wpatruje się w miejsce na galezi, z którego odleciał przedstawiciel rodzimej fauny. Popatrzył w niebo, ale nie ujrzał na nim stad pikujących ptaków, jak na wół świadomie oczekiwał. Zabarwiony delikatna czerwienią błękit był tylko poznaczony odległymi i pojedynczymi plamkami. Niemniej...

- Myśle, że powinniśmy zwinąć obóz trochę wcześniej - odezwał się do pozostałych. - Być gotowi do odlotu w każdej chwili, gdyby... gdyby miało okazać się to konieczne.

Hanford popatrzył na niego, jak gdyby miał zamiar się sprzeciwić, ale zamiast tego odwrócił się w stronę Banyona.

- Czy nie byłoby możliwe oddelegowanie kilku Kobr, żeby udali się ze mną na małe polowanie? - zapytał. - Chciałbym mieć chociaż jednego takiego ptaka... żywego, o ile to możliwe, ale nie będę się przy tym upierał.

- Zobaczcie, co da się zrobić - odrzekł ponuro Banyon. - Myśle, że dowiedzenie się o nich wszystkiego, co możliwe, to świetny pomysł.

Kapitan Shepherd, któremu powiedziano o dziwnym spotkaniu, wyraził w końcu zgodę na wszystkie przedstawione mu propozycje. Statek przygotowany do natychmiastowego startu, podwojono liczbę Kobr pilnujących perymetru, a naukowcy zaczęli pracować z niespotykaną u nich szybkością. Jednak dwie grupy, wysłane na polowanie, nie zdołały nawet zobaczyć ani jednego okazu tajemniczego ptaka. Dyskutowano o faktach, przescigano się w domysłach, snuto plotki... a Menssana wystartowała o pełne dwanaście godzin wcześniej, niż przedtem planowano.

Przynajmniej tym razem nikt nie narzekał.

Rozdział piętnasty

Spędzili wiele godzin na oglądaniu targowiska w Huriseem - York pomyślał, że poświęcili na to więcej czasu, niż w jakimkolwiek innym miejscu podczas całego pobytu na Qasamie - i w końcu głęboko westchnął z ulgą, kiedy zwiedzanie zaczęło się mieć ku końcowi. Najbardziej denerwowała go konieczność stykania się dosłownie oko w oko z tak dużą liczbą mojków naraz - nieobecność Moffa także nie wpływała kojąco na jego samopoczucie. Był ciekaw, jak wytłumaczy ją burmistrz Ingliss - a York sądził, że będzie musiał to zrobić, kiedy tylko zostawia za sobą targowisko z krecacymi się po nim

tlumami Qasaman. W obecności samej eskorty grupa zwiadowcza będzie musiała wreszcie zauważyć nieobecność Moffa, a Ingliss zapewne zechce jakos im ten fakt wyjaśnić.

York nie miał najmniejszej ochoty tego wysłuchiwać. Wiedział, że będzie to stek kłamstw - a co gorsze, kłamstw całkiem oczywistych. Zniknięcie Moffa nastąpiło zbyt nagle, a jego czas wybrano zbyt dobrze, żeby można było uznać je za przypadkowe. Było jasne, że wszystko przygotowano w taki sposób, żeby grupa zwiadowcza jak najdłużej nie spostrzegła jego nieobecności. Instynkt Yorka podpowiadał mu, że przyznanie się Qasaman do faktu, iż Moffa nie ma, byłoby dla nich równie złe, co tłumaczenie się, dokąd poszedł i co robił. Im lepiej poznawał Qasaman, im dłużej słuchał nieszczerych, pełnych kłamstw odpowiedzi Moffa i im więcej widział rzeczy, które im pokazywano, oraz tych, których starano się nie pokazać, tym bardziej określenia: „przesadnie ostrożny” i „podejrzliwy” stopniowo przeradzały się w jego umyśle w przymiotnik: „paranoidalny”. Nie obchodziło go, czy historia Qasaman dawała im prawo postępować w taki sposób - w tej chwili liczyło się tylko to, że York spotykał się nieraz z ludźmi o umysłach paranoidalnych i dobrze wiedział, do czego mogą być zdolni. Sam fakt zniknięcia Moffa nie dostarczał mu ani jednego bita użytecznej informacji, ale obawiał się, że Qasamanie tego nie wie. Bardzo prawdopodobne więc, że pomyślał, iż ich plan - czy podstęp, czy knowania, czy cholerna niespodzianka, czy cokolwiek by to było - zostały przez przybyszów odkryte i dlatego mogli chcieć przyspieszyć początek całej akcji.

York bardzo nie chciał, żeby to zrobili. Gdyby Moff coś planował - wszystko jedno co - dla ogółu zainteresowanych byłoby o wiele bezpieczniej, gdyby jego plan przebiegał według z góry ustalonego scenariusza. Niech cie diabli, Moff, wracaj tutaj - pomyślał wściekły i na niego, i na wszystko inne. - Wracaj tutaj i staraj się upewnić nas w przekonaniu, że panujesz nad sytuacją.

Tak zajęty był ukradkowym wypatrywaniem dowódcy eskorty, że zupełnie przeoczył zdarzenie, które zapoczątkowało walkę.

Z zamyslenia wyrwał go dopiero silny uścisk dłoni jednego z pomocników Moffa, który uchwycił go za ramię i odciągnął na sam skraj kregu tworzącego się właśnie tuż poza granicą targowiska. Średnica otaczanej przez zbity tłum ludzi wolnej przestrzeni mierzyła mniej więcej dwadzieścia metrów, a pośrodku, w odległości zaledwie pięciu metrów od siebie, stało dwóch zwróconych twarzami ku sobie mężczyzn bez mojków. Każdy mierzył swojego przeciwnika pełnym nienawiści wzrokiem.

- Co się dzieje? - zapytał York Qasamanina, który nadal trzymał go za ramię.

Odpowiedzi udzielił mu burmistrz Ingliss stojący o dwie osoby dalej, także w pierwszym rzędzie.

- Pojedynek - powiedział. - Jeden znieważył drugiego, tamten go wyzwiał, a ten przyjął wyzwanie.

York poczuł, jak nagle zasycha mu w gardle, kiedy zwrócił uwagę na pistolety w olstrach na biodrach obu mężczyzn, a później na otaczający ich zbity tłum dwustu lub więcej ludzi. Pomyślał, że chyba nie zamierzają strzelać do siebie w takim miejscu...

Jakis Qasamanin w błękitnosrebrnej opasce na głowie wylonil się z kregu gapiów i podszedł do obu mężczyzn. Z dużego, wiszącego mu na ramieniu worka wyjął trzydziestocentymetrową, gietkę, podobną do bambusowej łaski i dwie nieduże kule połączone ze sobą półmetrowej długości mlecznobiała linka. Wreczył łaskę i kule jednemu ze stojących, a później podszedł do drugiego i dał mu taki sam komplet. Następnie wrócił na skraj kregu, uniósł wysoko prawą rękę i nagle opuścił ją szybko ruchem drwala przystępującego do rabania drzewa...

A mężczyzna stojący po prawej ręce Yorka, który dotychczas jak gdyby od niechcenia kreślił linką z

obiema kulami nad głową, błyskawicznie wypuścił je w kierunku swojego przeciwnika.

Rzucił nimi dokładnie, celnie i bardzo silnie. Tamten jednak był na to przygotowany. Trzymając łaskę pionowo przed sobą, zrezygnował w powietrzu lecące kule, pozwalając, żeby linka owinęła się wokół łaski. W następnej sekundzie jego kule wystrzeliły jak z procy w stronę przeciwnika, który również pewnie schwycił je na swoją łaskę. Nastąpiła teraz krótka przerwa, w trakcie której obaj pojedynkujący się Qasamanie zajęli się zdejmowaniem kul swoich przeciwników z łasek, by po chwili przygotować się do ponownego ataku.

- O co w tym wszystkim chodzi? - zapytał szeptem ponownie York.

- Mówiłem, to pojedynek - mruknął w odpowiedzi Ingliss. - Zamiast klatw, każdy rzuca w przeciwnika kulami bola tak długo, aż albo oba zestawy kul zginą w tłumie, albo jeden z nich uzna się za pokonanego. Klatwowe kule bola pozostawiają po sobie tylko duże ślady, rzadko powodują groźne uszkodzenia ciała.

- Co to znaczy, że kule mogą zginąć w tłumie?

- Jeżeli chybą albo nie zostaną schwyczone na łaskę, ale przez widza, ten może nie oddać broni. Dwa takie niecelne rzuty i walka się musi zakończyć.

- A co sprawia, że jeden z nich w czasie przerwy między rzutami po prostu nie skoczy na drugiego, żeby mu przyłożyć pięścią?

- Ta sama przeszkoda, która nie pozwala im na użycie broni - odparł spokojnie Ingliss. - Ich mojoki... tutaj i tutaj.

Pokazał na dwóch widzów, z których każdy miał na ramieniu dwa ptaki. York zmarszczył brwi.

- Chce mi pan powiedzieć, że bronią swoich panów przed każdym atakiem, nawet takim, przy którym nie używa się broni? Sądziłem, że reagują dopiero na widok wyciąganego pistoletu.

- Och, rzecz jasna, że bronią przed wszystkimi atakami - odparł burmistrz, wzduszając ramionami. - Może pan nagle mnie uderzyć, w tej chwili, zanim mój mojok zdąży pana powstrzymać. Nie będzie pan mógł jednak kontynuować tej akcji. - Kiwnął głową w stronę walczących mężczyzn, na czołach których zaczęły pojawiać się pierwsze krople potu. - Oni walczą ze sobą w taki sposób, żeby mojoki nie musiały ich rozdzielać.

- Rozumiem - odparł York i pomyślał o znaczeniu, jakie mogło to mieć dla Kobra, gdyby nagle musieli zacząć działać.

Czy mojoki w zamęcie bitewnym zorientują się, że to oni są źródłem śmiertelnych promieni laserowych? Tego nie można było wiedzieć.

- Dopiero teraz rozumiem - odezwał się głośno - dlaczego nikt nie używa broni, która swoim wyglądem różniłaby się od konwencjonalnego pistoletu. Mogłoby strzelić do celu tylko raz, ale później mojoki by już wiedziały.

- Wygląda mi na to, że wy, Aventinianie, zbyt dużo myślicie o walkach i wzajemnych konfliktach - odezwał się Ingliss tonem, w którym czuło się dziwne napięcie. - Na waszej planecie muszą panować przerażające warunki życia. Może, gdybyście mieli mojoki... Tak czy inaczej, ma pan rację co do

niekonwencjonalnego kształtu broni. W początkowym okresie oblaskawiania tych ptaków wielu naszych obywateli próbowało różnych konstrukcji, ze skutkami, których się pan słusznie domyslił.

- Aha - mruknął York, kiwnął głową i zajął się obserwowaniem pojedynkujących się mężczyzn.

Wydawało się, że walka trwała bardzo długo, ale naprawdę walka zakończyła się po kilku następnych minutach. York nie umiałby powiedzieć, co sprawiło, że dobiegła końca, ale kiedy w pewnej chwili każdego mężczyznę otoczył tłum wiwatujących gapiów, składających gratulacje i oddzielających przeciwników od siebie, doszedł do wniosku, że przynajmniej oni bawili się znakomicie. Może Nnamdi na pokładzie statku zdola później odgadnąć kryjące się za tym rytuałem psychologiczne i socjologiczne podłoże, bo jego, Yorka, niewiele to obchodziło. Rozejrzawszy się, stwierdził, że tłumy się rozchodzą, a jedynymi stojącymi bez ruchu osobami pozostają członkowie grupy zwiadowczej, burmistrz Ingliss, eskortujący ich Qasamanie...

I Moff.

York zamrugnął oczami, starając się nie dać poznać po sobie zdumienia ani zaniepokojenia. Mimo jego usilnych starań,

Qasamaninowi udało się dołączyć do nich tak samo niepostrzeżenie, jak przedtem ich opuścił. Dzięki temu cały ten pojedynek zaczynał wyglądać bardzo podejrzanie... a jeżeli był tylko udawany, tym groźniejsza stawała się wymowa tajemniczego zniknięcia Moffa. Chcac bowiem zorganizować tak szeroko zakrojona akcja mająca na celu odwrócenie uwagi gości, musiał dysponować albo dużą grupą tubylców gotowych w każdej chwili do działania, albo trochę mniejszą grupą swoich ludzi tak dobrze wyszkolonych, by mogli wywieść w pole i Qasaman, i przybyszów z Aventyny. I jedno, i drugie musiało kosztować go sporo trudu i wymagać - zapewne - znacznie wcześniejszego zaplanowania całej akcji.

Czy Qasamanie ich podejrzewali? A jeżeli tak, to od jak dawna?

- Przykro mi, że musieliście na to patrzeć - odezwał się Moff, kiedy wszyscy połączyli się znów w grupę. - To jedna z tych form agresji, których nie udało się nam całkiem wyeliminować.

- Wydaje mi się bardzo łagodna w porównaniu z tym, co widywałem w życiu - zapewnił go Cerenkov.

Ani on, ani nikt z pozostałych członków grupy zwiadowczej żadnym gestem ani słowem nie okazał zdziwienia z powrotu szefa ich ochrony. York wypuścił powietrze, które zatrzymał w płucach.

- To i tak znacznie więcej, niż powinna mieć prawdziwie cywilizowana społeczność - upierał się Moff. - Siła naszej woli powinna być skierowana na zewnątrz, ku problemom związanym z podbojem naszego świata.

- I innych także? - mruknął Rynstadt. Moff popatrzył na niego z wyraźnym napięciem.

- Przyszłości ludzi są gwiazdy - powiedział. - Nie zawsze będziemy ograniczeni tylko do tego jednego świata.

- Ludzkość już nigdy więcej nie da się ograniczyć - zgodził się z nim Cerenkov. - Powiedz mi, czy takie pojedynki zdarzają się u was często? Ten gość z opaską na głowie wydawał się świetnie panować nad rozwojem wydarzeń.

- W każdej wiosce i każdym mieście, zależnie od liczby mieszkańców, jest jeden lub więcej sędziów -

odrzekl Moff. - Oprócz nadzorowania pojedynków mają sporo innych obowiązków. Ale chodźcie, chciałbym, żebyście obejrżeli jeszcze inne miejsca w tej wiosce. Burmistrz Ingliss chce pokazać wam miejscowy ośrodek sprawowania władzy, a poza tym, zanim łowcy krysjawów powrócą z polowania, powinniśmy zdążyć obejrzeć typową wiejską rezydencję. Dopiero później będziecie mogli zapoznać się z terenami uprawnymi.

Cerenkov lekko się uśmiechnął.

- Zgadzasz się z tobą, Moff. Naprawdę nie wolno nam marnować ani chwili. Proszę, prowadź.

Skreślił za róg i skierowali się w stronę pojazdu, którym ludzie Inglissa objechali targowisko. York, widząc to, pomyślał, że może pozwolić sobie na umiarkowany optymizm. Kontynuowanie wycieczki jak gdyby nic się nie zdarzyło, mogło znaczyć, że Moff nie sadził, żeby jego zniknięcie zostało zauważone. To z kolei świadczyło o tym, że cokolwiek planowali Qasamanie, powinno przebiegać zgodnie z wcześniejszym harmonogramem.

W pewnej chwili zaczął być jednak świadom lekkiego ucisku zegarka z kalkulatorem na przegubie i pierścienia z szafirami na palcu. Razem z wiecznym piórem tworzyły podreczny pomocnik komandosa... bron, której nie widzieli nigdy przedtem ani Qasamanie, ani ich mojoki. Tylko jeden strzał - ta myśl nie chciała opuścić jego mózgu. - Tylko jeden strzał, zanim mojoki zdąży mnie powstrzymać. Byłoby cholernie dobrze, żeby ten strzał był celny.

To zdarzyło się, kiedy wracali tego wieczora do Sollas. Pierwszym ostrzeżeniem, że dzieje się coś złego, był nagły jazgot zakłócen, który zastąpił w słuchawkach poprzedni cichy szum łączności radiowej z „Dewdrop”. Siedzący z przodu autokaru Moff wstał i odwrócił się przodem do nich, uchwyciwszy się lewą ręką poręczy. W prawej trzymał wymierzony w nich pistolet.

- Jesteście aresztowani - zahuczał nieznanego głosu od strony siedzącego obok niego mężczyzny... - a raczej z prostopadłościennego pudła z głośnikami, które trzymał w ręce. - Jesteście podejrzani o szpiegowanie obywateli Qasamy. Dopóki nie osiągniemy celu podróży, nie wolno wam wykonywać gwałtownych ruchów. Jeżeli okazecie się nieposłuszni, wasz statek zostanie zniszczony.

- Co takiego? - warknął Cerenkov głosem pełnym niedowierzania, zdumienia i wściekłości. - Co to wszystko ma znaczyć?

Z głośnika translatora zawieszzonego na jego szyi nie odezwał się jednak żaden głos i pytanie pozostało bez odpowiedzi.

- Słuchaj, Moff - powiedział i zaczął unosić się ze swojego miejsca...

- Możesz się nie trudzić - doradził mu cicho Rynstadt. - To tylko nagranie, nie translator. Będziemy musieli zaczekać, aż dotrzemy do Sollas, a wówczas może się wszystko wyjaśni.

Cerenkov otworzył usta, jakby chciał coś powiedzieć, ale po namyśle zrezygnował i opadł z powrotem na swoje miejsce. W czasie tych kilku chwil lufa pistoletu Moffa nie drgnęła nawet o milimetr - zauważył niespokojnie York. - Musi mieć nerwy ze stali, a to znacznie ogranicza liczbę możliwych do przedsięwzięcia akcji. Jego mojok zas...

Jego mojok na widok swojego pana stojącego z pistoletem wymierzonym w inną istotę ludzką nawet nie zaskrzeczał. Żaden inny zresztą tego nie uczynił. Z jakiegokolwiek powodu - czy to wyglądu, zapachu czy innej mowy - wyglądało na to, że Aventinianie nie są objęci tą samą automatyczną ochroną, jaka

zapewniały mojoki swoim qasamanskim właścicielom. York miał przedtem nadzieje, że każda akcja Qasaman zwrócona przeciwko grupie zwiadowczej zostanie chociaż trochę opóźniona przez obecność mojoków. Teraz był jednak pewien, że nic takiego się nie zdarzy.

Siedzący po drugiej stronie przejścia Joshua poruszył się niespokojnie na fotelu.

- Ich komputery muszą mieć moc obliczeniową wielką jak gantuja; inaczej nie mogliby przetłumaczyć tych kilku zdań w tak krótkim czasie - mruknął.

- Zapewne rejestrowali zarówno każde nasze słowo jak jego tłumaczenie na swój język - wyjaśnił mu Rynstadt.

Wydawał się odprezony, jak gdyby zupełnie się nie przejmował tym, co się dzieje, i przez chwilę York patrzył na niego z pełnym zdumieniem i niedowierzaniem. Czy ten idiota nie zdaje sobie sprawy z tego, w jakich znaleźli się opalach? To nie są żadne ćwiczenia - miał ochotę warknąć w jego stronę. - Oni nie żartują, a co więcej, są przerażeni.

Stłumił jednak w sobie te słowa, zanim zdołały mu przejść przez gardło. Oczywiście, że Rynstadt nie miał się o co martwić - czy na pokładzie „Dewdrop” nie było czterech Kobr gotowych do przeprowadzenia akcji i odbicia ich z rąk wrogów w strumieniach laserowego ognia?

Tylko że to nie będzie takie łatwe i nawet jeżeli nikt inny tego nie wiedział, York nie miał co do tego najmniejszych wątpliwości. Spojrzawszy w okno, zaczął przyglądać się ciemniejącemu niebu i jeszcze ciemniejszej scianie lasu na poboczu drogi. Moff zaplanował wszystko doskonale - pomyślał, mimo przyspieszonego bicia serca nie mogąc podziwiać tego jako zawodowca. - Z dala od „Dewdrop”, na nieznany, wrogim terytorium, tuż przed nastaniem nocy - tylko szalenie próbowałby uciekać w tych warunkach. Przez jakąś szczelinę w scianie lasu dojrzał promień słońca i zdał sobie nagle sprawę z tego, że w ciągu ostatnich kilku minut musieli zjechać z wiodącej prosto na zachód szosy łączącej Huriseem z Sollas. Kierowali się teraz bardziej na południowy zachód: czyżby ku następnemu miastu w lancuchu? To było prawdopodobne. Pozbawienie więźniów wszelkiej szansy ucieczki, żeby w tym czasie spieszącym im na odsiecz kolegom zrobić... właściwie, co? Co Qasamanie chcieli zrobić „Dewdrop” i jej załogę?

Popatrzył na Joshue. Zobaczył odbijającą się w jego oczach i twarzy tę samą niepewność i obawę, które sam odczuwał. Syn Kobry, brat Kobry - z pewnością rozumiał o wiele lepiej od Rynstadta, jak małe szanse przysięgły im z pomocą mieli ci z „Dewdrop”.

„Odrobina strachu pomaga w koncentracji, ale panika paraliżuje umysł i całe ciało” - błysnęło mu w głowie ulubione powiedzenie jego dawnego nauczyciela szkolącego komandosów. Zmusił się do wolniejszego oddychania, pozwalając sobie tylko na strach i starając się nie dopuścić do paniki. Wiedział, że kiedy się nadarzy okazja, będzie musiał być gotowy do natychmiastowej akcji.

Oświadczenie, które na chwilę przerwało jazgot zakłóceń płynących z głośników w świetlicy „Dewdrop”, było krótkie i bolesnie rzeczowe: „Jestecie podejrzani o szpiegowanie obywateli Qasamy. Nie wolno wam wykonywać gwałtownych ruchów ani podejmować próby ucieczki. Jeżeli okazecie się nieposłuszni, zostaniecie zniszczeni”.

Po tym oświadczeniu ponownie włączył się jazgot zakłóceń, a Christopher, słysząc to, głośno zaklął.

- Jak, u diabła, mogli się zorientować, że...

- Zamknij się! - przerwała mu Telek, zdając sobie sprawę z głośnych uderzeń własnego serca.

A wiec stalo sie - spelnily sie jej najgorsze obawy - a ona nie wezwala swoich ludzi na statek, zanim do tego doszlo. Przegrala. Och, Boze - pomyslala. - Co teraz powinnam zrobic?

Tok jej mysli przerwal glos dobiegajacy z interkomu.

- Pani gubernator, na szczycie wiezy kontrolnej rejestruje jakis ruch i osrodki ciepla - odezwal sie kapitan F'ahl. - Nie widze jeszcze ludzi ani broni, ale musza tam miec cos w rodzaju granatników albo lekkich haubic raketowych i nie chca, zebysmy je dostrzegli.

Cala sila woli Telek zmusila sie do zachowania spokoju.

- Rozumiem, kapitanie - powiedziala. - Czy nasze lasery moga zniszczyc te cholerna wieze?

- Nie sadze i nie chcialbym nawet próbowac, dopóki nie sprowadzimy na poklad wszystkich, których bedzie mozna.

- Nie chodzilo mi o to, zebysmy startowali - odezwala sie lodowato Telek. A wiec F'ahl zaczynal sie liczyc z mozliwoscia ofiar. No cóz, ona nie zamierza poddawac sie tak latwo. - Czy niczego nie widac na ekranach monitorów komputerowych? - zapytala. - Zmiennecestotliwosciowy sygnal Joshuy nie powinien byc zakłócany za pomoca zwyczajnych...

Bez jakiegokolwiek uprzedzenia, cetkowany mlecznobiały obraz na ekranie zniknal i ich oczom ukazalo sie ponownie wnetrze qasamanskiego autokaru.

Telek pochylila sie, zaciskajac dlonie w piesci... ale nie zobaczyła sceny rzezi, jakiej podswiadomie sie spodziewala. Wnetrze autokaru wygladalo tak samo jak przed kilkoma minutami, kiedy obraz zniknal... tak samo, jedynie Moff stal teraz zwrócony przodem do Aventinian i mierzył do nich z pistoletu.

Telek siegnela po mikrofon.

- Joshua, pokaz mi obraz pozostalych czlonków grupy - polecila.

Obraz jednak sie nie zmienil.

- Nie slyszy pani - mruknal Christopher. - Mozemy odfiltrowac zakłócenia u siebie, ale tamci nie maja sprzetu komputerowego i nie moga tego zrobic.

- Wspaniale - rzekla Telek i zgrzytnela zebami. - To znaczy, ze nie mozemy skontaktowac sie takze z Almem. Niech to wszyscy diabli. - Patrzyla na ekran jeszcze przez kilka chwil, a później odwróčila sie w strone dwójki mezczyzn stojacych bez slowa przy drzwiach swietlicy. - Wyglada na to, ze wasze platne wakacje dobiegly konca. Macie jakies propozycje? - zapytala.

Michael Winward wskazal na monitor, na którym byl widoczny obraz pobliskiego lasu.

- Qasamanie zapewne nie wiedza, ze Almo przebywa poza statkiem, co teoretycznie daje nam pewna przewage. Jezeli jednak nie bedziemy mogli powiedziec mu, co sie dzieje, cala ta przewaga nie przyda sie na nic. Musimy jakos zwrócić jego uwage, zeby włączyl swój nadajnik laserowy.

- Innymi slowy, uwazasz, ze powinienes spróbowac wyjsc i go poszukac - rzekla Telek, zawahala sie, a później pokrecila glowa. - Nie. To zbyt ryzykowne. Nawet gdyby udalo sie nam odwrócić od ciebie

uwage Qasaman, i tak by cie dostrzegli, zanim zdolalbys sie ukryc. Lepiej zaczekajmy, az sam nawiaze z nami lacznosc.

Drugi Kobra, Dorjay Link, popatrzył na Winwarda i ledwo zauważalnie pokrecił glowa.

- Qasamanie moga chciec wyslac do tego lasu swoich ludzi i bron, zeby i z tej strony móc zagrozic „Dewdrop” - odezwal sie do Telek. - Almo moze wyjsc z kryjówki i znalezc sie w samym srodku.

- Nie sadzisz, ze wczesniej uslyszy ich, jak nadchodza? - zapytal Nnamdi.

- Kobry sa takze ludzmi - odparl cierpko Winward. - A jezeli sie nie obudzi, zanim nie zajma swoich stanowisk, później beda starali sie zachowywac cicho.

Telek spojrzala jeszcze raz na monitor z widokiem lasu. To dla mnie zbyt skomplikowane - pomyslala. - Przeszlismy do dzialan wojskowych bez najmniejszego ostrzezenia.

Nie. Otrzymali ostrzezenie i to wlasnie bolalo ja najbardziej. Powód tajemniczego znikniecia Moffa na kilka godzin stal sie dopiero teraz zrozumialy: przygotowywal cala operacje, koordynujac dzialania różnych grup za pomoca jakiegos po trzykrocz przekletego systemu lacznosci dalekosiecznej, którego nie znali. W takim razie...

- Zolnierze i granatniki zapewne sa juz na stanowiskach - powiedziala. - Jedynym sposobem na to, zeby obudzic Alma i w tej samej chwili uswiadomic mu, ze dzieje sie cos niedobrego...

Przerwala i odwrócila glowe, by spojrzec na Kobry. Winward kiwnal glowa - nie wiedziala tylko, czy na znak zrozumienia, czy zgody.

- Krótki wypad - powiedzial. - Ze strzelanina i tak dalej. Ide tylko po kombinezon maskujacy i wracam za minute. Dorjay, zacznij sie rozgladac za najlepszym miejscem, dobrze?

- Jasne - odparl tamten, kiedy Winward wybiegal ze swietlicy. - Pani gubernator, czy nie lepiej byloby zaczekac, az sie calkiem sciemni?

- Nie - odezwal sie nagle Christopher, zanim Telek miala czas mu odpowiedziec. - Pani gubernator, mamy nowy klopot. Autokar z grupa zwiadowcza nie jedzie w strone Sollas.

- Do diabla - zaklela Telek, stajac u jego boku i spoglądajac na monitor ukazujacy teraz lotnicze zdjecie terenów polozonych miedzy Huriseem i Sollas. - Skad wiesz?

- Joshua troche sie rozglada i ujrzałem nagle blysk slonca wpadajacy przez boczne okno. Wyglada mi na to, ze skrecili w te droge - pokazal na ekranie - i kieruja sie teraz na poludniowy zachód, zapewne ku następnemu miastu.

Telek spojrzala na podzialke zdjecia.

- Niech to cholera. Nie beda przejezdza blizej niz o dwadziescia kilometrów od „Dewdrop”. Gdzie jest nastepne skrzyzowanie?... Aha, tutaj. Jakies trzy kilometry od tamtego miejsca. Nie wiadomo, gdzie moga byc w tej chwili? Christopher rozlozyl bezradnie rece.

- Nasz dalmierz nie funkcjonuje, kiedy komputer musi borykac sie z filtrowaniem tych zakłócen. Moge tylko ocenic predkosc i na tej podstawie oszacowac odleglosc od Huriseem. Najprawdopodobniej sa

teraz gdzieś tutaj o piętnastu minut drogi od tego skrzyżowania.

Telek spojrzała na Justina leżącego nieruchomo na swoim tapczanie. Gdyby pozwoliła mu zamienić się miejscami z bratem, tak jak poprzednio planowano... ale nie, ona chciała mieć szansę zobaczenia wszystkiego na własne oczy, a Joshua był przecież jej oknem na świat.

- Musimy zatrzymać ten autokar - powiedziała, zwracając się do wszystkich obecnych w świetlicy. - Uwolnić całą grupę albo chociaż samego Joshue, żeby mógł zamienić się z Justinem. I to w jakikolwiek sposób.

- Teraz, kiedy Moff ma się na baczności, uważam to ostatnie za niemożliwe - odezwał się Link, siedzący przed monitorem, który odstąpił mu przed chwilą Nnamdi.

- Wiem - rzekła Telek. Zgrzytnęła zębami, a później odwróciła się w stronę interkomu. - Kapitanie, proszę natychmiast wysłać impulsowy sygnał laserowy do osłaniających nas statków Troftów. Proszę powiedzieć im, co się dzieje, i poprosić, żeby zjawili się tu jak najszybciej.

- Tak jest, pani gubernator.

A wszystko to na próżno. Wiedziała o tym doskonale, tak samo zresztą jak pozostali na pokładzie. Statki Troftów znajdowały się od nich zbyt daleko, by przed switem zdążyły wejść na orbite nad Qasama. „Dewdrop” była zdana wyłącznie na własne siły.

Oznaczało to, że Winward będzie musiał rozpocząć swoją samobójczą akcję w ciągu najbliższych kilku minut... a Almo mimo to może zostać schwytany, zanim zorientuje się, co się dzieje... zresztą nawet wówczas poświęcenie obu Kobr będzie daremne, gdyż nie ma sposobu, żeby któryś z nich czy nawet obaj naraz mogli zatrzymać autokar, nie zabijając ani nie raniąc jego pasażerów w trakcie walki.

Jedyne, co w tej sytuacji pozostało do zrobienia, to wydanie rozkazu natychmiastowego startu i pocieszenie się nadzieją, że szybkość „Dewdrop” pozwoli im uniknąć trafienia przez qasamską rakietę albo granat.

W ten sposób mogliby przynajmniej zminimalizować straty. A jeżeli taka miała być ostateczna decyzja, gubernator musiała ją podjąć, zanim Winward opuści statek i straci życie. Zostało więc na to niewiele więcej niż dziewięćdziesiąt sekund.

Sytuacja bez wyjścia... lecz kiedy pani gubernator zastanawiała się, co robić, w lesie na południe od nich coś nieznacznie się poruszyło i zapadające ciemności przeszły cienki strumień światła z niewidocznego lasera, oświetlając na krótką chwilę dziób „Dewdrop”.

Spis treści

[Rozdział pierwszy](#)

[Rozdział drugi](#)

[Rozdział trzeci](#)

[Rozdział czwarty](#)

[Rozdział piaty](#)

[Rozdział szósty](#)

[Rozdział siódmy](#)

[Rozdział ósmy](#)

[Rozdział dziewiaty](#)

[Rozdział dziesiąty](#)

[Rozdział jedenasty](#)

[Rozdział dwunasty](#)

[Rozdział trzynasty](#)

[Rozdział czternasty](#)

[Rozdział piętnasty](#)